WYŻSZEJ SZKOŁY ... W GDAŃSKU

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

na 75 gr — 12 stron

Warszawa, 18 lutego 1951 r.

Nr 7 (47) Rok II

NUMERZE m. in.: **Marek Fritzhand** — O wychowaniu komunistycznym; **Joaquin Gutierrez** — Od Mapocho do Wisły; **W obronie Prestesa; Pablo Neruda** — Howard Fast; **Jerzy Pomianowski** — teraz pomówmy poważnie; **Julian Stawiński** — Encyklopedia postępu; **Julian Marchlewski** — Z Wysokich Tatr; **Krzysztof Gruszczyński** — U podnóża Grammosu; **Anna Wysznacka** — Dwie drogi; **Bolesław Dudziński** — Na progu epokowych przemian; **Głosy w sprawie teatru dla wsi; Wawrzyniec Żuławski** — „Casanova" Różyckiego w Operze Śląskiej; **Korespondencja.**

W KOPALNI

NARADA PRODUKCYJNA

Fotografie Maksymilian Wrocławski

TADEUSZ BOROWSKI

PISARZ W TERENIE

I

Rozpoczęliśmy nowy etap pogłębiania osiągnięć realizmu socjalistycznego w literaturze: walkę o jakość, trwałość, piękno kształtu artystycznego. Nienajbłahszą formą tej walki jest udoskonalenie i pełne wykorzystanie przez pisarza pobytu w tzw. terenie. Zajęło się tą sprawą styczniowe rozszerzone plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, nasza pierwsza narada produkcyjna. Znajomość środowiska, głębokie poznanie jego życia i pracy, problemów społecznych, obyczajowych, kulturalnych, ujrzenie na własne oczy ostrych linii walki klasowej, perspektyw konkretnego budownictwa podstaw socjalizmu — oto pierwszy, wcale nie najłatwiejszy szmat drogi, jaki przejść musi pisarz realizmu socjalistycznego. Tym więc pilniejszą staje się wymiana poglądów i doświadczeń pisarzy, pracujących nad poznaniem „terenu". Wymiana ta nie powinna ograniczać się jedynie do przelotnych dyskusji, które rychło zapadają w niepamięć, lecz winna dokonywać się na łamach pism literackich. Mimo konferencje, zjazdy, zebrania sekcji prozy zbyt mało dzieliliśmy się własnym doświadczeniem, nie usiłowaliśmy wypracować ogólnych norm postępowania w terenie, nie wyciągaliśmy na ogół wniosków politycznych. Publicystyka literacka, powiedzmy otwarcie, ważności zagadnienia nie dostrzegła.

J. M. Gisges podał w listopadowym numerze „Twórczości" kilka niezmiernie interesujących danych, dotyczących wyjazdów w teren. W końcu 1949 roku ochotę na wyjazd w teren okazało około dwustu literatów czyli co trzeci pisarz polski. Ostatecznie w pierwszym, wiosennym rzucie w teren wyjechało około 80 pisarzy. Wybrali oni ośrodki przemysłowe, spółdzielnie produkcyjne, PGR-y, uniwersytety ludowe, szpitale, etc. Wyjazdy te były rozmaicie pojmowane i realizowane. Forma najprostsza i najmniej fatygująca: pisarz deklarował swój udział w akcji, ale nie wyjeżdżał. Przeszkody, wahania, nieśmiałość, kompleksy. Takich pisarzy było tylko paru; z czasem i oni wyruszyli w drogę i bardzo ją sobie chwalą. Inny rodzaj wyjazdu: pisarz wyskakiwał na kilka dni w teren, zbierał materiał do brakujących części opowiadania, dosztukowywał fabułę, wybierał opisy. Najpoważniejszą jednak postacią zapoznania się z terenem był trzymiesięczny pobyt w fabryce, na wsi spółdzielczej, w szkole czy na kopalni. Taki pobyt umożliwiał pisarzowi zebranie materiału na tom nowel, powieść, dramat, poemat. Są pisarze, którzy nawiązali trwały kontakt ze swym środowiskiem, pogłębiając początkowe studia terenowe. Nina Rydzewska nie zrywa kontaktu z kopalnią, na której dłuższy czas pracowała, Maria Jarochowska zabrała się do dwuletniej, poważnej pracy kulturalnej i politycznej w spółdzielni produkcyjnej, Maria Dąbrowska, Witold Zalewski, Tadeusz Konwicki utrzymują stały kontakt ze „swymi" środowiskami, A. Ścibor-Rylski, napisawszy powieść „Węgiel", podtrzymuje przyjaźń z czołowymi górnikami Śląska.

Po co się jedzie w teren? Aby „coś" napisać. To prawda. Ale do pisania trzeba dojrzeć. Pobyt w terenie pomógł przemienić się, dojrzeć wielu pisarzom, ukazał im rzeczywiste linie walki klasowej, wzmocnił ich ideologicznie. Czytaliśmy nowele i opowiadania, które mówiły o tym przełomie u pisarzy. Wielokrotnie i słusznie atakowana „Prosta droga" Kowalewskiego mimo swe irytujące naiwności spłaca jednak dług akcji, podjętej przez Partię i Związek Literatów. Tom opowiadań Wygodzkiego „Widzenie", choć nie wolny od pewnych wypaczeń, bystro dostrzeżonych przez krytykę, daje wierny i cenny obraz kontaktu pisarza z życiem partyjnym przed zjednoczeniem partii robotniczych. Doskonały chciało by się rzec: przełomowy, fragment nowej powieści Tadeusza Brezy, drukowany niedawno w „Nowej Kulturze" nie powstałby nigdy, gdyby nie umożliwiono pisarzowi pobytu w terenie: w wielkiej fabryce, w miasteczku, w porcie. Pisarz zapowiada, że materiały, zebrane w gimnazjum rolniczym, posłużą mu za kanwę nowej powieści o młodzieży Wyjazd do Nowej Huty pozwolił Woroszylskiemu dać poemat o awansie społecznym wiejskiego chłopca, którego budownictwo socjalistyczne wychowuje na świadomego człowieka. Przykłady można mnożyć: Pytlakowski, Konwicki, Warmiński. Warto wspomnieć piękny artykuł Jana Kotta „Konflikty socjalistyczne". Wskazywał on, że nie tylko pisarze, ale również krytycy wiele się mogą nauczyć z wyjazdów w teren. Dla krytyka, poważnie pojmującego zagadnienia realizmu socjalistycznego, biurko staje się zbyt ciasne. Wyjazd w teren uświadamia mu trudności i zawikłania problematyki literackiej, pomaga mu wzrastać i dojrzewać. Szkoda tylko, że był to jedyny taki artykuł o problemach literatury realizmu socjalistycznego.

Tak więc, akcja wyjazdów w teren dobrze przysłużyła się literaturze. Oczywiście, nie była ona jedyną formą kontaktu pisarzy z otaczającym ich światem. Witold Zalewski drukował swe reportaże jeszcze w roku 1948, kiedy o organizowaniu tej akcji nie było mowy; Krzysztof Gruszczyński poznał życie młodzieży ZMP-owskiej z pracy organizacyjnej; wielu pisarzy sięga po tematy z praktyki zawodowej (Lutowski, Mirosław Kowalewski); u wielu pobyt w terenie wiązał się z obowiązkami pozaliterackimi (np. u Rylskiego, który był reporterem i z tej racji dobrze poznał Śląsk), wreszcie wiele opowiadań i szkiców powstało dzięki dorywczym akcjom objazdowym, wieczorom autorskim, organizowanym niegdyś przez „Czytelnika", potem zaś przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Ogólny bilans tych wszystkich akcji jest nadzwyczaj dodatni. Przyczyniły się one do poważnego ożywienia naszej twórczości dramatycznej, dały kilka cennych powieści i zbiorów nowel, parę poematów, które warto zapamiętać. Co więcej: w świadomości wielu pisarzy, obciążonych tradycjami dwudziestolecia, zarysował się nowy stosunek do tematyki współczesnej, zrodziła się krytyka własnego warsztatu twórczego, rozpoczął się trudny, czasem bolesny proces zmiany stylu, dojrzewała ambicja przemawiania do nowego, świadomego politycznie czytelnika. Pisarze ci zrozumieli, że po gwałtownym, barwnym, pociągającym oczy i serce okresie zaangażowania wyobraźni tematem wojny — okres pokoju nie jest bladym, jałowym okresem wygasania konfliktów między ludźmi, wysychania tematyki literackiej, lecz przeciwnie, zaczęli dostrzegać wokół siebie ostre konflikty socjalistyczne, wzięli w nich udział, zrozumieli rolę literatury jako pomocnego ramienia w usuwaniu przeżytków starego i dźwiganiu nowego życia. Literatura polska nawiązała do szczytnej tradycji służenia własnemu narodowi, o czym z dumą mógł mówić na naszym plenum Jerzy Putrament.

Nie wyolbrzymiajmy pojedyńczego zjawiska. Nie odrywajmy go od całej walki, jaką toczymy o pogłębianie zdobyczy realizmu socjalistycznego w naszej literaturze. Ale śmiało powiedzmy, że wyjazdy w teren przyczyniły się do zasadniczego zwycięstwa realizmu socjalistycznego wśród pisarzy, obnażyły słabość twórczą obcych mu literatów, przyśpieszyły etap walki o jakość naszych utworów.

II

Jakość naszych utworów! A więc oryginalność, różnorodność, barwność. A więc rugowanie banalnej, oklepanej, skostniałej tematyki. Potrafi ona sparaliżować najszlachetniejsze zamierzenia twórcze, obniżyć wartość wysiłku pisarskiego. Oficjalne sprawozdanie Ministerstwa Kultury i Sztuki ujmuje nową tematykę w trzy grupy: zakłady pracy, wieś, historia ruchu robotniczego. Powieść o klasie robotniczej przeradza się często w monografię zakładu pracy, w którym widzimy procesy produkcji, lecz nie dostrzegamy ludzi. Opowiadania wiejskie — to często szablonowe opisy zebrań gromadzkich, kaleczące bezlitośnie gwarę i nadużywające stylu artykułów wstępnych. Zbyt mechaniczne pojmowanie pobytu w terenie może być kulą u nogi pisarza. Przecież pisarz nie ma obowiązku pisać właśnie o tej spółdzielni, właśnie o tym szpitalu Niekoniecznie pobyt w terenie ma mu dać całość materiału. Wyjazd w teren należy dostosowywać do zamierzeń twórczych, a nie obcinać zamierzenia do rozmiarów wyjazdu. Ileż trudu wymaga powieść o chłopcu, który zdobywa świadomość klasową, przechodząc od zacofanej wsi poprzez „Służbę Polsce", ZMP, do pracy w wielkiej fabryce! Ileż studiów terenowych wymaga powieść o tzw. awansie społecznym; nawiasem mówiąc, termin to dość nieszczęśliwy, którym wstyd jakoś określać potężny, historyczny, świadomy poryw wyzwolonych mas ludowych. Wystarczy się przyjrzeć naszym majstrom, inżynierom, nauczycielom, aktywistom partyjnym, oficerom, którzy wyrośli z mas, stanowią kadry ludowej inteligencji, wystarczy przyjrzeć się ich pracy na najbardziej wysuniętych odcinkach walki o plan sześcioletni, aby pojąć ogrom wysiłku pisarskiego, który byłby ich godny.

Ileż bystrości, ruchliwości, cierpliwości wymaga opowieść o życiu powiatu! Niejednemu pisarzowi zdarzało się, że przybywał do małego miasteczka, które na pierwszy, wielkomiejski rzut oka wydawało się senne, wymarłe, niemrawe. Dopiero po dłuższej znajomości miasteczko otwierało przed pisarzem wewnętrzne tajemnice, ujawniało ogromne bogactwo życia. Takie miasteczko, dawny, kapitalistyczny, drobny „faktor", pośrednik między wielkim miastem, które wyrabiało wódkę, perkale i kosy, a wsią, która sprzedawała masło i ziemniaki, przemienia się w centrum życia kulturalnego powiatu, w ośrodek przemysłu miejscowego, kiedyś stanie się agromiastem. Przyglądając się kierownictwu partii, działalności rady narodowej, związku zawodowego, organizacji społecznych, ZMP, pisarz zaczyna czuć tętno życia powiatu, widzieć łączność wielu z pozoru oderwanych spraw: biurokracji i walki o oświatę, działalności plebanii i uświadamiania kobiety wiejskiej, codziennego awansu społecznego dziesiątków i setek aktywistów gminnych i miasteczkowych, perfidnej propagandy kułackiej i drobnomieszczańskiej, kontraktacji bydła i zakładania spółdzielni. Powieść produkcyjna przemienia się w powieść polityczną; pisarz zaczyna rozumieć związek życia codziennego i „wielkiej" polityki Jeżeli tę jedność pokaże w barwnym, interesującym, realistycznym utworze literackim, może powiedzieć sobie: zrobiłem swoje.

III

Jak się ma zachować pisarz w terenie? Na to nie ma żadnych recept. Do takiego wniosku doszła warszawska sekcja prozy na dyskusji, przeprowadzonej w listopadzie. Referent, Tadeusz Konwicki, zdobył materiał do szkicu literackiego „Na budowie", przepracowawszy kilka tygodni z łopatą w ręku. Również inni pisarze korzystają z doświadczeń, zdobytych podczas pracy, do której zostali bądź zmuszeni warunkami wojennymi bądź też poszli z własnej ochoty. Konwicki to młody, zdrowy chłopak, praca fizyczna wyszła mu na dobre. Ale znam innego młodego literata, który z rozbrajającą szczerością opowiadał, że pracował na przodku w kopalni i — nie bardzo mu szło. Nawet trochę bumelował. Znam świetną pisarkę, która chciała zostać traktorzystką. Odwalili ją; serce słabe. Pisarz, związany z pracą zawodową w swym ośrodku, nie zawsze może wybrać się na pół roku na obiekt przemysłowy czy na wieś, czasem musi poprzestać na krótkich, sporadycznych wypadach, nie może angażować się do pracy. Zdrowie, praca zawodowa, obowiązki społeczne mogą odciągnąć pisarza od takiego zupełnego „zlania się" ze środowiskiem; myślę zresztą, że podejmowanie pracy może być wyjątkiem, a nie regułą w poznawaniu terenu.

Są pisarze, którzy wstydzą się swego zawodu. Idąc w teren, udają kogo innego. Wydaje się im, że łatwiej zdobędą zaufanie „ludzi", podając się za oświatowców, działaczy związkowych, aktywistów Pewien pisarz tak to ujął: „Wydaje mi się niedopuszczalne przychodzenie do robotników jako pisarz. Należy przychodzić raczej jako działacz partyjny, oświatowy Zazwyczaj ujawniałem się dopiero pod koniec pobytu w terenie jako pisarz i wówczas zjawiało się coś jakby rozczarowanie, wynikające z tego, że człowiek mówiący ich językiem i znający ich sprawy jest zarazem pisarzem, który ma o nich pisać Ludzie sądzą, że pisarz to taki ciamajda, który nic nie wie o produkcji, o życiu Partii, o potrzebach klasy robotniczej, itd Stąd radość i duma robotników: widzą, że pisarz żyje ich życiem".

Są pisarze, którzy swą postawę zostawiają w domu, a w terenie pragną być obserwatorami Chcą uchronić ostrość spojrzenia epika, który jak anatom kraje świat, aby mu „oddać sprawiedliwość" Zapominają, że tylko udział w walce klasowej daje człowiekowi obiektywne spojrzenie na świat, życie, człowieka. Kazimierz Koźniewski mówił kiedyś o wrodzonym talencie obserwatora Takim genialnym obserwatorem był np Egon Erwin Kisch, który zaskakiwany barwnością obcego środowiska, dostrzegał w nim rzeczy, ukryte dla „znawców". (To wystarcza dla genialnego reportażu, dodał Koźniewski, natomiast powieści nie można napisać nie poznawszy gruntownie ludzi; inaczej przemieni się ona w opis produkcji) Istotnie, Kisch po trzydniowym pobycie w Londynie napisał najlepszy reportaż o tym mieście, jaki znamy Ale czyż Kisch był beznamiętnym obserwatorem? Der rasende Reporter? To jeden z najpiękniejszych twórców, najgorętszych umysłów postępowej kultury niemieckiej Brał udział w pierwszej wojnie światowej i jego dzienniki stały się strasznym oskarżeniem imperialistów, poznał zgniliznę plutokratycznej Ameryki i wyzysk krajów kolonialnych, siedział w gestapowskim więzieniu i — niezmordowanie jeździł w teren Tym terenem była dla niego cała kula ziemska. Przeczytajmy jeden z najpiękniejszych reportaży Kischa: „Lądowanie w Australii". Europejski komitet obrony pokoju wysłał Kischa na kongres pokojowy do Australii. Nie mając pieniędzy, Kisch przeszmuglował się na statek, a gdy władze australijskie nie puściły go na ląd, wyskoczył ze statku na molo, złamał nogę, odniesiono go do szpitala. Ciągano go po sądach i więzieniach, wreszcie wypuszczono Kisch przemawiał na zebraniach i wiecach, widział walkę, jaką klasa robotnicza Australii toczy z burżuazją Mówił po latach: „Prawda jest najszlachetniejszym materiałem sztuki, precyzja — najlepszą formą jej obróbki". Prawda, powinien był dodać, zdobywana w ostrej walce klasowej i ideowej.

IV

Piszą mi czytelnicy listy. Protestują przeciw prostackiemu, ich zdaniem, ujęciu zagadnienia jędrności i barwności języka literackiego. Nie chodzi przecież tylko o to, argumentują, aby pisarz wiedział, że warchlak a knur to nie to samo. Co nam przyjdzie z tego, że pisarz napakuje do powieści uczonych nazw konopi i traw, a nie wprowadzi do niej ludzi? Pisarz może się doskonale orientować w procesach wydobycia węgla, wyrobu skarpetek, kieliszków, penicyliny, lecz nie znać „terenu", nie umieć dostrzec istotnych problemów społecznych; ostatecznie, więcej mamy w Polsce inżynierów, niż dobrych pisarzy.

Trzeba, mówią dalej, aby pisarz naprawdę zrósł się z terenem, pokochał ludzi, ich pracę, ich codzienne troski, pomagał im rozwiązywać ich problemy Wszystko to prawda: słownik techniczny nie zastąpi życia. Ale ubóstwo inteligenckiego słownika pisarza nie pomoże mu w pobycie w terenie, nie ułatwi pracy literackiej Powoduje, że pisarz choruje na swoisty daltonizm artystyczny Jedna fabryka jest u niego podobna do drugiej, jedna wieś bliźniaczką drugiej, opisy li-

terackie przemieniają się w informacje w dramatach: „okno na lewo, drzwi na prawo, w kącie półka z aktami, za prostym biurkiem siedzi sekretarz. Sekretarz powiedział". I sekretarz zaczyna mówić. Używa najbardziej wyświechtanych, wytartych, zleżałych zwrotów, niekiedy dla podkreślenia własnej krzepy, gada monosylabami, rzuca oderwane słowa, nie kończy najprostszych zdań. Że niby, jak kapitan na okręcie.

Trzeba nieustannie wzbogacać nasz język literacki. Na żywo, na gorąco tworzą się setki nowych, wartościowych słów i zwrotów, powiedzonek i przysłów, które przydadzą rumieńca naszym utworom. Nie droga wulgaryzowania języka, tworzenia „wiechowatych" gwar, ale korzystanie z żywej tradycji, z językowego dorobku wsi i miasta — wzbogaci naszą literaturę. Etapem na tej drodze jest poznawanie języka środowiska, w którym się obracamy, opanowanie języka poszczególnych zawodów, umiejętne posługiwanie się gwarami. Bez mistrzowskiego używania materiału językowego nie potrafimy pokazać piękna pracy socjalistycznej, nakreślić uroku krajobrazu wsi spółdzielczej, opisać atmosferę dyskusji, zmusić czytelnika, aby przejął się pulsującą prawdą opisu! Czy to wywalanie otwartych drzwi? Tak by było, gdybyśmy częściej uświadamiali sobie, że niedbałość językowa może zniweczyć wszelkie nasze wysiłki „terenowe", obniżyć wartość obserwacji, zmniejszyć społeczny zasięg utworu. Tak by było, gdybyśmy częściej pamiętali o ogromnym dorobku językowym twórców naszej literatury, o mocy języka mickiewiczowskiego, prostocie stylu Prusa, barwności Sienkiewicza, pasji językowej Stefana Żeromskiego...

V

Lubię lukrowane ciastka, bardzo smakują z herbatą. Ale nie lubię lukrowanej rzeczywistości. Widzimy ją niekiedy w przeróżnych utworach literackich. Rodzi się ona z naiwności, niedoświadczenia, niedojrzałości politycznej pisarzy. Wielu pisarzy napotykając na przejawy ostrej walki klasowej w terenie sądzi, że należy je upiększać. Lub gorzej jeszcze: ukrywać. Łagodzą walkę klasową w imię dobra demokracji ludowej. Wszystkie trudności zwalają na brak maszyn, na przestarzałe narzędzia produkcji, na zacofanie „techniczne" wsi. Nie widzą żywych ludzi. Nie widzą żywych konfliktów, które toczą się w ich duszach. Rozmawiają z człowiekiem z PGR-u, z fabryki, zza biurka partyjnego i nie domyślają się, że każdy człowiek ma swoją historię, długą jak jego życie. Dlatego niejeden działacz związkowy czy samorządowy ma twarz szarą jak wymięta gazeta. Dlatego po niejednym bohaterze pozytywnym pozostaje tylko nazwisko. Dlatego samo pojęcie „bohatera pozytywnego" stało się workiem, do którego pakuje się przeróżny towar. Przeważnie taki bohater jest automatem produkcyjnym, żywym trupem bez życia osobistego, bez konfliktów, bez wahań i skaz. A jak jest naprawdę? Naprawdę mamy kadry wspaniałych, wychowanych socjalistycznie ludzi, ale to są najbardziej żywi z żywych! Tymczasem pisarz macha na nich dłonią swej twórczej duszy i obdarza typy negatywne pięknym, dosadnym życiem. To samo z „konfliktami socjalistycznymi". Ulukrowane, tracą swój smak. Ryszard Matuszewski niedawno objeżdżał wsie w Kieleckiem. Wrócił pełen entuzjazmu: „Słuchajcie, żebyście wiedzieli, jakie wrażenie robi na wsi nowela Kuśmierka o Adachowej biedzie! Ludzie, dyskutowaliśmy godzinami z chłopami!" Jasne, że nowela się przydała w konkretnej agitacji na wsi, porusza bowiem zagadnienie bezlitosnego, nieludzkiego wyzysku biedoty wiejskiej przez kułaków, ukonkretnia mechanikę tego wyzysku, wskazuje na skomplikowane powiązania kułactwa z niektórymi przegniłymi ogniwami biurokracji, uwydatnia niebezpieczeństwa, trudności, powagę tej walki, rysuje zwycięskie jej perspektywy.

Żywy człowiek, budowniczy planu sześcioletniego! Jeśli pisarz wyjechawszy w teren nie poprzestanie na kalkowaniu gazetowych typów działaczy partyjnych, związkowych, samorządowych, przodowników pracy i nauki, jeśli dokładnie, realistycznie, odważnie zaobserwuje ludzi w „terenie", jeśli dostrzeże ich problemy zawodowe, moralne, rodzinne, które im nie pozwalają się rozwinąć w całej pełni, jeśli doceni, uszanuje ich ogromny wysiłek sprostania zadaniom, postawionym przed nimi przez partię i naród, jeśli pomoże im w walce, jaką toczą oni z przeżytkami starego w rodzinach, domach, biurach, fabrykach — i we własnych umysłach i sercach, jeśli przestrzeże ich przed załamaniem się, napiętnuje ich słabość i podniesie piękno ich życia — wtedy zdobędzie sobie to wszystko, o czym marzy prawdziwy twórca: przyjaźń ludzi pracy, szacunek i miłość czytelników, poczucie własnej mocy twórczej.

VI

Autorytet pisarza jest wysoki. Oczekuje się od niego rady, oceny, zachęty, pomocy. Kiedy zamaskujemy się jako pisarze, to oczywiście, możemy jadąc w teren osiągnąć te czy inne przelotne korzyści, bezpośredniość obserwacji, łatwiejszy kontakt z „człowiekiem"; ale cena wyrzeczenia jest bardzo duża. Potwierdzamy w ten sposób naszą inteligencką nieufność do literatury. Trzeba być w terenie pisarzem. Dobry pisarz ma szacunek dla każdego innego zawodu. Tak samo chłop spółdzielca i robotnik ma szacunek dla fachowca - pisarza. Nierzadko jednak nie wystarczy ujawnić swój zawód; trzeba również zamanifestować postawę polityczną. Uczestniczymy coraz częściej w zebraniach na fabrykach, w spółdzielniach, przyglądamy się zebraniom gromadzkim, naradom produkcyjnym. Zły to byłby pisarz, który przypatrując się walce, jaka toczy się na takich zebraniach, nie potrafiłby w pewnej chwili rzucić swego autorytetu na szalę dyskusji. Zły to byłby pisarz, który wymawiałby się wtedy wielkimi zadaniami, które stoją przed nim. Dopiero posmakowawszy trudu kierowania ludźmi, oceniwszy siłę argumentu, wypaliwszy się w dyskusji, pisarz może siąść do pisania; ileż pasji właduje wtedy w swą twórczość!

Ale tak pracować może w terenie jedynie pisarz, uzbrojony w ideologię marksizmu - leninizmu. Tylko pisarz tak uzbrojony może dostrzec istotne linie walki klasowej, zamanifestować twardą, przodującą postawę polityczną. Taki pisarz jest inżynierem dusz ludzkich nie tylko w dziele, które stworzy, ale i wcześniej: w trakcie zbierania materiałów, podczas pobytu w terenie, który nie jest wycieczką krajoznawczą, jak podróż Norwida z Wężykiem, ale konkretnym działaniem politycznym. Pisarz bowiem utwierdza autorytet sztuki socjalistycznej, popularyzuje w terenie literaturę, zdobywając zaś materiał pisarski, który umożliwia mu walkę o jakość, trwałość, piękno jego dzieła literackiego, walczy również o nowego czytelnika, który potrafi ocenić wysiłek pisarza; ocenić i przechować w pamięci narodu.

VII

Literatura nigdy nie ma czasu. Literaturze zawsze się śpieszy. Czas literatury nie jest czasem obrotu galaktyk. Pomocy w terenie, wychowania nowego czytelnika — nie należy odkładać do napisania wielkiej powieści. Jestem ostatnim, który by ośmielił się lekceważyć wielkie formy powieściowe, ale pierwszym, który by namawiał pisarzy do trwonienia materiału na gospodarkę „drobnotowarową". Przypatrzmy się niepokojącemu zjawisku, które towarzyszyło zeszłorocznym wyjazdom w teren: brak reportażu z terenu, brak szkicu literackiego, notatnika, dziennika. Rozpanoszyła się w literaturze jakaś niemrawość, ociężałość, nieruchawość. Zamiast reportaży, opowieści, korespondencji szpikowaliśmy pisma literackie ogromnymi referatami. Nie występuję przeciw referatom, sam się z nich uczę bardzo pilnie, ale jestem za wtargnięciem literatury na łamy pism literackich. W pierwszym roku planu sześcioletniego nie potrafiliśmy spopularyzować wielkich inwestycji przemysłowych; utknęliśmy na Nowej Hucie. Dziesiątki innych ośrodków przemysłowych, stacje traktorowe, POM-y, PGR-y, uczelnie robotnicze wołają o pisarzy, pisma literackie wołają o reportaże i szkice. Przecież „teren" nieraz wymaga natychmiastowej interwencji pisarza. Wiemy, że zbierając materiały do wielkiego dzieła, każdy pisarz notuje mnóstwo informacji, obserwacji, spostrzeżeń, które giną w notatkach, rozpraszają się w pamięci. Niechęć do reportażu, do ogłaszania notatek, dzienników, szkiców powoduje, że literatura taka nie może od razu wrócić na wieś czy do zakładu fabrycznego, nie pomaga od ręki w konkretnej walce klasowej. Jak to mówił Mickiewicz? „Aż się przedmiot świeży jak figa ucukruje..."

Lubię pisarzy, którzy nie mają czasu. Cenię pisarstwo M. Brandysa, Jarochowskiej, Koźniewskiego, Kuśmierka. Mógłbym jeszcze dorzucić parę nazwisk reportażystów pierwszego roku planu sześcioletniego. Myślę, że w drugim roku będzie nas więcej.

VIII

Wreszcie pisarz pojechał, posiedział, zanotował, wrócił, napisał, wydał! Wydawnictwo rozesłało książki po redakcjach, do krytyków; czeka. Autor także czeka, tylko niecierpliwiej. Na co czeka? Na recenzję. I cóż? Ano, to, że krytyk jest w kłopocie. Bo się **nie zna**. Na dobrą wiarę, na wyrobiony nos przyjmuje opisy, problematykę, postacie, konflikty. Bo krytyk nie odrywa się od biurka, od seminarium, od zakładu naukowego. Bo żyje książkami. A rzadko wpada mu do głowy pojechać w teren, posiedzieć kilka tygodni w różnych środowiskach, ponotować, poobserwować na własną rękę. Nie trudząc się tak, krytyk przemienia się w konsumenta mniej czy bardziej wypieczonych bułek. Je, co mu pod nos pisarz podsunie. Stąd brak, irytujący brak w naszej prasie publicystyki literackiej, która by ukazywała pisarzom najważniejsze konflikty współczesności, konfrontowała ich osiągnięcia z rzeczywistością społeczną i polityczną, pomagała im w codziennej pracy. Nie sztuka wytknąć pisarzowi tysiące pomyłek w jego nowej książce, sztuka go od tych pomyłek uchronić. I dopóki krytyka literacka nie weźmie wraz z pisarzami udziału w wyjazdach w teren, póki nie złapie bezpośredniego kontaktu z czytelnikiem, dopóty np. jej język będzie tak trudny, niezrozumiały, często cudaczny i napuszony, jak dotychczas to się jeszcze zdarza.

Obserwujemy zastój w krytyce literackiej. Przemieniła się ona w sztukę recenzowania pojedyńczych książek. Nie porusza prawie wcale bieżących problemów literackich, nie reaguje czujnie na drgnienia życia literackiego, nie namawia pisarzy do konkretnych prac. Ale po co mówić o wyjazdach w teren! Ileż razy się zdarza, że na dyskusjach pisarzy, na zebraniach sekcji twórczych w Warszawie brak jest właśnie — krytyków!

Oczywiście, pewną rolę zastępczą spełniają tradycyjne referaty związkowe. Zazwyczaj oceniają one roczny bilans życia literackiego. Referat sekretarza generalnego ZLP na styczniowym plenum literatów był pod pewnymi względami, że tak powiem, historyczny. Postawił on przed literaturą polską zadanie walki o jakość dzieła literackiego, o zdobycie nowego czytelnika: robotnika i chłopa, unaocznił pisarzom ich obowiązki w epoce budowania podstaw socjalizmu i walki o pokój.

Ale referat ma swoje prawa; nie jest ani encyklopedią ani zbiorem artykułów krytycznych; stawia, rozwiązuje zagadnienia, ale ich nie wyczerpuje. Od tego jest krytyka literacka. Niech nie idzie ona trop w trop za pisarzem, ale niech go wyprzedza!

Na wiosnę tego roku ruszy pierwsza ekipa krytyków na Śląsk. Zamierzają oni przedyskutować na wielkich kopalniach książki o klasie robotniczej Śląska, które ostatnio się ukazały. Można się spodziewać, że na łamy naszych pism literackich wtargnie żywa, bojowa publicystyka literacka.

Pisarze i krytycy spotykają się w redakcjach, na uniwersytetach, na posiedzeniach komisji, rzadziej na obradach sekcji twórczych. Jakaż będzie ich radość, kiedy nareszcie spotkają się razem w terenie!

IX

Właściwie, co się stało z Wokulskim? Doktór Szuman sądził, że pogrzebał się pod gruzami zasławskiego zamku, Rzecki, że „wziął się do jakiejś wielkiej roboty". Sam Prus ujmuje jego dalsze losy niezwykle lapidarnie: „Gdy los złamał w nim rycerza (pisze w polemice ze Świętochowskim), obudził się uczony; gdy zrobił go wdowcem po starszej kobiecie, ocknął się (z powodu niezużycia sił fizycznych) kochanek, który stał się spekulantem. Gdy zginął kochanek i spekulant, ocknął się znowu uczony". A właśnie, że się nie ocknął! Mógł się ocknąć, to prawda. Mógł — gdyby Bolesław Prus miał środki na „wyjazd w teren".

Dalszy ciąg „Lalki" miał się nazywać „Sława", Prus marzył o jej napisaniu, Kurier Warszawski zapowiedział jej druk. Ale Prus „Sławy" nie napisał. Nie mógł jej napisać, gdyż — jak pisze — „pierwej musiałbym 1-o poznać Paryż i jego stosunki społeczne, 2-o popracować w laboratorium. Na jedno i na drugie nie mam środków i w ogóle nie mogę pisywać rzeczy wymagających pieniężnego nakładu, gdyż mi się to nie opłaca. Z tego powodu „Sława" do dziś dnia nie jest napisana, choć byłem do niej tak przywiązany, że — wyraźnie zapowiedziałem ją w „Lalce".

W roku 1950 prawie 80 literatów wyjeżdżało w teren na kilkumiesięczne studia literackie. Jak podaje statystyka możemy się spodziewać w roku 1951 — 38 powieści, 16 tomów opowiadań, 6 tomików poetyckich, 4 sztuki teatralne. Ogromny wysiłek klasy robotniczej, mądra polityka kulturalna partii i państwa wzbogaciła naszą literaturę dziesiątkami nowych, wartościowych dzieł. Nigdy już nie będziemy mieli nienapisanych powieści dlatego, że się pisarzowi „nie opłaca", że nie stać go na wysiłek oderwania się od dorywczych zajęć. Naród, państwo, partia doceniają nasz trud pisarski.

Niedługo pisarze polscy znowu wyjadą w teren. Wrócą wzbogaceni o nowe doświadczenia, dojrzalsi, świadomi powagi swych zadań.

Tadeusz Borowski

MAREK FRITZHAND

O wychowaniu komunistycznym

Ukazał się polski przekład wybranych artykułów i przemówień Michała Kalinina*), poświęcony wychowaniu komunistycznemu.

Michał kalinin (1875—1946) w ciągu 27 lat, od 1919 do 1946 roku, przewodniczący prezydium Rady Najwyższej ZSRR, uczeń i współtowarzysz walki i pracy Lenina i Stalina, zdobył sobie ogromną miłość i zaufanie człowieka radzieckiego, a nade wszystko młodzieży. Rzadko dotąd historia widziała na najwyższym stanowisku państwowym człowieka tak skromnego, tak kochającego ludzi, tak oddanego sprawie ich szczęścia.

Sprawie wychowania nowego człowieka socjalistycznego poświęcił Kalinin wszystkie swe siły. Sam był człowiekiem o jasnym, przenikliwym umyśle, rozporządzał olbrzymim doświadczeniem starego bojownika komunistycznego, zdobył w trudzie i boju wielkie mądrości życiowe, nieustannie pogłębiał swą wszechstronną erudycję. Cechowała go płomienna miłość postępu i nienawiść do wstecznictwa, wspaniałe, twórcze opanowanie teorii i metody marksizmu — leninizmu.

Idąc w ślad za Leninem i Stalinem, Kalinin całym swym życiem i działalnością, w teorii i w praktyce, dobrze zasłużył się sprawie urzeczywistnienia genialnego wskazania Marksa, — iż należy „zorganizować ten świat w taki sposób, by człowiek odnalazł w nim i przyswoił sobie wszystko to, co jest rzeczywiście ludzkie, by poczuł się istotnie człowiekiem".

Książka „O wychowaniu komunistycznym" to nie tylko wybór artykułów i przemówień Kalinina, niezwykle cennych dla teorii i praktyki pedagogiki radzieckiej — to także zwierciadło osobowości ich autora. Już sam styl Kalinina ukazuje jego skromność i prostotę, a równocześnie głębię i świeżość jego umysłu, z miejsca zyskując mu szczerą sympatię czytelnika. Styl ten jest prosty, naturalny, niewymuszony, a zarazem przekonujący, sugestywny, zmuszający do samodzielnego myślenia i przeżywania. Jest na wskroś własny, indywidualny, a jednak dostępny i powszechnie zrozumiały. Kalinin zresztą przykładał wielką wagę do języka wychowawców. Zalecał im, aby wykształcili go na najlepszych klasycznych wzorach, aby unikali wszelkich frazesów i wyświechtanych liczmanów słownych.

Kalinin nie cierpi sztuczności nie tylko w języku, ale i w życiu. Walczy z wszelkiego rodzaju urzędową blagą i blichtrem oraz konwencjonalnym stosunkiem do ludzi, potępia wynoszenie się jednostki ponad ogół, uczy rzeczowego podejścia do zagadnień, propaguje twórczą inicjatywę, odwagę w myśleniu i postępowaniu, nietracenie z oka odległych, lecz dających pełnię obrazu perspektyw ideowych. „Któryż prawdziwy komunista — mówił Kalinin do sekretarzy organizacji partyjnych miasta Moskwy — nie jest potrosze filozofem? Spójrzmy daleko w przód, w odległą perspektywę. Zdaje mi się bowiem, że staliście się nazbyt praktyczni, stale tylko patrzycie pod nogi, tak boicie się potknięcia". A w innym miejscu: „Boicie się popełnić błędu. Ale cóż się stanie złego, jeśli się omylicie? Karze się u nas nie za błędy... Karze się tego, kto broni swych błędów, kto się tych błędów trzyma, odchodzi od linii partii".

Piękny jest nakreślony przez Kalinina obraz pracownika partyjnego. Rolą pracownika partyjnego nie jest nadzorowanie mas, lecz prowadzenie ich naprzód za świadomym, przodującym oddziałem. Partyjnik wywiąże się z tego zadania, gdy nie będzie wynosić się nad innych, gdy nie będzie zarozumialcem i pyszałkiem, gdy cechować go będzie bolszewicka skromność. Musi on być absolutnie bezstronnym, winna zeń promieniować szczerość i uczciwość, winien walczyć nie o efektowność, lecz o efektywność. Najtrudniejsze, najdrażliwsze sprawy musi stawiać ostro, nieprzejednanie, ale słusznie, partyjnie. Z obrazu tego, jak nie trudno się domyśleć, spoziera na nas sam Kalinin. Wkładał on w swoje dzieło i w swoje nauki całą duszę, a ponieważ był prawdziwym bolszewikiem — pozostał na zawsze jednym z wzorów człowieka radzieckiego.

TAJEMNICA MŁODOŚCI „STARYCH BOLSZEWIKÓW"

Kalinin umuje jednak czytelnika nie tylko swym stylem, nie tylko niepospolitą skromnością przy jednoczesnej mądrości i serdeczności, ujmuje go przede wszystkim swym pięknym, młodzieńczym pojmowaniem życia. Częstokroć nazywa sam siebie starcem, ale czyni to żartem, gdyż wie, iż nikogo nie zwiedzie siwą brodą. Starość odznacza się wrażliwością na powaby życia, a tymczasem Kalinin jest w stosunku do nich wciąż pełen entuzjazmu.

*) Michał Kalinin „O wychowaniu komunistycznym". Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950, str. 267. Przełożyła Teofila Wajntraub.

Michał Kalinin

„W jakiej epoce historycznej istniał ciekawszy okres? — pisze. Kiedy było więcej heroizmu i dramatyzmu niż w naszych czasach? Nasza socjalistyczna rewolucja po raz pierwszy w historii, walcząc o interesy klasy przodującej, klasy najbardziej postępowej na przestrzeni wieków — proletariatu, walczy jednocześnie o interesy całej pracującej ludzkości... Kto pragnie żyć dla pracy socjalistycznej, ten tworzy, zmienia życie, walczy, niweczy to, co stare, wznosi nowe... Żyć w takich czasach to istotnie wielkie szczęście... Pomimo swych pięćdziesięciu ośmiu lat czuję się najszczęśliwszym człowiekiem, ponieważ żyję w tym okresie. Komunizm nadejdzie — jesteśmy tego pewni — życie stanie się piękne i ciekawe; niemniej jednak najpiękniejszym momentem jest ten, kiedy toczy się walka klas, a ty sam bierzesz w niej udział i masz przekonanie, że w walce tej zwycięzcą będzie proletariat".

Oto źródło młodości Kalinina, skutecznie opierającej się naciskowi czasu. Prawdziwy komunista do końca życia pozostaje młody. „Jeśli żyjemy powszechną, wspólną ideą — zdradza Kalinin tajemnicę młodości starych działaczy bolszewickich — jeżeli stawiamy ponad wszystko sprawy ogółu, żyjemy sprawami i nadziejami swojego otoczenia — to te ogólne sprawy ludzkie czynią nas, komunistów — starców, młodymi".

KALININ O MORALNOŚCI

Starość nie ma dostępu do ludzi socjalizmu, którzy pragną „zdobyć świat", którzy pragną „objąć ludzkim rozumem... nie tylko świat istniejący na kuli ziemskiej, lecz cały wszechświat..."

Zdobywając świat, ludzie radzieccy zmieniają go na lepsze, a zmieniając go, zmieniają i siebie samych. Przekształca się ich tryb życia, przeistaczają się stosunki wzajemne. Rodzi się nowa moralność nie mająca nic wspólnego z obłudą, faryzeuszowską moralnością burżuazji. Ta nowa moralność wyrasta na podłożu nowej radzieckiej bazy ekonomicznej i jest wynikiem świadomej, zarówno organizacyjno-gospodarczej, jak i kulturalno-wychowawczej działalności partii bolszewickiej i państwa radzieckiego. Będąc rezultatem budownictwa socjalistycznego jest ona zarazem i przesłanką dalszego jego rozwoju.

Poglądy na moralność Kalinin wykłada przede wszystkim w dwóch znakomitych pracach: „O wychowaniu komunistycznym" i „O obliczu moralnym narodu". Sprawy moralności zostają tu ściągnięte z nieba na ziemię, badanie ich odbywa się za pomocą naukowych przesłanek i metod, nie ma tu miejsca ani na tak charakterystyczny dla współczesnej etyki imperialistycznej immoralizm, ani na jałowe, semantyczne dzielenie włosa na czworo. Etyka marksistowska to prawdziwa nauka, która umożliwia skuteczną walkę z przeżytkami kapitalistycznej moralności i świadome kształtowanie nowej moralności powstałej w ogniu budownictwa socjalistycznego, w imię szczęścia i pełnego rozwoju osobowości ludzkiej.

Kalinin wykazuje, że moralność istnieje od zarania dziejów społecznych i że w ostatniej instancji wyznacza ją i określa rozwój ekonomiczny. W społeczeństwie klasowym moralność nabiera charakteru klasowego i służy klasom panującym do ujarzmiania ludzi pracy. W walce klas rewolucyjnych przeciwko ciemiężcom wykuwają się zręby prawdziwej, ogólnoludzkiej moralności, której urzeczywistnienie staje się misją dziejową proletariatu. Zwycięstwo proletariatu na 1/6 kuli ziemskiej dzięki Wielkiej Rewolucji Październikowej stworzyło najwyższą moralność, jakiej jeszcze nie widziało dotąd żadne społeczeństwo ludzkie. „Oczywiście, nie znaczy to — wyjaśnia Kalinin — że ludzie obudzili się pewnego pięknego poranka olśnieni nagłym błogosławieństwem — nową moralnością socjalistyczną. Już Marks wskazywał, że świad[illegible] ludzka pozostaje w tyle za [illegible]jem ekonomicznym i że wob[illegible] go sam przewrót rewolucyj[illegible] zdoła od razu unicestwić [illegible]kich przeżytków kapitalizmu [illegible]ralność socjalistyczna, rozwij[illegible] i krzepła w bohaterskich [illegible] ludzi radzieckich o społecz[illegible] socjalistyczne, w zmaganiach [illegible]gami wewnętrznymi i zewnę[illegible]mi, w nieustannej walce ze „[illegible] paskudztwem" (Marks), [illegible] wniósł do psychiki ludzkiej [illegible] kapitalistyczny. Trzeba bu[illegible] komunizm — uczy Lenin — [illegible]sowego materiału ludzkiego, [illegible]sutego wiekami i tysiącleciami [illegible] wolnictwa, poddaństwa, kap[illegible]mu, drobnego, rozbitego gosp[illegible]wania, wojny wszystkich p[illegible] wszystkim o miejsce na ry[illegible] wyższą cenę za produkt lub [illegible] Innej drogi nie ma, ale dro[illegible] prowadzi prosto do celu, ja[illegible] bezspornie dowiódł wspaniały [illegible]kład Związku Radzieckiego. [illegible] wszystkim trudnościom mor[illegible] socjalistyczna rozwinęła się [illegible] i okrzepła coraz głębiej pr[illegible]jąc do świadomości najsze[illegible] mas, stając się organiczną [illegible] nowego człowieka kroczącego [illegible] komunizmowi.

Najpiękniejsze stronice [illegible] Kalinina „O moralnym oblic[illegible]rodu" podsumowują osiągnięc[illegible]cjalistycznej moralności w [illegible] ilustrując słuszność swych [illegible] m. in. na gigantycznym przy[illegible] Wielkiej Wojny Narodowej. [illegible] moralność — reasumuje tę [illegible] Kalinin — daje „państwu r[illegible]kiemu siłę ogromnej odp[illegible] w stosunku do napastników, [illegible]wa pracujących w fabrykach [illegible] polach, rodzi bohaterstwo na [illegible]tach masowych; jest jednym [illegible] ważniejszych elementów [illegible]stwa".

ZASADY WYCHOWAWC[illegible]

Zrozumiałe więc, że wych[illegible] komunistyczne nie tylko [illegible] szkołę, ale i przez życie pol[illegible] przyswajaniu człowiekowi [illegible] nowej, socjalistycznej mora[illegible] najwyższej moralności, jaką [illegible]storia ludzka. Wychowawc[illegible] partii, państwu, nauczycielom [illegible]somołowi itp. — pomaga tu [illegible] życie, pomaga ustrój socjalis[illegible] który jest naturalnym op[illegible] i dźwignią nowej moralności. [illegible]nin obszernie analizuje posz[illegible]ne składniki tej moralności, [illegible]wiając na pierwszym miejscu [illegible] cnoty, jak miłość ojczyzny i [illegible]wiść do jej wrogów, socjalis[illegible] stosunek do pracy i własności [illegible]łecznej, kolektywności w [illegible] i w życiu, socjalistyczny hum[illegible] przyjaźń i koleżeństwo, ucz[illegible] i odwaga, wysoka ideowość [illegible]tura.

Oto co pisze o miłości ojc[illegible] „Mówię nie o abstrakcyjnej, [illegible]nicznej miłości, lecz o miłości [illegible]tarczywej, namiętnej, nie[illegible] o takiej miłości, która nie zna [illegible] dla wrogów, która się nie [illegible] przed żadnymi ofiarami w im[illegible]czyzny". Lub o kolektywności: [illegible]jęcia kolektywności nie wolno [illegible]szać z pojęciem instynktu s[illegible]go.. Kolektywność, to ...wprow[illegible] nie społecznych nawyków w [illegible]wórczości, w byt powszedni, [illegible]cie, stwarzanie takich warun[illegible] przy których kolektywność [illegible]wiłaby nieodłączną część n[illegible] przyzwyczajeń, norm zaste[illegible]nia... Kolektywność ta, [illegible] przeciwieństwem burżuazyjne[illegible] dywidualizmu i egoizmu, a [illegible]cześnie podstawowym warun[illegible] zwycięskiego marszu do kom[illegible]mu, jest również źródłem pr[illegible]wego szczęścia człowieka. [illegible]wiek powinien kochać ludzi, [illegible]mu się się lepiej żyło, życie [illegible] stanie się weselsze, bo nikom[illegible] jest tak źle na świecie, jak [illegible]tropowi, odludkowi". W [illegible] zaś ze swych przemówień do[illegible]dzieży Kalinin powiada: „...c[illegible] że być większą nagrodą dla [illegible]wieka niż świadomość ,że d[illegible] czegoś dla społeczeństwa? N[illegible] większej nagrody! Choćbyście [illegible]kreślili nie wiem jak piękne [illegible] nie znajdziecie w niczym w[illegible]go zadowolenia niż w myśli, [illegible]steście użyteczni. Świadomo[illegible] daje człowiekowi pełne zad[illegible]nie".

Kalinin daleki jest jednak [illegible]strakcyjnego moralizatorstwa, [illegible]gólnikowego rozprawiania o w[illegible]łych celach wychowania w od[illegible]niu od codziennej pracy ped[illegible]cznej. „Jeśli nasze wychowan[illegible]dzie zewnętrznie doskonałe, [illegible] abstrakcyjne — podkreśla [illegible] jeśli ono nie będzie rzeczowe, [illegible]terialnie związane z walką o [illegible]szy wzrost socjalistycznego [illegible]stwa, o wzmacnianie jego p[illegible] w obecnej walce klasowej, [illegible] parodią wychowania". Kom[illegible] to nie jest jakaś odległa pers[illegible]wa, jakiś daleki cel. Cel ten [illegible]czywistnia się w dniu dzisie[illegible] który przecież jest drogą do [illegible]nizmu, jest jutrzenką pięknej [illegible]szłości. Toteż Kalinin potępia [illegible] wszystkich, którzy „skłonni [illegible]mować komunizm jakoś ab[illegible]cyjnie, nie wkładając w to p[illegible] treści konkretnej. A co oznac[illegible]

(Dokończenie na str. 10)

JOAQUIN GUTIERREZ

OD MAPOCHO DO WISŁY

Joaquin Gutierrez jest członkiem komunistycznej Partii Chile. Pochodzi z republiki Costa Rica, gdzie urodził się w roku 1918. Mimo że od wczesnej młodości mieszka w Chile, twórczość swą poświęca swemu krajowi rodzinnemu. Dwie powieści z życia proletariatu Costa Rica: „Mantar" i „Puerto Limon" (Port Limon) gotują się wkrótce w przekładzie polskim w wyd. „Książka i Wiedza". Joaquin Gutierrez był delegatem republiki Costa Rica na II Kongres Obrońców Pokoju w Warszawie i przebył w Polsce dwa tygodnie. W drodze powrotnej zatrzymał się w Paryżu i stamtąd wysłał do Chile do Costa Rica artykuł „Od Mapocho do Wisły", który poniżej drukujemy. Jak się dowiadujemy, za udział w Kongresie Pokoju w Warszawie Gutierrez utracił posadę w wydawnictwie chilijskim, w którym dotychczas pracował.

Wyjechałem z nad Mapocho — teraz na jej brzegach wszystko kwitnie. Rzeka ta płynie od łańcucha Kordylierów do morza — dumnego, że śpiewał o nim Neruda, — meandrowałem przez rzekę La Plata bujnie porośniętych, czupryniastych brzegach, płynąłem przez rzekę Tajo, pośród akwarelowych krajobrazy (a także pośród nędzy). Minąłem rzekę Manzanares, o wodach pachnących krwią, minąłem rzekwanę, koloru szparagów, śpiącą w ciągu dnia w swym łożu z cementu jak piękna i pusta kobieta. Potem leżałem nad Wełtawą z gotyckimi mostami, pokrytą już teraz wesołą, trzaskającą skorupą lodu, wreszcie przybyłem nareszcie nad Wisłę, najpiękniejszą ze wszystkich rzek, bo w powierzchni jej wód przegląda się najwspanialsza wiosna, wiosna ludzkości.

Mógłbym opowiadać o miastach, w których mieszkałem podczas tych nagęszczonych zdarzeniami siedemdziesięciu dni podróży: o Buenos Aires, najmniej łacińsko-amerykańskim mieście spośród Ameryki Łacińskiej, zbudowanym z fetorickiego cementu, i zbyt, niestety, podobnym do Chicago, o Rio de Janeiro, gdzie natura jest tak obfita i płodna, że oszałamia.

Mógłbym mówić o Lisbonie, która, mimo swej malowniczości, nie pozwala nam zapomnieć, że w jej centrum znajduje się dzielnica arabska i Alfama, gdzie mieszka się w przegniłych życiach ludzkich, złożonych w ofierze na przestrzeni pięciuset lat.

Nie mógłbym, o na pewno, nie życzyć jednego słowa pochwały Madrytowi, myślałem tam bowiem bez przerwy o tym, że chodzę po ziemi, którą zdobyto gwałtem i zbrodnią, dokonaną na bohaterskim ludzie, co dzień o świcie zapijanym i bez ustanku prześladowanym. Gdy człowiek przejeżdża przez Madryt stara się być podświadomie głuchy, bo boi się usłyszeć jęki torturowanych więźniów i krzyki rozstrzeliwanych. W Madrycie na Granv Via chodzą szeregami żandarmi z Guardii Civil z pistoletami maszynowymi i co kilka ulic wpada się nagle w centrum najtragiczniejszej nędzy. Ale byłem także i w Paryżu, gdzie w powietrzu latają niewidoczne pyłki kokainy, w Paryżu, który jest miastem oszołomień, marzeń, tysiące razy przemarzonych, gdzie każdy plac, każdy kamień, każdy okrzyk „oh, la la", każdy marmur i każda wieża wydają nam się odnalezione na nowo, i są tak znajome, jak gdybyśmy tu żyli od urodzenia. Paryski Pierre, paryska Jacqueline, Antoine i Genevieve, ich serca i twarze wydają nam się znane. Ale tu panoszy się też wszelka perwersja i frywolność; rozpacz i wrogość rozmieniona na drobne idą ramię w ramię i zewsząd wyziera to stare, widoczne na każdym kroku tuż obok świata, który zmartwychwstaje, ale ciągle jeszcze walczy i ciężko walczy o możliwość dalszego rozwoju. Bo w Paryżu nowe pędy już czekają pod powierzchnią ziemi, ale to co człowiek widzi na zewnątrz, to cywilizacja, która już spełniła swoją rolę i, jak zwiędły kwiat, gubi zeschnięte płatki. I chociaż Paryż pozwala oglądać szczyty osiągnięć kultury ludu francuskiego zdobytych w ciągu tysięcy lat pracy największych jego talentów, to w tym najpiękniejszym z miast trzeba głośno powiedzieć, że miasto nie może pozostać muzeum i że stojąca woda w pewnej chwili zaczyna ulegać gniciu.

Potem znalazłem się w Pradze pośród ludu skoncentrowanego w pracy i w sposób zawrotny budującego swoją nową cywilizację. Praga rozporządza 740 bibliotekami na skąpy milion mieszkańców, w Pradze na ulicy nie można rozróżnić pozycji społecznej mieszkańców, bo wszyscy są ubrani „jak na niedzielę", a przykład ten ilustruje najwyższy poziom życia jaki gdziekolwiek udało mi się stwierdzić. Ale powiedziałem, że przyjechałem w końcu nad Wisłę i muszę dodać, że jeśli chciałbym mówić specjalnie o jakimś mieście, to jest nim Warszawa.

Dlaczego Warszawa?

Bo w każdej cegle jej odbudowujących się domów tkwi kropla krwi i garstka popiołu kości jej bohaterów, a mimo to jest ona miastem najwspanialej wesołym, zdrowym czystym, rozkwitającym życiem nawijających się co chwila na oczy dzieci, tęgich i różowych, jak piękne owoce. Jest to miasto cudów, które tworzy ludzka praca.

Nim powiem coś więcej, jak to mam we zwyczaju, postawię sobie samemu pytanie: czy nie czas uporządkować myśli i pisać o Kongresie Pokoju? Przecież w tym celu tam pojechałem. I odpowiadam sobie: nic z tego, ładunek wzruszenia jaki otrzymałem w kontakcie z ludem Warszawy był tak wielki, tak zagęszczony, że póki nie wypowiem tego co czuję, nie potrafię pisać o niczym innym. Spróbuję więc wyzwolić się od nawału przeżyć, wybierając jeden temat spośród setki innych.

Mieszkałem pół miesiąca w dzielnicy Mokotów, na ulicy Szustra. Tam dzieliłem razem z dwoma innymi delegatami mieszkanie robotnicze, świeżo ukończone i gotowe do oddania nowym mieszkańcom. Składało się ono z dwóch pokoi, kuchni i łazienki. Zaraz po Kongresie wprowadziła się tam robotnicza rodzina.

Co miało w sobie tak nadzwyczajnego to mieszkanie, że stało się dla mnie niemal symbolem stolicy, że zrobiło na nas takie wrażenie? Spróbuję to wytłumaczyć. Po zastanowieniu stwierdzam: było to mieszkanie bez porównania lepsze, niż mieszkania w jakich żyją wszyscy chłopi, wszyscy robotnicy i ogromna większość klas średnich w Ameryce Łacińskiej. Ale nie tylko o to chodzi, nie tylko o to. Nie podkreślam tutaj, że stały tam ładne, proste, drewniane łóżka o prawie wiejskim uroku, że na ziemi leżał gruby dywan, że za oknem leżało morze ruin miasta zbrodniczo zniszczonego wojną (odbudowa tej dzielnicy jest dopiero rozpoczęta) ani tego, że na stole leżał ładny ludowy haftowany obrus, a w oknach wisiały firanki, ani tego, że w glinianym dzbanku stały kwiaty na stole, ani nawet tego, że gdyśmy powracali wieczorem z Kongresu znajdowaliśmy na stole jabłka, gruszki i papierosy. Wszystko to było tylko jednym z tysiąca prostych, ludzkich sposobów, w jakich warszawianie objawiali nam swoje uczucia. Nie chodzi o każdą z tych rzeczy z oddzielna, ale o wszystkie razem i o coś znacznie jeszcze większego — co spróbuję, może niezręcznie, oddać stwierdzeniem, że unosi się z tego wszystkiego wrażenie czystości wewnętrznej, prostoty duszy, rodzącego się nowego życia i wielkiego poszanowania ludzkiej godności.

Ów wielki budynek z mieszkaniami nie miał służby. A spało w nim przecież wielu kongresowiczów, więc łóżka trzeba było posłać, dywany wytrzepać, zamieść podłogę. Ale pierwszego dnia, gdy wróciliśmy z Kongresu wyszło nam naprzeciw kilka ładnych wesołych dziewczątek, które zdjęły płaszcze, włożyły białe fartuszki i zaczęły sprzątać. Były to studentki medycyny. Do tej pracy zgłosiły się ochotniczo.

Zrozumcie mnie dobrze. Aby scharakteryzować stosunek do pracy w demokracjach ludowych dodam jeszcze, że w Pradze ludzie mówią sobie zamiast „dzień dobry" — „cześć pracy".

Pewnego wieczoru oglądając w warszawskim teatrze rosyjski balet, zauważyłem, że za mną siedzi studentka medycyny, która sprzątała nam pokój.

Czyż ten świat przypomina w czymkolwiek świat, w którym my żyjemy?

Niech każdy kto czyta te słowa uczyni największy wysiłek woli, aby pomóc mi rozwiązać trudności, jakie napotykam, gdy przychodzi mi wyrazić moje własne uczucia. Wiem, że wypowiadam się niezgrabnie, z niezgrabnością dziecka, które stawia swoje pierwsze kroki. Ale będę jeszcze dalej mówił o tych przeżyciach, aby spróbować wyjaśnić je sobie do końca, bo wiem, że w gruncie rzeczy w tym co czułem i widziałem w Warszawie tkwi jądro całej mojej przyszłej działalności jako pisarza. Gdzie leży źródło tego? Gorki powiadał, że trzeba studiować przeszłość i patrzeć w przyszłość, aby umieć rozumieć teraźniejszość. Jeżeli będę pisał nadal, to będą to powieści, w których wystąpi cała prawda, cała realność teraźniejszości, tak jak starałem się pisać dotychczas, ale te książki będą ożywione nowym wiewem i nowym ogniem przemiany, nowym, ciepłym wiatrem przyszłości. Tak — aby zrozumieć głęboko teraźniejszość, trzeba patrzeć w przyszłość, a w Warszawie nie tylko patrzyłem, ale żyłem nią; odtąd będę ją miał stale przed sobą, jak wybraną gwiazdę.

Istnieją głuchoniemi serca. Nie dla nich są przeznaczone te słowa. Dla nich one nie będą znaczyły nic. Bo dla nich nie znaczą nic ani rozumowania, ani logika faktów. Może potrafiłbym zrobić na nich wrażenie liczbami statystycznymi, bo w świecie, w którym oni żyją, rozwinął się szósty zmysł, który pozwala z wielkiej odległości usłyszeć szelest banknotów i brzęk padającej monety, i liczby są dla nich rodzajem pieśni.

A cyfry, o których bym mówił, zrobiłyby na nich wrażenie, dowodząc, że nigdy jeszcze w historii żadne miasto z tak zawrotną szybkością tak imponująco i pięknie nie podniosło się z ruin, jak Warszawa. Ludzie ci oszaleliby z zazdrości, widząc miłość pracy robotników Warszawy, podczas gdy ich „świńscy parobkowie", przemęczeni i wyziskiwani, z nienawiścią odwalają robotę. Ale moim językiem nie są cyfry. Nas, pisarzy zakwalifikowano jako „inżynierów dusz ludzkich" i powinniśmy nimi być. Ale muszę w tym miejscu podkreślić, że abyśmy my pisarze mogli się stać inżynierami dusz innych ludzi, musimy zacząć od samych siebie, a pod tym względem najlepszą, najgłębszą i najwnikliwszą nauką uzyskaną od życia była dla mnie lekcja, jaką dał mi lud Warszawy.

A teraz, gdy wypowiedziałem wreszcie wzruszenia tej podróży czuję się spokojniejszy. I wierzę, że wszyscy uczciwi i prości ludzie mnie zrozumieją.

Joaquin Gutierrez

W obronie Prestesa

Faszyzm południowo-amerykański pod patronatem reżimu Trumana przygotowuje nową zbrodnię. Jej ofiarą ma paść bohater narodowy Brazylii, przywódca mas pracujących tego kraju, jeden z największych bojowników o wyzwolenie narodów Łacińskiej Ameryki spod jarzma imperializmu amerykańskiego, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Brazylii — Luis Carlos Prestes.

Życie i działalność Prestesa stanowią najpiękniejszą kartę w dziejach ludu brazylijskiego i jego rewolucyjnej awangardy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Pieśń ludowa, legenda, która otacza tę bohaterską postać, przydały Prestesowi przydomek: „CAVALEIRO DE ESPERANCA — RYCERZ NADZIEI". Czołowy pisarz walczącej Brazylii Jorge Amado poświęcił mu piękną książkę pod tym tytułem. Luis Carlos Prestes jest dla milionów wyzyskiwanych niemiłosiernie robotników Brazylii, dla wszystkich bojowników o sprawiedliwość społeczną i pokój Południowej Ameryki ucieleśnieniem nadziei i lepszej przyszłości. „Wszedł za życia do Panteonu — powiedział o nim Romain Rolland — i należy do całej ludzkości".

Dziś faszystowski rząd brazylijskiego dyktatora Dutry przygotowuje zamach na życie Prestesa. Na przywódcę proletariatu brazylijskiego policja Dutry i agenci amerykańskiego wywiadu F.B.I. urządzają wielkie łowy. Potrzebna im jest głowa Prestesa, na którą wyznaczono nagrodę miliona cruzeiros. Na życzenie ministra spraw wewnętrznych Brazylii Sąd Najwyższy wydał nakaz aresztowania przebywającego w konspiracji Prestesa, a na rozkaz Departamentu Stanu wytacza się zaoczny proces przeciw wielkiemu rewolucjoniście. Faszyści łakną krwi przywódcy komunistów brazylijskich, gdyż ten stoi na zawadzie ich planom oddania Brazylii w wieczyste lenno dolara.

Prestes rozpoczął walkę z faszystowską dyktaturą jeszcze w roku 1924. Jako młody oficer stanął na czele rewolty wojskowej, której ostrze skierowane było przeciw dyktaturze ówczesnej soldateski. Na czele zbutowanych oddziałów Prestes przemierzył wówczas całą Brazylię, serdecznie witany przez lud, przeklinany przez bogaczy: plantatorów i przemysłowców. W końcu uległ przemocy i poszedł na banicję. Dopiero po dziesięciu latach

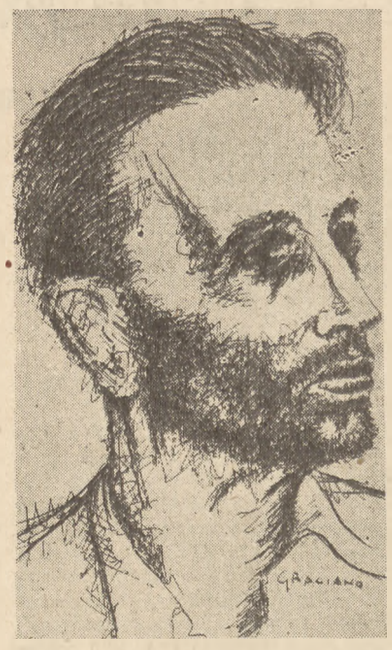

Luis Carlos Prestes

powrócił potajemnie do kraju, gdzie rozwinął ożywioną działalność rewolucyjną, stając na czele ruchu antyfaszystowskiego, który zwalczał despotyczne rządy Vargasa. Prestes niedługo cieszył się wolnością. Wytoczono mu proces sądowy, który skończył się wyrokiem skazującym go na przeszło 48 lat więzienia. Wyrok ten wywołał oburzenie całego postępowego świata, w Europie najwybitniejsi intelektualiści wystąpili z protestem przeciw haniebnym praktykom „sprawiedliwości" brazylijskiego faszyzmu. Zemsta siepaczy Vargasa dosięgła również żonę Prestesa, niemiecką antyfaszystkę, którą wydano na łup gestapo.

Luis Carlos Prestes od trzech przeszło lat ukrywa się przed policją brazylijską, kierując z konspiracji działalnością Komunistycznej Partii Brazylii. Przyczyną wydania nakazu aresztowania jest Manifest Partii Komunistycznej, który Prestes wydał 18 stycznia 1948 roku. Manifest ten oskarża rząd Dutry jako rząd zdrady narodowej, który wydał Brazylię na pastwę monopoli i trustów amerykańskich i przygotowuje kraj do agresywnej wojny. Odezwa zarzuca rządowi pogwałcenie wszystkich gwarancji konstytucyjnych i bratanie się z bandytami imperializmu międzynarodowego. Wzywa ona lud brazylijski do masowej walki w obronie wolności i do sprzeciwienia się naciskowi amerykańskiego kapitału, apelując do wszystkich patriotów i zwolenników pokoju o podwojenie wysiłków w walce przeciw nowej wojnie. Manifest styczniowy występuje w obronie strajku, jako niezawodnego oręża w politycznej i gospodarczej walce wyzyskowanego proletariatu. Wskazuje wreszcie, że tylko rząd ludowy może zapewnić niezależność narodową, dobrobyt mas, sprawiedliwość społeczną i zapobiec temu, aby młodzież brazylijska stała się mięsem armatnim Wall-Streetu.

Rzecz jasna, że Manifest Partii Komunistycznej był niebezpieczną dla faszystów bronią w rękach ludu brazylijskiego, toteż rząd postanowił się rozprawić z jego twórcą. Przygotowywany przeciw Prestesowi proces ma być legalną przykrywką dla planowanego mordu. Razem z Prestesem oskarża się jego wiernych przyjaciół, rewolucyjnych działaczy brazylijskich i niezłomnych antyfaszystów. Władze brazylijskie już przed pewnym czasem rozpuściły fałszywe pogłoski o aresztowaniu Prestesa i jego towarzyszy, chodzi im bowiem o złamanie nieugiętej postawy brazylijskiej klasy robotniczej i stworzenie klimatu odpowiedniego do dalszych zamachów dyktatury na prawa ludu. Chodzi o ułatwienie morderstw dokonywanych na działaczach rewolucyjnych i zapewnienie zupełnej bezkarności dla swawoli faszystowskich siepaczy i podżegaczy wojennych

Nagonka na Prestesa spotkała się ze zdecydowanym protestem mas pracujących Brazylii i postępowych elementów we wszystkich krajach obu kontynentów W Europie rozwija się dziś spontaniczny ruch w obronie Prestesa, wszędzie powstają „Komitety solidarności z Prestesem", które domagają się zaprzestania prześladowań przywódcy ludu brazylijskiego Do tych protestów przyłączają się masy pracujące całej Europy, uczeni i artyści Na życie Prestesa godzi klika zdrajców i zbirów, w obronie tego życia stają setki milionów bojowników o pokój, cała postępowa ludzkość.

Polskie masy pracujące, intelektualiści polscy i rzesze bojowników o pokój w naszym kraju z całą energią wezmą udział w walce o ocalenie „Rycerza nadziei" Społeczeństwo polskie wyraża solidarność z Prestesem, który należy do nas, budowniczych socjalizmu, żołnierzy n a d z i e i.

R ę c e p r e c z o d L u i s a C a r l o s a P r e s t e s a!

PABLO NERUDA

przełożył LECH PIJANOWSKI

HOWARD FAST

Zwracam się do Howarda Fasta w więzieniu, ściskam Cię, towarzyszu,
mówię do Ciebie: witaj, bracie.
Widziałem bramy Hiszpanii zamknięte i czoło poety —
wszystko światło Hiszpanii, padające w cień.
Krwawe bestie zbliżały się doń, by go witać i odtąd
jest tylko ciemność i noc, krew i łzy na ziemi hiszpańskiej.
Nie jestem stąd, jestem z Chile, towarzysze moi daleko,
tam, i moje książki i dom mój naprzeciw fal,
które rodzą się z zimnego Pacyfiku.
Oni mnie także chcieli widzieć w więzieniu,
lub umarłego, milczącego na zawsze.

Franco, Truman, Trujillo nienawidzą głosu człowieka.
Zanim zakują w łańcuchy ludy i zanim położą
piętno terroru na wszystkich ludzi na ziemi,
chcą polować na człowieka, który pisze lub śpiewa.
Franco nosi plamę skrzepłej krwi na krawacie,
Trujillo co dzień ostrzy więcej sztyletów,
dozorca więzienny Truman chowa się za kratami,
które zamykają myśl Ameryki.

Któż zna ból Paragwaju? Kto poczuł
w ustach gorzki smak krwi, który do Ciebie dociera,
bo w ziemi Arepiqua zostawiają umarłych
na piasku, straszliwe szkarłatne plamy.
W Boliwii zastrzelono górnika
u podnóża olbrzymiej góry cyny,
wzniesionej rękoma, co dziś się w nicości otwarły.
W Wenezueli łańcuchy odpływają w morze,
w zapomnienie, by zasiać kiedy indziej hańbę.
W Kolumbii rozbito silny prąd głosu ludu
w ciszy, a w Chile zobaczycie księżyc,
widmowy księżyc pustynny ponad straconymi.

Dzisiaj — to nie jest ziemia ani las,
którego nie zna rozległa Ameryka Południowa,
wydana na męczeństwo —
to jest pyszna siedziba bogaczy,
oto naród złoconej Północy,
oto jest zamek pełen fabryk,
u którego drzwi statua z pochodnią
oświetla bramy więzień.

Howard Fast tutaj wszedł. Jego książki
jedna za drugą były jak wielkie ognie,
oświetlające życie Ameryki.
Śpiewał o czarnych bohaterach,
o kapitanach i o drogach,
o ludziach biednych, miasteczkach,
dziś do więzienia wszedł ze znakomitymi dwudziestu,
na jego głowę pada ten sam ciemny śnieg,
który widziałem, jak padał na Hiszpanię, ta sama
noc, ten sam cień, ta sama krew.

O ziemio Stanów! O młody niewolniku,
który do życia się budzisz, narodzie wielki i nagi
jak żniwiarka ponad zbożami,
nad obfitością darów ziemi.
Dziś oto, Ameryko Północna, jak nagły kryształ
w dymie się przemieniasz i zjawiasz się
zmieniona w stertę żarłocznych wierszy,
które Cię pożerają, w kadź donosicieli,
w ojczyznę inkwizycji, nowe gestapo,
norę handlarzy, królestwo policjantów —
i tam, gdzie władała mądrość Jeffersona,
stwarzająca ogrody pełne róż
dziś jest wściekła pampa, albo szalony szeryf,
który na koniu wjeżdża do bibliotek,
lub bandyta, co niegdyś lądował w Nikaragui
z poleceniem, by podpalać Związki Zawodowe.

Howardzie Fast — terror, który tnie mieszkańców Chile
jak ostrze noża zbrodniarza,
jak szalony jad Goebbelsa i Somozy,
jak siekiera łotra, co uderzyła Koreę
i dzisiaj wybiera Twą głowę,
by wystrzelić i napaść na Twą Ojczyznę.

Wybrali Cię ci sami kaci.
Zniszczyć chcieli Twe wspaniałe książki.
Znamy to wszysko, lecz teraz
wiemy dość, by być gotowi.

Z ziem wszystkich jesteśmy tu, kochający Cię.
W twarzy Twej widzimy siłę ramion ludu.
Rozpoznajemy w Twym głosie niezwyciężone nasienie.
Idziemy z Tobą i ludem Twym ku pokojowi.
Widzimy poza więzieniem Twój obraz ze sztandarów.
Śledzimy kroki wszystkich dozorców więzień.
Stajemy się bogatsi za Twym przykładem.
Jesteśmy liczni, jak ziemia.
Jesteśmy nieskończoną energią Oceanu.
Dzisiejsze więzienie jutro będzie zwycięskie.

Meksyk, 18 czerwca 1950 r.

*) Wiersz ten pochodzi z tomu, który ukaże się nakładem „Książki i Wiedzy".

JERZY POMIANOWSKI

A TERAZ POMÓWMY POWAŻNIE

(Z powodu „Złotych niedoli“ w Krakowskim Teatrze Starym)

1. TERMIN W POSZUKIWANIU TŁUMACZA

Rosjanie znają wyrazy „poszłost‘“, „poszłyj“ — nie mające, niestety, w naszym języku dokładnych i wyczerpujących odpowiedników. Nasze — bardzo jak dotąd niedoskonałe — słowniki wyjaśniają, że „poszłyj“ — to trywialny, banalny, niesmaczny, wulgarny, pospolity, niski, ordynarny, płaski, spłycony; sama już obfitość określeń świadczy, że brak tu celności i zarazem szerokości zasięgu. Śmiałbym twierdzić, że znalezienie trafnego i dosadnego równoważnika polskiego jest w tym wypadku potrzebą nader pilną — i to nie dla tłumaczy jedynie; pojęcie to ma bowiem sens wcale nie tylko w języku rosyjskim, choć właśnie w Rosji stosunkowo najwcześniej wykryto wspólne korzenie i pokrewieństwo społeczne — groźnych zaiste — zjawisk, objętych tym pojęciem. Właśnie historia literatury rosyjskiej dostarcza nam przykładu — w postaci całego życia jednego z najznakomitszych pisarzy, który wszystkie wysiłki obrócił na walkę z rozmaitymi przejawami owej „poszłost‘i“.

Antoni Czechow, gdyż o nim mowa, najdobitniej dowiódł, że pospolitość, kłamstwo, nuda, niesmak i sztampa — wchodzące w zakres interesującego nas pojęcia — są treścią i kształtem poglądów i życia mieszczaństwa. Życia — w warunkach wyzysku i poniżenia człowieka. Zasługą takich pisarzy, jak Czechow, Heine, Flaubert, Maupassant, France, Shaw, Żeromski jest wykazanie — przekonywające i poparte przykładami — że główną funkcją burżuazji w dziedzinie życia duchowego jest już od dłuższego czasu wulgaryzacja całego dorobku kulturalnego ludów, nakładanie pieczęci owej „poszłost‘i“ — to jest banału — na sztukę, frazesu — na myśl, obłudy — na obyczaje. Lektura Czechowa uzmysławia czytelnikowi epoki socjalistycznej raz jeszcze, że jednym z celów jego działalności jest jak najprędsze osiągnięcie takiego stanu rzeczy, przy którym owo słówko — „poszłost‘“ miałoby sens tylko historyczny.

2. KILKA TRUIZMÓW O ŹRÓDŁACH SZMIRY

To, co było przedmiotem bezradnej troski Czechowa i innych realistów krytycznych, sformułował ściśle Jerzy Plechanow („Sztuka a życie społeczne“), stwierdzając, że trywializacja (NB — w oryginale — „oposzlenije“!) świadomości i moralności społecznej jest nieuniknionym skutkiem dążenia klasy posiadającej do zachowania przywilejów. Tu podkreślić trzeba od razu, że nie jest skutkiem jedynym. Myśl Plechanowa nie oznacza bynajmniej lewackiego potępienia w czambuł c a ł e j kultury społeczeństwa kapitalistycznego. Jednakże trywializm jest cechą szczególną ideowej nadbudowy ustroju burżuazyjnego, może być znakiem rozpoznawczym — co jest dzisiaj szczególnie pouczające — mieszczańskiego stylu życia i stylu twórczości, zwłaszcza pokątnej, trzeciorzędnej tj. tej, która zaspakajać miała potrzeby duchowe pasierbów kapitału.

Wiadomo dobrze, że potrzeby przemysłu i postęp techniki nie pozwoliły burżuazji — w odróżnieniu od klas poprzednio panujących — na utrzymanie mas w zupełnej ciemnocie. Spawacz, monter, czy farbiarz musiał umieć czytać, pisać i rachować. Wyważonych drzwi nie dało się już zamknąć. Niedaremnie car Mikołaj I zlecił któremuś ze swoich zauszników plunąć w twarz zacnemu Gutenbergowi z pomnika norymberskiego. Nie można było odizolować dostatecznie szczelnie warstw pracujących od dóbr kulturalnych. By zachować więc proporcję przywilejów klasowych i uratować monopol na duchowe wykwinty — zastosowano system namiastek, próbowano skazać masy na konsumpcję tandety — propagując nb. tą drogą odpowiednie tezy polityczne. Oto, dobrze zresztą znane. źródło sztuki dla maluczkich. Harpagon był wzorowym bourgeois, ale nie tylko sknerstwo kazało mieszczaństwu tak pojmować starożytne zawołanie, że jeśli chleba dla ludu, — to jak najmniej, a jeśli igrzysk — to jak najpospolitszych. Wiedział o tym Henryk Heine, autor „Statku niewolników“.

Jesteśmy czujni wobec tych składników nadbudowy ustroju kapitalistycznego, które obsługiwały samą burżuazję. Mniej, niestety, uwagi poświęcamy składnikom i środkom propagandy oraz ideologii, z pomocą których burżuazja wpływała na masy pracujące, utrzymując je w posłuszeństwie, deprawując, bałamucąc i odcinając od istotnych zdobyczy kultury. W dziedzinie sztuki proceder ten polegał na lansowaniu szmiry. Wciąż jeszcze za mało wie się u nas o bezczelnej, ogłupiającej, demobilizującej społecznie funkcji szmiry, która jest świadomą dywersją burżuazji w życiu kulturalnym proletariatu.

3. NIE MA „NASZEJ“ SZMIRY

Walka ze szmirą toczona z pozycji zgorszonego estety w imię oderwanych kanonów — tylko bałamuci i jest oczywiście bezowocna. Jeżeli mamy poważnie traktować nasze oceny artystyczne i społeczną ich treść, to przyjąć musimy w naszej polityce kulturalnej zasadę oceniania szmiry jako szkodliwego spadku po burżuazji. Uznać musimy wszelką produkcję szmiry w naszych warunkach za kontynuację procederu lekceważenia i ogłupiania masowego odbiorcy. Trywializm, banał, frazes, mogą być z dużym prawdopodobieństwem traktowane jako — choćby bezwiedna — dywersja w akcji uświadamiającej i kulturalnej. Wiadomo, że np. popularyzacja wiedzy ma głównego wroga w wulgaryzatorach. Walka toczy się nie tylko o sprawy polityki i produkcji. Przedmiotem walki jest przyszłość kultury i jej treść. Walka o jakość naszej twórczości artystycznej winna być toczona nie z pozycji „czysto“ estetycznych, lecz klasowych właśnie dlatego, że proletariat powołany jest do uratowania wszystkich trwałych zdobyczy ducha ludzkiego, przywrócenia im głębi i godności, powszechnego ich udostępnienia.

Że walka ze szmirą, tandetą i partactwem w sztuce jest naturalną zasadą w ustroju socjalistycznym — świadczyć może historia literatury radzieckiej; prace Józefa Stalina o językoznawstwie zapoczątkowały nową bitwę o jakość, poziom i głębię twórczości literackiej.

Owa walka o jakość nie może polegać tylko na doskonaleniu warsztatów twórczych: musi mu towarzyszyć tępienie szmiry. Wszelkiej szmiry. Skuteczna dywersja mieszczańskich fabrykantów tandety polegała przecież właśnie na trywializacji idej częstokroć najsłuszniejszych i zasługujących na swoją popularność. Nic tu nie pomogą dywagacje o treści i formie. Decyduje funkcja. Należy założyć, że funkcja świadomej tandety w sztuce jest szkodliwa zasadniczo, niezależnie od zbożnych intencji i pozytywnych wtrętów. Teza Plechanowa obowiązuje. Nie ma „naszej“ szmiry, jak nie może i nie powinno być „naszego“ frazesu i „naszej“ nudy.

4. ZŁE TE NIEDOLE

Jak wielka i nagląca jest potrzeba przyswojenia językowi polskiemu pojęcia odpowiadającego rosyjskiemu terminowi „poszłost‘“ przekonał się niżej podpisany na przedstawieniu wodewilu pt. „Złote niedole“ w Krakowskim Starym Teatrze.

Antoni Słonimski ograniczył się był niegdyś w jakiejś recenzji bodajże do następujących słów: „Dość że musiałem tę sztukę obejrzeć; mam jeszcze o niej pisać?!“

Wytoczone tu zostały kolubryny oczywiście nie po to, by załatwić się z błahostką Władysława Krzemińskiego po artyleryjsku. Sęk w tym, że „Złote niedole“ są zjawiskiem nie jedynym, symptomatycznym, świadczącym o niedocenianiu niebezpieczeństwa szmiry i o tolerancji wobec prób jej usprawiedliwienia z pomocą tzw. „wydźwięku“. Próba jest tym razem nieudana także z tej przyczyny, że „Trójka hultajska“ starego Nestroya, której przeróbką są „Złote niedole“, nie daje żadnej możności konsekwentnego przeprowadzenia zmian, czyniących z postaci wodewilu — bohaterów procesów dziejowych. „Trójka hultajska“ jest niezawiłą historią trzech miłych włóczęgów, którzy przypadkiem znajdują los loteryjny, a z nim pieniądze, nie dające im przecież trwałego szczęścia. Lumpen-proletariacki morał tej krotochwili był zrozumiały i w siedemdziesiątych latach zeszłego wieku i nawet tuzin lat temu. Może kto pamięta jeszcze wielkiego Jaracza i jego piosenkę z „Trójki“ o szewcach, co wędrowali przez zielony las? Poczucie anarchicznej beztroski — oto co budziła niefrasobliwa bagatelka Nestroya. Autorowi przeróbki, oczywista, to nie wystarczało. Jak to tłumaczy Zygmunt Leśnodorski w niewielkiej, ale z całą powagą napisanej rozprawce pt. „Społeczne tło „Złotych niedoli“ załączonej do programu, losy trzech przypadkowych bogaczy — krawca Igiełki, którego oskubują arystokraci, szewca Szydełki, którego warsztat niszczy konkurencja wielkokapitalistyczna i stolarza Wiórka, którego okrada teść — spekulant — są losami związanymi „z rzeczywistymi przemianami społecznymi w drugiej połowie XIX wieku“. Traktujmy na chwilę tę tezę poważnie. Krzemiński każe w końcu pracowitemu Wiórkowi nie zrażać się stratą pieniędzy, założyć warsztat, przygarnąć zbankrutowanych przyjaciół i wraz z nimi prowadzić coś w rodzaju spółdzielni szewsko-krawiecko-stolarskiej. Na kurtynie cały czas widnieje pięknie wymalowana data „1876“. Krzemiński kilkakrotnie każe swoim bohaterom powtarzać, że „tych co pracują wykończą ci, co kochają złote rubelki“, co ma wszelkie pozory słuszności, jeśli pamiętać o stylowych kostiumach i owej dacie. Co prawda, poczciwy Wiórek coś tam bąka, że prawdziwą wolność ludzie pracy zyskają dopiero w przyszłości, kiedy razem, kiedy społem... Ale zasadniczym morałem sztuki, który zostaje w pamięci widza są inne słowa Wiórka, mówiącego do Szydełki: „Świat na pewno ciebie prześladuje, a póki jest taki, jaki jest, trzeba się starać by takim, jak my było lepiej“. Pomijam, że morał ten najosobściej winni zrozumieć — i to w sposób dość pikantny — łyczkowie krakowscy, gęsto rezydujący na widowni. W zestawieniu z całą secesyjną scenerią, starannie akcentowaną zeszłowiecznością, ba, z „socjalną typowością“ bohaterów — zarówno te słowa, jak i pogodne zakończenie sztuki, zapowiadające dalsze prosperowanie naszych spółdzielców w roku pańskim 1876 — są naiwnym postchronizmem, oczywistym nonsensem politycznym i artystycznym. Rozumiem, dlaczego Krzemiński nie mógł być konsekwentny, dlaczego chcąc przerobić Nestroya w sposób jak najbardziej „naukowy“ nie mógł i nie chciał zrobić z „Trójki hultajskiej“ czegoś w rodzaju pierwszej serii „Na dnie“ Gorkiego: po prostu nie byłoby wtedy wodewilu, ani piosenek i tańców. Trzeba było iść na kompromis: podstemplować fasadę nestroyowską tzw. „elementami wydźwiękowymi“, nadać losom bohaterów pozorną typowość socjologiczną, ale w ostatniej chwili — dla ratowania praw gatunku teatralnego — oszczędzić sobie i widzom smutnych konsekwencji i powrócić do wodewilowego zakończenia kosztem sensu, logiki i prawdy historycznej, o którą ponoć tak chodziło. Jest to sceniczne i polityczne contradictio in adiecto. Cóż powiedzieć o innych składnikach tego widowiska, które usprawiedliwić miała wyżej przedstawiona linia polityczna, cóż powiedzieć o hrabiach, baronach, szampanie, subretkach? Może by to było nawet do zniesienia, gdyby nie słowa potępienia wygłaszane jednocześnie na serio. Cóż powiedzieć o zacnym lokaju (jest oczywiście!) rezonerze i wrogu arystokracji — istnym głosie sumienia swego pana — snoba Igiełki, plebejusza, który stoczył się aż do salonu? Ów Igiełka w sztuce Krzemińskiego prosi szansonistkę Holihops o piosenkę takimi — mniej więcej — słowy: „żeby było jak najwięcej o baronach i o hrabiach!...“ Tu mityguje się: „nie, oczywiście— przeciwko nim! Przeciwko, ale żeby było!“ Jest to krzyk duszy. Obawiam się, że „Złote niedole“ powstały jako odpowiedź na ten krzyk.

Nie błędy polityczne, zresztą, są głównym brakiem „Złotych niedoli“. Gdyby nawet ich nie było — co jest tutaj w samym założeniu niemożliwe — to właściwie od obowiązku rozwodzenia się nad detalami wodewilu zwalnia jego atmosfera, pełna wzmiankowanej „poszłost‘i“.

Do takiego twierdzenia upoważnia cały arsenał chwytów zastosowanych przez autora i reżysera. Niemal wszystkie dowcipy są płaskie, koncepty — dwuznaczne, sytuacje— banalne i przeciągnięte bez umiaru (przypomnijmy choćby pantominę przy oglądaniu szczęśliwego losu); od gierek aktorskich na milę niesie rutynerstwem i żyłowaniem oklasków za wszelką cenę. Czarny charakter — rzeźnik Kiełbasiński w momentach alteracji... kwiczy. Doświadczeni i utalentowani aktorzy, grający w tym wodewilu, zmuszeni są do zarabiania na śmiech drogą takich pomysłów, jak omyłkowe całowanie mężczyzn po rękach, siadanie w kołyskach dziecinnych, chwytanie karafki miast kieliszka, ba, nawet — trafianie ręką przy powitaniu w wypięte pośladki partnera, wystawione zamiast oczekiwanej dłoni.

Śmiem twierdzić, że „Złote niedole“ są przykładowym wręcz dowodem drapieżnej siły szmiry. Niszczące jej działanie nie oszczędziło żadnego prawie motywu tego wodewilu. Nie ostały mu się też wątki romantyczne; dość wspomnieć arię z kołyską lub scenę półpięterkową między Romeo i Julią „Złotych niedoli“. Szmira przemienia sentyment w ckliwość, podobnie jak ze słusznych myśli czyni dęte frazesy.

Niech mi nikt nie mówi, że inaczej w wodewilu nie można. Można. Exemplum: „Wodewil warszawski“, ba, „Krowoderskie zuchy“. Władysław Krzemiński już swoją inscenizacją „Męża i żony“, w której powtórzył (wzięty z teatru „Cricot“) chwyt dyskusji między Boyem a profesorem Kucharskim, dał dowód, że nie wyjaśnił sobie do końca sprawy właściwego stosunku współczesności do tradycji. „Złote niedole“ są już dowodem dezorientacji w tym względzie. Zasłużony sukces „Krowoderskich zuchów“, także przecież przez Krzemińskiego przerobionych i reżyserowanych, świadczy, że powodzenie oczekuje go raczej na drodze pogłębienia pracy nad folklorem i tradycjami humoru ludowego w teatrze.

5. SZMIRA A KRZEPA

Czy warto tedy kruszyć kopie i mówić aż tak poważnie tyle przykrych rzeczy utalentowanym i znającym się na swoim fachu ludziom teatru krakowskiego? Warto. Chodzi o to, by „Złote niedole“ były tylko potknięciem, a nie złym przykładem i symptomem szerszego procesu. Chodzi o to, by nie starano się z pomocą szmiry zaspakajać słusznej potrzeby widza, potrzeby tzw. lekkiego, wesołego repertuaru. Trzeba zdać sobie jasno sprawę, że nie ma u nas miejsca na „sztukę dla maluczkich“, że szmira nie ma nic wspólnego z ludowymi tradycjami naszej kultury, że płaski koncept nie ma nic wspólnego nawet ze sławetną krzepą. Pojawienie się „Złotych niedoli“ jest także rezultatem fetyszyzacji humoru sytuacyjnego, który próbuje się u nas przeciwstawić dowcipowi, wymagającemu od słuchacza i odbiorcy nie tylko wzrokowego wysiłku. Podobne tendencje płyną z lekceważenia praw i możliwości odbiorcy robotniczego. Jerzy Putrament na ostatnim plenum Zarządu Głównego Związku Literatów powiedział: „Nasz robotnik, nasza młodzież są o wiele bardziej wymagający jako czytelnicy od mieszczucha, tylko, że wymagania ich są inne, głębsze, bardziej zasadnicze... Tacy pisarze, którzy sądzą, że dla robotnika można pisać byle jak, nie wysilając się, na odczepnego — nie omieszkają się przekonać, że są w grubym błędzie“. Słowa te dotyczą na pewno nie tylko literatów.

6. STARE MIECHY I OCET SIEDMIU ZŁODZIEI

Jest rzeczą konieczną, by także na scenie komediowej uzyskały możność wystawienia i pojawiły się u nas utwory ambitne, zrywające z rutyną i źle pojętą specyfiką gatunku, nieszablonowe, śmiałe politycznie i artystycznie, poruszające problemy istotne i wcale niekoniecznie — błahe. Przypuszczam, że nie pomoże nalewanie nowego wina w stare miechy; kończy się to zazwyczaj na doprawianiu skisłego cienkusza octem siedmiu złodziei. Wszystko, co w twórczości klasycznej wytrzymuje próby nowego życia winno być pokazane nowemu widzowi; jednakże najwięcej ma tu do powiedzenia nasza nowa dramaturgia. Klasowa funkcja szmiry powinna być jasno zrozumiana. Utwory tandetne i nawiązujące do niesławnych tradycji naszych przedwojennych scenariuszy komediowych, czy pseudo-ludowych farsideł, winny być uznane za skażone u źródła — bez względu na „wydźwiękowe“ wtręty — najczęściej dosztukowane na odczepne. Bądźmy szczerzy: „Złote niedole“ mają powodzenie nie dlatego, że Wiórek jest bardziej uświadomiony od nestroyowskiego franta. W „Złotych niedolach“ podoba się jeszcze to, co stare, co trąci fetorkiem „dawnych, dobrych czasów“. Natomiast „Wodewil warszawski“ Gozdawy i Stępnia — mimo swe braki — podoba się właśnie za przyczyną tego wszystkiego, co w nim jest nowe, co przypomina nową, socjalistyczną Warszawę, nasze nowe radości i troski. I cóż — przekroczył już dawno drugą setkę przedstawień, ma powodzenie dużo, dużo większe, niż „Złote niedole“ i wszelkie „murowane szlagiery“. Jest to nadzwyczaj ciekawe i budzące najlepsze nadzieje zjawisko o znaczeniu dotąd przez poważną krytykę nie docenionym.

Błędy płynące z niedoświadczenia, z twórczych poszukiwań, prowadzonych poomacku, winny być troskliwie naprawiane i prostowane. Błędy płynące z konserwatyzmu, fałszywych tradycji, niezrozumienia samej istoty zagadnień — winny być konsekwentnie tępione. Tolerowanie szmiry poniża i zniechęca zarówno widza, jak ludzi teatru i literatury. Termin „poszłost‘“ czeka na tłumacza i na gablotkę w muzeum.

Jerzy Pomianowski

Encyklopedia postępu

Drugie wydanie Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej jest niewątpliwie wydarzeniem kulturalnym olbrzymiej wagi. Wydanie poprzednie, rozpoczęte przed 25 laty jest już przestarzałe i nie odpowiada ani obecnemu poziomowi rozwoju nauki, ani zwłaszcza dzisiejszemu etapowi w pochodzie narodów Związku Radzieckiego ku komunizmowi.

W ciągu ćwierćwiecza, jakie upłynęło od rozpoczęcia wydania I-go, w Kraju Rad, kierowane mądrą dłonią wielkiego Stalina, powstało społeczeństwo socjalistyczne. ZSRR zgniótł nawałę hitlerowską, miażdżąc wroga w jego własnym legowisku. Wprowadzenie demokracji ludowej w szeregu krajów europejskich oraz rewolucja chińska zmieniły w sposób zasadniczy układ sił w stosunkach międzynarodowych. W całej Azji zwyciężają prądy wolnościowe, a siły pokoju konsolidują się we wszystkich społeczeństwach świata.

Badania naukowe poczyniły niezwykłe postępy, zwłaszcza na terenie Związku Radzieckiego, gdzie powstały całe nowe gałęzie wiedzy, jak np. agrobiologia. Fizyka chemiczna i teoria analizy fizyko-chemicznej likwiduje istniejącą dotychczas przepaść między zjawiskami chemicznymi i fizycznymi. Geochemicy radzieccy dokonali wspaniałych odkryć wiążąc chemio-fizyczne koncepcje kosmogoniczne z zasobem wiedzy, jakiego dostarcza mineralogia. Świetne wyniki badań na polu biochemii i biologii torują drogę dla poznania zaczątków życia — przekształcania się materii martwej w żywą. Olbrzymie postępy poczyniła fizyka atomowa, zwłaszcza w dziedzinie badań energii wewnątrz - atomowej. Równolegle do naukowych osiągnięć fizyków posunął się naprzód rozwój techniki. Wielki krok naprzód uczyniła astronomia. W wyniku tych wszystkich przemian w różnych dziedzinach wiedzy odrzucono ostatecznie błędy i wypaczenia idealizmu.

Dawno już minęły czasy, kiedy encyklopedie były na Zachodzie dźwignią postępu, czasy Diderota i d‘Alemberta. Encyklopedie krajów kapitalistycznych coraz bardziej oddalają się od tego nawet „obiektywizmu naukowego“ jakim szczyciły się niegdyś. Nawet tak poważne wydawnictwo jak Encyclopaedia Britannica, w ostatnich swych edycjach nacechowana jest reakcyjnością nie tylko ujęcia i naświetlenia faktów, ale i samego ich doboru i zestawienia: legendy traktowane są jako wydarzenia historyczne, określone wyraźnie co do miejsca i czasu, hipotezy podawane są jako pewniki itd. Ograniczymy się do przytoczenia tylko dwóch, lecz nader znamiennych przykładów. Larousse z 1933 r. podawał taką wyczerpującą informację: „Karol Marks, socjalista niemiecki, autor słynnego dzieła o **kapitale** i założyciel Międzynarodówki, 1818—1883“. Larousse powojenny rozszerzył swoje wiadomości: „Karol Marks, socjalista niemiecki **pochodzenia żydowskiego**, autor słynnego dzieła o kapitale i założyciel Międzynarodówki, 1818 — 1883“. Popularna British Univ. Encycl. — rodzaj angielskiego Trzaski — podaje: „Bielitz lub Bielsko, miasto w Polsce na lewym brzegu rzeki Biała, o 43 mile od Krakowa. Produkcja tkanin wełnianych, piwa, wina i soli. Ludność (1931) 22.573 (Niemcy). Dzięki tak pięknym informacjom powstała luka tym dotkliwsza, że wdzierające się przez nią teorie pseudo-naukowe, błędne informacje i fałszerstwa historyczne opatrzone były stemplem autorytetu i bezstronności.

Tę wielką lukę w bibliotece i warsztacie pracy każdego kulturalnego człowieka wypełni obecnie nowe wydanie Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej. Decyzja Rady Ministrów ZSRR, zakreślająca główne zadania Encyklopedii, głosi: „Drugie wydanie W. E. R. powinno być usystematyzowanym zbiorem wiadomości z dziedziny nauk społecznych, gospodarczych i przyrodniczych, techniki, wojskowości itd. i ma stanowić uniwersalny podręcznik dla szerokich kół inteligencji radzieckiej“. Nowa encyklopedia jest tym wszystkim, ale służyć będzie nie tylko inteligencji radzieckiej: stanowić będzie jedyny dziś w świecie nowoczesny i postępowy podręcznik uniwersalny. Toteż znaleźć się powinna i znajdzie się na pewno w księgozbiorze wszystkich kulturalnych i postępowych ludzi poza granicami Związku Radzieckiego.

Nowe wydanie będzie właściwie zupełnie nową encyklopedią. Jak stwierdza redakcja, większość artykułów opracowuje się zupełnie na nowo. Liczbę haseł podniesiono w stosunku do I-go wydania z 65 na 100.000. Drugie wydanie ma obejmować 50 tomów, z czego w roku ubiegłym opracowano już. Całość ma się ukazać w przeci 6 lat, co jest terminem niezwy krótkim dla tak monumentalnego wydawnictwa. Tom 1-szy obejmuje ponad 1.000 haseł, od „A“ do „Aktualizm“, tom 2-gi, około 2.000 haseł — od „Akty“ do „Arietta“. nad 1220 opracowań poświęconych tych 2 tomach wyjaśnieniu terminów i pojęć zupełnie pominięte w wydaniu pierwszym, jak np. „agrobiologia“, „Absolutna rent „Absolutna wartość dodatkowa“, „Angielska rewolucja burżuazyjna“, „Antropogeneza“ etc.

Wyczerpująco przedstawione zostały zagadnienia międzynarodowe. jaśnienia przy hasłach takich jak meryka“, „Argentyna“ i wiele, le innych oparte są na najnowszych badaniach i najbardziej współczesnych danych. Pełne wymowy samo już zestawienie kolejnych haseł dotyczących W. Brytanii: „Anglo - abisyńska wojna“, „Anglo-amerykańska wojna“, „Anglo-boerska wojna“, „Anglo - duńska“. nie podobna wyliczyć wszystkich krwawych śladów znaczących pochód imperializmu angielskiego. Śladów, w które wstępuje obok butny, a tępy imperializm amerykański.

Nowa encyklopedia zawiera szereg opracowań interesujących nas ponadto i z naszego własnego polskiego punktu widzenia. przy omówieniu hasła „Agrarne reformy“ podano zwięźle, ale i wyczerpująco dzieje reformy rolnej w Polsce. Czytelnika polskiego mile uderzy, gdy czytając o „Autografach“ zobaczy wzór autografu Mickiewicza.

Szata graficzna jest niezmiernie bogata. Tom I-szy zawiera 39 39 plansz ilustracyjnych oraz ilustracji w tekście. Imponuje wprost wygląda materiał bibliograficzny. Dane bibliograficzne przyczono przy co najmniej połowie seł, a w każdym razie przy wszystkich choć trochę obszerniejszych omówieniach. Poszczególne artykuły są tak ujęte, że podają nie dane faktyczne, ale i świetnie sformułowaną marksistowską interpretację naukową.

Tom I-szy zawiera szereg artykułów o charakterze zasadniczym mających wielkie znaczenie szcza dla pisarzy i artystów. Stanowią one istotną pomoc w walce schyłkowymi kierunkami burżuazyjnej („abstrakcyjna ka“, „Akademizm“ itd.) Ogółem 50-ciu tomach encyklopedii dzie się ok 13.000 artykułów z zakresu literatury, malarstwa, muzyki, teatru i kinematografii. Jest to miarą monumentalnego dzieła, a także miarą zadań stoją przed autorami opracowań wśród których bardzo znaczny setek stanowią pisarze radzieccy.

Jasność i precyzja metody dialektycznej i założeń materialistycznych cechuje naświetlenie licznych pozycji z każdej gałęzi wiedzy. to niezwykłą wprost wagę dla każdego z nas, kto styka się z problematyką naukową, tak często przesyconą u nas oparami alizmu, czy zgoła ciemnogrodzkim fideizmu. To jednak jest już zadanie, które niewątpliwie wią dokładnie odpowiedni fachowcy.

Fachowcy też wypowiedzą się pewnością wyczerpująco na temat całokształtu spraw związanych wydaniem dzieła o takiej skali W.E.R. W Związku Radzieckim kazały się już na łamach prasy liczne odgłosy, a w tej liczbie szereg uwag krytycznych. Zarzuca się dostateczne zużytkowanie najświeższych danych ekonomicznych w tykułach z dziedziny geografii, ne niedokładności map, niedostatecznałość niektórych ilustracji itp. swej strony możemy uzupełnić zarzutów zwróceniem uwagi na przytoczenia w oryginalnej transkrypcji wielu nazwisk i nazw dla czytelnika posługującego się pracy alfabetem łacińskim stwarza specjalne trudności, których zapewne czytelnik rosyjski nie odczuwa.

Ograniczając się w chwili obecnej do tych najbardziej ogólnych uwag podkreślmy, że — jak stwierdza redakcja Encyklopedii — praca nad reedycją W E R. jest zadaniem o wielkiej doniosłości politycznej, ideologicznej i naukowej. Stwierdził to w jednym z ostatnich swych wystąpień naczelny redaktor Encyklopedii, zmarły przed paru tygodniami wielki uczony radziecki Sergiusz Wawiłow. Zadanie to stało już częściowo dokonane. Dokonane — mimo drobnych usterek — w sposób świetny, pod względami — doskonały.

Julian Stawiński

JULIAN MARCHLEWSKI

przełożył ADOLF SOWIŃSKI

Z Wysokich Tatr

Z cyklu felietonów tatrzańskich napisanych przez Juliana Marchlewskiego po niemiecku dla „Leipziger Volkszeitung" w roku 1911. Wydanie książkowe całego cyklu ukaże się nakładem „Prasy Wojskowej".

O WSPINACZCE

Mój przyjaciel M. z Zakopanego, wyśmienity taternik, był tego roku skazany na przyglądanie się górom z dołu. Tylko niedziele miał wolne, a w tak krótkim czasie niewiele da się zrobić, bo na „poważne rzeczy" trzeba stąd zawsze liczyć trzy dni: pierwszego dociera się do stóp góry obranej za cel wycieczki, drugiego wychodzi na szczyt, trzeciego — powraca. Trzeba więc było wynaleźć coś, co by było warte jednodniowego zachodu: tylko po to, „aby nie wyjść z wprawy". Co prawda tuż pod nosem, we wspaniałych dolinach Kościeliskiej i Strążyskiej, sterczy kilka skał wapiennych, na których można złamać kark: dwadzieścia, trzydzieści metrów gimnastyki, po prostu „skały ćwiczebne". Jednakże nie kusiło nas uprawianie takiego sportu. Zwłaszcza w niedzielę pełnego sezonu na dolinach żądnej widowisk publiczności. Brrr! Nie, koniecznie potrzebna nam była turnia, i to granitowa, bo na pogodę nie można przysięgać, a gładki wapień jest podczas deszczu potworny. A więc — poprzez turnie Świnicy na Zawrat. To będzie tura rzeczywiście godna zachodu. Ze Świnicy rozciąga się rozległy widok (nie bez słuszności nadają tej górze miano „Rigi Tatr"), a Zawrat, przełęcz na głównym grzbiecie, nastręcza coraz to nowe kroki, chociażbyśmy nieraz już ten szlak przebyli. W każdym razie przejście przez wyciętą w ostre zęby turnię zapowiadało się ciekawie i nie powinno było braknąć sposobności do wspinaczki.

Naszym naradom przysłuchiwał się pewien zacny, rozsądny człowiek.

— Byliście już panowie na Świnicy? — zapytał.

— Oczywiście! Iks razy!

— A na Zawracie również?

— Co najmniej tyleż razy.

— Czy wychodzi się na Świnicę i na Zawrat bez specjalnego niebezpieczeństwa i trudu?

— Naturalnie! To są spacery na jakieś pięć godzin. Można również obydwie tury połączyć, bo ze Świnicy wiedzie na Zawrat poniżej szczytu od strony północno-zachodniej ścieżka z bardzo ładnymi partiami.

— Czy uważacie, panowie, że wychodząc poprzez turnię będziecie mieli piękniejszy widok?

— Wcale nie. Będziemy musieli schodzić ze szczytu Świnicy i oczywiście po drodze niewiele zobaczymy.

— No, to po co, do stu kaduków, chcecie się piąć tamtędy przez górę?

I rzeczywiście: po co ludzie wspinają się na góry?

Odpowiedź byłaby prosta, gdyby chodziło o wspinanie się na szczyty, z których rozciąga się piękny widok w dal. Pięknie sformułowała ją biblijna legenda: gdy zaprzątał go kusić, szatan wziął Chrystusa na wysoką górę i na chwilę „pokazał mu wszystkie królestwa świata". Nasza kochana ziemia jest przecież najpiękniejsza wtedy, gdy się ją ogląda z wysoka. Ale tęsknota za jej pięknością nie jest jedynym motywem, który nas pędzi w góry, bo alpinista wdziera się w ciężkim mieraz trudzie na szczyty, chociaż nie nęci go taka nagroda. Czyni to z tego samego popędu, który pocha jeźdźca do ujarzmienia dzikiego konia, pływaka do przepłynięcia na drugi brzeg rwącej rzeki, myśliwca do stoczenia walki z drapieżnym zwierzęciem.

Cywilizacja, wśród której żyjemy, stępiła przeważnie w ludziach rozkosz płynącą z natężenia wszystkich sił. Staliśmy się kółeczkami w wielkiej machinie kapitalizmu w twardej pańszczyźnie życia poświęconego pracy zarobkowej gnuśnieje nam dusza i ciało. Skądże więc ma płynąć ta bujnie musująca siła, która pragnie przejawiać się w szaleńczych przedsięwzięciach? Jednakże rozkosz pozornie bezcelowego wyładowania energii przerzuca sobie — powiedziałbym — deskę ratunku ponad wszelkimi upodleniami. To ona skłania chłopca do szaleńczych wyczynów i koniec końców szuka sobie ujścia w sporcie. Sport górski zaś, polegający na śmiałych zapasach z naturą, jest niewątpliwie najwspanialszym przejawem tych porywów.

Są ludzie, w których na widok gór wyzwala się uczucie bezsiły. Maleńcy i bezradni stajemy przed dziełem pradawnych potęg. Bezsilni pigmeje — uczymy się poznawać naszą marność. Cóż znaczą dzieła ludzkie wobec tego mnóstwa kamieni? Schyl się pokornie, w prochu zrodzony człowiecze.

Inne natomiast uczucia budzą się na widok gór w tych ludziach, którym przypadło w udziale zdobywanie szczytów. Jest to rozkosz walki w najwznioślejszym znaczeniu tych słów. Zjawia się stara, prometejska żądza potęgi. — „Niebotyczne góry"... Postawię stopę na ich wierzchołku! — „Otchłanne gardziele"... Dotrę do ich dna! — „Pionowe ściany"... Wedrę się na nie! — I to pragnienie wciela się w czyn. Im większe w swym ogromie stają przed człowiekiem przeszkody, z tym większym uporem działa wola. Cóż może być wspanialszego niż drwienie sobie z niebezpieczeństwa i torowanie silną dłonią drogi do świata dziwów — na przekór wszelkim potęgom?

Zwycięstwa zaś dostępujemy dzięki wszechmocnemu duchowi. Tam natura w swej wszechmocy spiętrzyła masy kamienia. Potworne siły działały przez całe miliony lat, ażeby ukształtować górskie masywy. Oto stoję w ich obliczu — ja, drobny człowiek o bylejakiej sile. Ale i ja jestem wytworem twórczych sił przyrody, która w ciągu całych milionów lat kształtowała mój mózg, ów cud nad cudami. Twórczy duch, który wytryska z mego mózgu, czyni mnie panem. W nierównej walce znajduje tysiąc środków i tysiąc podstępów, daje mi siłę olbrzyma. Nad wyniosłym kamieniem odnosi zwycięstwo żywy duch. To on niesie mnie wzwyż! Święcę tryumf!

To właśnie tryumf ducha powinien wabić taternika. Niech pokłada ufność nie w prostackiej sile, lecz w wyższości umysłu. Albowiem tępego ryzykanta, który chce po prostu szturmować górę, można by porównać z bykiem rzucającym się na mur. Jedynie mądry strateg może liczyć w tej walce na zwycięstwo. Trzeba przepatrolować olbrzyma górskiego, zbadać jego umocnienia, bastiony i mury, zanim odważymy się przypuścić szturm. Dopiero wtedy należy zdobyć się na stanowczość, niezłomną wytrwałość i brawurową odwagę.

Oto stoi przed nami uwieńczona śniegiem turnia, groźna i niedostępna. Obwarowała się z tej strony, od wschodu: gwałtownie opada stroma ściana skalna, a więc daremny trud, by się na nią wedrzeć. Lecz tam, ku zachodowi, oko odkrywa wyłom: w granitowej skale biegnie na dół żleb. Daremnie górski olbrzym zatarasował go potężnym rumowiskiem skalnym. Stąd rozpoczyna się szturm. Trzeba zdobywać teren krok za krokiem. Lecz stój! Olbrzym rozkazał grać swoim działom: z hukiem toczą się na dół kamienne bloki, grożąc napastnikowi zmiażdżeniem. A dalej ku górze, tam gdzie zdawało się kończyć rumowisko, leży sypki piarg, który ustępuje pod stopą, zaczyna się staczać, ażeby nas strącić. Ale już tam, na skraju przepaści, skała jest twarda. Ciężko przedrzeć się przez ostre zęby, ważny jest każdy chwyt i krok, bo olbrzym zdradziecko zastawia nam pułapki: niejeden z tych zębów jest słabo osadzony, sekunda nieuwagi — i śmiałek razem z kamieniem wali się w bezdno. Idziemy jednak w górę, pokonaliśmy i tę przeszkodę. Ale teraz olbrzym chce nam zamknąć drogę: przed nami rozciąga się śliska płaszczyzna lodowa. Do ciupagi! Dudni cios za ciosem, wyrąbujemy stopnie, idziemy naprzód krok za krokiem, w górę, do celu! A tu już jeży się przed nami nowa przeszkoda: piętrzą się bloki skalne tak strome i gładkie, że opuszczają nas siły. Cofamy się, oddajemy zdobyty teren, schodzimy. Ale to był tylko podstęp! Bo tam, na prawo, odkrywamy maleńką galeryjkę. Prześlizgujemy się po niej przytuleni do skały i po drugiej stronie napotykamy znowu twardy granit, po którym można piąć się w górę. Pod samym szczytem — stroma ściana. Pionowo sterczy ponad ziejącą przepaścią. Przegrana stawka! Lecz nie: wysłane na zwiady oko odkrywa drobne szczeliny i schodki. Teraz pójdzie! Wczepione w kamień ręce ścierają się do krwi, noga znajduje oparcie zaledwie na palec, ale to wystarcza. Wyżej i dalej! To tylko dzieci doznają przerażenia w obliczu zawrotnej przepaści. Postawić stopę na szczycie, a naszym będzie zwycięstwo.

Trzeba jednakże niewzruszonej i twardej siły wewnętrznej, ażeby nie ustąpić w tej walce. Nie wystarczyli tylko odwaga i spokojny namysł. Chodzi o wytrwałość, o zacięte trzymanie się w ryzach bez chwili słabości. Kto chce zapanować nad górami, musi zapanować nad swymi mięśniami i nerwami. Jeżeli duch ma sprawować nad nimi władzę, muszą słuchać jak potulne zwierzęta: nie wolno im nigdy podnieść buntu. Góry pokonają każdego, kto podejmuje walkę, nie spełniając tych warunków wstępnych. Chwila załamania się, chwila rokoszu nerwów, a już napastnik leży pogruchotany w przepaści. Ba, jest jeszcze haniebniejsza i okropniejsza klęska: jeżeli mięśnie i nerwy odmówią posłuszeństwa, wtedy upada duch, blady strach nachodzi taternika, który nie wie co począć, nie może iść w górę i nie znajduje drogi powrotnej, popada w szaleństwo i ginie najstraszniejszą śmiercią. Dlatego należy zahartować ciało, poddać je pod władzę umysłu, jak wyborowy oddział podlega woli wodza.

To jest rozkoszą taternika. Niebezpieczna gra, przy której pozostają w napięciu wszystkie siły ciała i duszy, przy której stawką jest życie, pociąga nieodparcie każdego, kto ją raz wygrał. „Hazard" — mówią ludzie nazbyt ostrożni, karzącym gestem wskazując na wszystkie ofiary, których domagają się góry. No tak, ale te ofiary padają przede wszystkim dlatego, że brak im przedwstępnych warunków zwycięstwa, że próżność lub lekkomyślność skłania ludzi do przedsięwzięć, do których nie dorośli.

Albowiem nie wolno być lekkomyślnym nikomu, kto wyrusza na walkę z górami. Alpinista powinien bać się gór! Powinien zbliżać się do nich z szacunkiem. Powinien działać jak wódz, który ma się stale na baczności, by przypadkiem nie zlekceważyć nieprzyjaciela. Znana jest anegdota o szwajcarskim przewodniku Piarze. Gdy ten przeprowadził ongi przez niebezpieczne miejsce pewną damę, która szukała sławy w szalonych eskapadach, zapytał ją, czy się bała. Gdy zaprzeczała, nazwał ją głupią gęsią.

— Bo — powiedział — tu boję się ja sam: życie wystawione jest na niebezpieczeństwo. Jeżeli się pani nie bała, to widać z tego, że się pani nie orientuje, czego pani dokonała.

Odkąd sport stał się — niestety — modą, namnożyło się tego rodzaju gęsi i gąsiorów, nie mających pojęcia o tym, co robią. Tacy ludzie rzeczywiście uprawiają grę hazardową. To określenie nie odnosi się do tych, którzy z pełną świadomością patrzą niebezpieczeństwu w oczy, którzy ważą się na czyn dopiero po rozważeniu wszystkich okoliczności. I oni mogą ponieść klęskę, ale nikt nie ma prawa ich oskarżać. Szaleńcze wyczyny świadczą najwyżej o odwadze niewiedzy, są bezduszne. Mistrza gór znamionuje ostrożność, trzeźwy namysł przed niebezpieczeństwem i dążenie, aby temu niebezpieczeństwu zapobiec wszelkimi środkami.

GÓRALE

Górale odróżniają się zdecydowanie od swych współplemienników z równin nie tylko pod względem fizycznym, ale i psychicznym: są ruchliwsi, śmielsi, pewniejsi siebie. Wynika to przede wszystkim ze stosunków społecznych. Człowiek z równin stał się zwierzęciem pociągowym, zaharowanym w ciężkiej pracy niewolniczej, podczas gdy góral pozostał wolny, bo u stóp niedostępnych gór kończyła się władza państwowa. Uzbrojonych zuchów, potomków śmiałych wojowników, nie udało się wprzęgnąć w jarzmo pańszczyzny.

Oczywiście mieszkańcom gór wypadło prowadzić twarde życie. W ich ojczyźnie „bierze początek woda, a kończy się chleb", jak mawiają. Z roślin uprawnych udaje się tu jedynie owies, i to nie zawsze. Później pojawił się ziemniak. Jedynym bogactwem były trzody. Doliny dostarczają bydłu i owcom obfitej paszy w ciągu lata. Tak więc górale stali się ludem pasterzy, który tylko zimy spędzał we wsiach, latem zaś wyruszał z trzodami w góry na łąki górskie zwane tu halami. Na tym tle powstały osobliwe stosunki w dziedzinie własności: na dole, gdzie leżały wsie, wytworzyła się wkrótce własność prywatna ziemi ornej i łąk, hale zaś pozostały własnością wspólną, a mianowicie własnością rodu, nie gromady. Wskazują na to nazwy dolin górskich, w których rozciągają się hale. Są tu więc Kalatówki należące do rodu Kalatów, o którym wiemy, że zamieszkiwał we wsi Szaflary nad Dunajcem i według przywileju króla Kazimierza Wielkiego ustanawiał wójta. Dalej Hala Gąsiennicowa, która należy do rodu Gąsienniców z Zakopanego, i jeszcze inne.

Jednakże i z tym „bogactwem" nie można było daleko zajechać. Hale dostarczają wprawdzie latem paszy dla licznych trzód, ale to lato trwa w górach bardzo krótko. Blisko osiem miesięcy hale leżą pod śniegiem, a zwierzęta trzeba i w tym czasie wyżywić. Jest to trudne, bo łąki i pola nie dają dostatecznego plonu. Dlatego rozwinęła się przede wszystkim hodowla owiec: jagnięta, które przyszły na świat wiosną, same znajdowały sobie paszę w ciągu lata, w zimie znaczną część sprzedawano lub zarzynano, chowano zaś tylko matki. Stanowiłoby to w każdym razie jakieś źródło zarobku, gdyby można było liczyć na zbyt, ale i z tym nie szło tak jak należy. Usiłowano sobie pomóc, wykorzystując paszę letnią w ten sposób, że brano na wypas bydło sąsiadów z równin. Na tym tle powstała jedyna w swoim rodzaju instytucja: baca, naczelnik pasterzy, zawierał umowę z chłopami zamieszkałymi na równinie i wynajmował sobie do pomocy innych pasterzy, juhasów, rodowi zaś płacił wynagrodzenie za prawo wypasu. Tak powstała nierówność, która rozsadziła ród.

Ponadto las dostarczał pewnego zysku. Spławiano rzekami drzewo, powstały smolarnie, w których wypalano węgiel drzewny i wytwarzano potaż.

Zabi koń.

W każdym bądź razie górale prowadzili nędzne życie.

Nie stanęło to jednak na przeszkodzie, że właśnie oni rozwinęli zdumiewającą własną kulturę. Wolnego czasu miał góral dość przez całą długą zimę, a i latem przy trzodach nie było zbyt wiele do roboty. Tym tłumaczy się fakt, że w tutejszych górach napotykamy niezwykłe bogactwo form w zakresie budownictwa domów oraz wyrobu sprzętów i narzędzi. Gdy w osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia wieś Zakopane została odkryta przez doktora Tytusa Chałubińskiego jako stacja klimatyczna i polskie „towarzystwo" zaczęło tam pielgrzymować, ze zdumieniem spostrzeżono istnienie odrębnego, nieznanego „stylu chłopskiego". Już same domy miały swój własny, specjalny wygląd. Później jednak okazało się, że w gruncie rzeczy chodzi o styl polskiego domu chłopskiego, bo fachowcy wnet udowodnili, że te same elementy budowy, te same zasadnicze pomysły architektoniczne powtarzają się w całej Polsce od pogórza tatrzańskiego aż do równin kujawskich nad Gopłem. Jednakże na równinach sztuka ludowa jest zubożona, bo chłop pańszczyźniany nie mógł poświęcać dość sił roboczych własnemu domowi, skoro musiał harować dla pana, a budulec z pańskich lasów był wydzielany skąpo. Inaczej miała się rzecz z góralem, który miał drzewa i czasu aż do zbytku. Góral budował według starych sposobów, jego dom zachował ten sam charakter, jaki miał w czasach przodków, ale był ponadto szczodrze przyozdobiony. Drzwi, futryny okienne i belki stropowe odznaczają się bogatą rzeźbą. I jak wszędzie, gdzie lud tworzy przy pomocy prymitywnych narzędzi, powstał prawdziwy „styl". Góral musiał oszczędzać żelaza, bo nawet gwóźdź był nieosiągalnie drogi, stąd jako cieśla wymyślił wręcz genialne konstrukcje. Jako narzędziami posługiwał się siekierą, nożem i dłutem stolarskim, i tymi właśnie narzędziami tworzył pomysłowe i celowe ornamenty, których szlachetne, proste piękno zachwyca. Zmysł estetyczny zawsze przejawiał się bujnie tam, gdzie ludzie rozporządzali czasem. Toteż wszelkie sprzęty góralskie z dawniejszych lat wykazują bogate zdobnictwo. Stołki i stoły, ławy i skrzynie, drewniane naczynia na mleko i formy do wyciskania sera, ule i sanie, wszystko razem wzięte ma postać wybitnie piękną. To właśnie jest ów „styl".

Również w ubiorach przejawia się celowe przystosowanie do warunków i wyszukany smak. Owca dostarcza materiału na ubranie, które jest z zasady wełniane. Składa się ono z obcisłych spodni i rodzaju krótkiego płaszcza zwanego cuchą — i jedno i drugie z sukna — a dalej z serdaka, o którym już była mowa. Farbowanie jest kosztowne, dlatego sukno pozostało białe, ale dla ozdoby haftowano na nim bogate desenie. Obuwiem są sandały zrobione z jednego kawałka skóry zagiętego według stopy i kunsztownie przywiązanego rzemykami. O płótno było trudno, tym więc chyba należy tłumaczyć fakt, że koszula jest bardzo krótka, bo sięga tylko do bioder. U juhasów wytworzyło się ponadto niezbyt na nasz smak przyjemne, ale w swoim rodzaju celowe konserwowanie koszuli. Kobiety nie wychodzą z mężczyznami na hale, a więc nie ma nikogo, kto by się zajął praniem. Dlatego juhas moczy koszulę w dziegciu i naciera ją owczym łojem. Jest rzeczą osobliwą, że u kobiet nie wytworzył się specjalnie charakterystyczny ubiór. Próbowano to wyjaśnić w następujący sposób: za czasów, gdy zbójnictwo było w rozkwicie, mężczyźni przynosili swym pięknościom wszelkiego rodzaju zdobyczne stroje z jedwabiu, delikatnego płócienka i kolorowego sukna, co dało w skutku pomieszanie gustów, a że domowy materiał nie pozwalał na naśladowanie owych kosztownych szat, więc nie mógł się wytworzyć jednolity strój kobiet.

Dziś dokonało się wiele faktów, które do gruntu zrewolucjonizowały życie górali. Przede wszystkim nastąpiły wybitne zmiany w stosunkach własnościowych. Na polskiej, północnej stronie Tatr istnieje jeszcze po części wspólna własność lasu i hal. Lasy jednak stały się już w dużej mierze własnością poszczególnych magnatów: hrabia Zamojski i rodzina Uznańskich są właścicielami olbrzymich obszarów leśnych. Skończyło się z wypasaniem trzód po lasach. Stada bydła i kierdele owiec pasą się jeszcze tylko na halach. Po stronie węgierskiej skończyło się i z tym: lasy i góry należą częściowo do państwa, częściowo zaś do magnata — księcia Hohenlohe. Ten pan usunął pasterzy i krainę gór przeznaczył na rezerwat dla kozic. Tę i ową górę ogrodzono i stworzono dzikie parki dla jeleni. Na Muraniu książe hoduje niedźwiedzie dla własnej przyjemności. Tak więc pasterstwo cofnęło się głęboko w dół.

Wzrosły natomiast dochody z hodowli bydła. Nie brak już zbytu

(Dokończenie na str. 6)

Grupa górali-przewodników z dr T. Chałubińskim.

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

U podnóża Grammosu

I

Za Elbasanem szosa biegnie dnem głębokiego wąwozu, wijąc się kapryśnie jak potok. Przejeżdżamy przez wioskę, w której drą się rozgniewane osiołki, ich wrzask podobny jest łudząco do krzyku niemowląt; w cieniu drzew kobiety z małymi dziećmi ukrywają się przed palącymi promieniami słońca. Zatrzymujemy się często obok przydrożnych studzien, wyłazimy z samochodu i podstawiamy głowy pod orzeźwiający strumień chłodnej wody. Zapylony dach naszej „Pobiedy" parzy jak kuchenna blacha.

Rozsuwają się zalesione ściany wąwozu. Przed nami — łańcuch wapiennych gór, obsypanych zielonymi krostami kosodrzewiny. Świetna autostrada spiralą pnie się na wierzchołek najwyższego ze szczytów. I naraz, przewaliwszy przez góry, rozdziawiamy usta w zachwycie: u naszych stóp niby prawdziwe morskie oko lśni szafirowa owalna tafle Ochrydzkiego jeziora. Auto pędzi w dół, nowymi oponami szorując na wirażach.

Coś dziwnego dzieje się z Baszkimem. Gdy mkniemy brzegiem jeziora, ten wiecznie zmęczony, nierozmowny, przesypiający zazwyczaj połowę podróży chłopiec unosi głowę i zaczyna nucić. Również Milka Frasheri ożywia się, rumieńce wstępują na jej policzki. Wkrótce i ja zaczynam odczuwać jakąś ulgę, krew już tak nie stuka w skroniach... To wieje c h ł o d n y wiatr.

Klimat w Pogradecu, miejscowości letniskowej położonej nad jeziorem Ochrydzkim, zbliżony jest do naszego. Po kilkunastu dniach, spędzonych w piekielnym upale (gdy na lotnisku w Tiranie wysiadałem z samolotu, zdawało mi się, że wchodzę do hutniczego pieca) z przyjemnością oddycha się wilgotnym powietrzem. Białe topole rosną nad jeziorem. Woda w nim jest tak przezroczysta, że nawet na głębi widać kamyki i przegniłe korzenie, zaścielające piaszczyste dno.

W domach wypoczynkowych, rozrzuconych nad brzegiem, przebywają na wczasach kolejarze i sportowcy. Tłum dzieciaków zgromadził się przed hotelem, do którego zajechaliśmy na obiad. Obserwują opalonego mężczyznę, wyzierającego przez okno na drugim piętrze. Jakieś pobożne zaciekawienie maluje się na ich buziach.

— To nasz najlepszy piłkarz — wyjaśnia Baszkim.

Granica z Jugosławią przebiega tutaj — podobnie jak w Shkoder — przez środek jeziora. Dwie łódki kołyszą się na punkcie granicznym. Na przeciwległym brzegu świeci garścią białych domków jugosłowiańskich miasteczko Ochryda. Patrzę na Ochrydę, na zaróżowione skały, piętrzące się nad miastem, patrzę z wolnego brzegu na brzeg niewoli i wydaje mi się, że mój wzrok sięga za Pireneje; jutro tak samo spojrzę na Grecję: z drapieżną ciekawością, bo chciałoby się wyłuskać człowieka z wielkiego krajobrazu i zawołać do niego: walcz, trwaj na posterunku, nasz wiek jest wiekiem ostatecznej rozprawy z faszyzmem; z nienawiścią — bo w tym krajobrazie kryją się oprawcy; z jakimś dziecinnym zdziwieniem, że na tak pięknej ziemi, gdzie sama przyroda prosi się, żeby ludzie byli szczęśliwi, upiór faszyzmu mógł uwić swoje gniazda z drutu kolczastego.

II

Baszkim pokazuje mi pasmo łysawych pagórków:

— W czterdziestym pierwszym armia Mussoliniego oberwała tutaj potworne lanie od Greków.

Po obu stronach szosy złocą się na ścierniskach snopy świeżo zżętej pszenicy. W roku wyzwolenia ścierniska te były jeszcze bagnistą topielą. Młodzież albańska osuszyła błota Maliku, zamieniając je w pola uprawne o żyznej, tłustej glebie. Na osuszonych gruntach utworzono państwowe fermy rolnicze. W tymże Maliku buduje się obecnie — w ramach planu dwuletniego — duży kombinat cukrowniczy.

Do Korczy przybywamy o zmierzchu. Przed Domem Kultury witają nas tłumy mieszkańców. Pionierzy cisną się do samochodu z wiązankami kwiatów. Ilekroć przedtem podziwialiśmy gościnność Albańczyków, Milka mówiła:

— To wszystko nic. Zobaczycie, co będzie w Korczy.

I rzeczywiście Korcza przyjmuje nas tak gorąco, że roztrzęsieni ze wzruszenia nie umiemy złapać głosu i zamiast odpowiedzieć na powitalne przemówienia, bełkocemy bez ładu i składu, ściskając się z rozrośniętymi jak dęby chłopcami, piastującymi funkcje ojców miasta.

Delegacja browaru, zaopatrującego w piwo całą Albanię, zaprasza nas na wieczór do swego „parku". Każde przedsiębiorstwo w Korczy ma taki „park" — świetlicę pod gołym niebem.

Przy stolikach, otaczających podłogę do tańca, w blasku kołyszących się na drutach silnych żarówek oczekują nas robotnicy browaru. Noc jest chłodna jak w Polsce. Występuje chór i orkiestra Domu Kultury. Zespół ten zorganizował kierownik muzyczny tutejszej rozgłośni, kompozytor, którego kantata „Korea walczy" zamyka koncert.

Nazajutrz sekretarz miejskiego komitetu partyjnego, dwudziestopięcioletni chłopiec, który w czasie wojny kierował podziemną robotą na terenie Korczy, mówi do mnie:

— Podobno chciałeś zobaczyć Grammos? Jeśli sobie życzysz, możemy jechać na grecką granicę.

III

Masyw Grammosu zajmuje pół horyzontu, strzępiasty, niebieskawy jak burzowa chmura. U podnóża legendarnych gór ciągnie się — jak w Tatrach — pasmo lesistych regli, na najdalszym z nich połyskuje strażnica monarcho-faszystów. Wioska, w której zatrzymaliśmy się, przypomina Hiszpanię: wśród orzechów i białych topól wznoszą się surowe kamienne domy o małych okienkach pod okapami spadzistych dachów; zaprzężone w jarzmo woły wloką powoli drabiniastą dwukołkę; czerwonawe, nagie wzgórza Vitzi piętrzą się nad wąwozem ulicki. Na pagórku nad wioską znajduje się słynny 33 słup graniczny, o którym swego czasu pisała cała prasa światowa.

Było to w sierpniu 1949 roku. Na szczytach Grammosu i Vitzi toczyły się zacięte boje między oddziałami Greckiej Armii Ludowej a nacierającymi hordami monarcho-faszystów. Nad turniami bez przerwy unosiły się chmary faszystowskich bombowców. Najbliższy z regli — Alewitza — bombardowany był przez cztery dni i noce bez wytchnienia. Wówczas to zdradziecka klika Tito przepuściła monarcho-faszystów przez terytorium jugosłowiańskie — na tyły Armii Ludowej. Nie mogąc mimo wszystko otoczyć i zniszczyć partyzantów, monarcho-faszyści zaatakowali Albanię siłami jednej brygady zmotoryzowanej piechoty, lotnictwa i artylerii. Ich manewr miał na celu przedarcie się w rejon Alewiczy i ostateczne okrążenie wojsk ludowych. W wyniku kilkudniowych walk prowokatorzy ponieśli sromotną klęskę i w popłochu wycofali się z albańskiego terytorium.

Odpierając napaść, albańska straż pograniczna wykazała niezłomny hart i bohaterstwo, godne orlich synów. Piętnastu strażników przez dwie doby broniło wzgórza, atakowanego przez trzy bataliony faszystów. Rozmawiam z żołnierzem, na którego mundurze czerwieni się wstążka orderu. Żołnierz ten, krępy mężczyzna o jasnych oczach i płowych jak słoma wąsach — ranny w rękę i nogę, przez dwadzieścia godzin bronił samotnie górskiej ścieżynki.

We wsi jest parę domów, rozłupanych pociskami faszystowskiej artylerii. Winograd obficie pleni się w ruinach. Podchodzi do nas starsza kobieta w czarnej chustce, z sierpem w ręce. To matka tutejszego sekretarza partii. Przybiegła właśnie z pola, zajrzała do chaty — co u wnuków — i znowu wraca do roboty: jest pora żniw i członkowie spółdzielni pracują nocami, żeby szybciej zebrać plon i przed terminem odwieźć ziarno do państwowych spichrzów.

Spółdzielnię założyli chłopi w odpowiedzi na prowokacje ateńskich zbirów. Na gruntach spółdzielni w dolinie pod Grammosem kobiety brodzą wśród rozłożystych liści tytoniu, plewią chwasty. Pokojowa praca triumfuje w tej wiosce, leżącej na granicy dwóch światów.

IV

„Daiti" — Daiti, to nasz ostatni kurs. Z hotelu „Daiti" w Tiranie na Daiti — szczyt. Serpentyną tak wąską, że dwa samochody z trudem mijają się na niej, jedziemy na wierzchołek partyzanckiej góry do Selity, gdzie powstaje jeden z największych obiektów, budowanych w planie dwuletnim — hydroelektrownia, która zasili w prąd Tiranę, Durrusi. Kombinat im. Stalina.

W gumowych cholewach, wypożyczonych u robotników, wchodzimy do tunelu, którym popłynie woda. Ma on dwa kilometry długości, sześć takich tuneli wierci się w Selicie. Często przyciskamy się do ścian, przepuszczając wagoniki, naładowane kamieniami. Migotliwe światełka kaganków bezpieczeństwa tańczą w półokrągłej czeluści, wyłożonej betonem stygnącym pod drewnianą „koszulką". Masy ziemi dudnią nad nami jak gdyby skała się waliła — to odgłos pneumatycznych świdrów, wgryzających się w głąb góry. Po długim marszu docieramy do górników, ogarniętych już gorączką zwycięstwa: ostatnie metry kubiczne skały rozłupują się pod ich ciosami.

Pod górniczymi hełmami — młodziutkie twarze. Młodość i tutaj przoduje: na kolejce wąskotorowej, u betoniarzy, u górników. Dyrektor tak samo młody, na oko — dwudziesty trzeci rocznik.

A brygadier — senior dopytuje się, kto z nas jest pisarzem — potem prosi mnie, żebym — kiedy wrócę do kraju — pozdrowił w jego imieniu... Reymonta.

Z powrotem jedziemy w kłębach wieczornej mgły, wypełzającej z dolin. Jedziemy markotni — nasza podróż po Albanii dobiega końca.

I znowu Tirana, w ciepłe wieczory rozbłyskująca mnóstwem żarówek, zawieszonych nad ulicami jak sznury korali. Rozmowy z pisarzami, pożegnalny występ naszego zespołu artystycznego...

Zwiedzamy Zakłady im. Envera Hodży. Dyrektor, starszy człowiek o dobrotliwych rysach twarzy i lwiej czuprynie, prowadzi nas przez halę do precyzyjnej szlifierki, którą obsługuje brunatnooka dziewczyna. Robotę jej obserwuje inżynier.

— To nasza przodownica — mówi, przywitawszy się z nami. — Byli tacy, co uważali, że za wcześnie powierzamy maszyny uczniom. my z dyrektorem wierzymy w młodzież. Kiedy ci młodzi samodzielnie stanęli przy maszynach, odczuto jako najwyższe wyróżnienie. nie tylko nie było ani jednej awarii czy przestoju, ale nasi niedawni uczniowie przewodzą w socjalistycznym współzawodnictwie. Chciażby ten chłopiec...

Pokazuje nam brunecika uwijającego się przy szlifierce, ozdobionej czerwonym proporczykiem.

— Nie tak dawno temu przyjechał z zapadłej wioski, a dziś jest już z niego majster nieladacz regularnie wykonuje dwieście procent normy.

Inżynier przybył do Albanii z dalekiego Kuzbasu, gdzie w młodości pracował jako tokarz, a później — po studiach — stał się wysokowykwalifikowanym specjalistą w metalurgiem. Dzisiaj pomaga młodszym braciom, kładącym fundamenty socjalizmu w Szkiperii. Pomaga i uczy.

Gdy oglądamy budowę nowej giserni, inżynier uśmiecha się, mrużąc oczy.

— Kiedy zaplanowaliśmy oddzielne umywalnie dla mężczyzn i dla kobiet, starzy robotnicy kręcili głowami — mówi. — Wiecie jaka była pozycja społeczna kobiety albańskiej przed wyzwoleniem... Staremu robotnikowi jeszcze dziś nie mieści się w głowie, że kobieta może pracować w odlewni. A my budujemy oddzielne umywalnie, bo kobiety przyjdą do odlewni... tak samo jak stanęły przy obrabiarkach.

W wolnych od roboty chwilach inżynier opiekuje się fabrycznym klubem, a ostatnio zainicjował akcję sadzenia drzewek na kolonii mieszkalnej zakładów.

— Sam zasadziłem osiem — powiada. — Zostaną po mnie na pamiątkę, gdy wrócę do ojczyzny.

Wyrosną te drzewka za parę lat, będą się zieleniły wiosną, ale nie tylko one zachowają się jako pamiątka pobytu radzieckiego inżyniera na albańskiej ziemi: zapamiętają jego wskazówki czarnowłosy chłopiec — przodownik i podzieli się nimi z młodszym kolegą, pomyślą o nim kobiety, które pewnego dnia zjawią się do pracy w giserni z wdzięcznością, przyjaźnią i miłością do tego człowieka i do kraju, co takich ludzi wychowuje.

Ostatni dzień poświęcamy muzeum.

W muzeum wojskowym znajduje się gablota, której zawartość więcej mówi o partyzanckiej epopei Albańczyków, niż zdjęcia, makiety pobojowisk i karabiny ze spiłowanymi lufami, karabiny z których strzelano jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, a może gdzie bo wcześniej. Długo stoję przed gablotą — mieszczą się w niej instrumenty chirurgiczne i lekarstwa z partyzantki. Z przegniłego chałupa wysypała się na szklaną półkę cała apteczka: tuzin aspiryn, parę zakurzonych buteleczek — jodyna, riwanol... Obok leżą dwie rdzewiejące strzykawki z pokrzywionymi igłami, a nad nimi krótka piłka do cięcia drzewa. Taką tą dokonywano amputacji...

Tak wyglądało ambulatorium partyzantów, mścicieli ludowych, którzy wstąpili w bój, uzbrojeni w karabiny sprzed dwóch wojen. Pomyślcie o tych zaczątkowych oddziałach partyzanckich, a zrozumiecie, dlaczego ich ojczyzna zwie się Szkiperia — kraj orłów...

W muzeum archeologicznym podziwiamy wykopaliska z Pojanu i Berati. Są tutaj popiersia mędrców i cezarów, ozdobne wazy illirskie, bogate zbiory numizmatyczne z epoki greckiej i rzymskiej. Przykuwa naszą uwagę posążek mężczyzny z odłupaną głową, fałdy kamiennej tkaniny spływają po jej kobiecych ciele z miękkością najdroższych jedwabiów. W hallu muzeum znajduje się kopia owej głowy Apollina, którą w swoim czasie Achmed Zogu podarował Mussoliniemu...

W muzeum etnograficznym zgromadzono koronkowe ołtarze, rzeźbione w drzewie, naczynia i okrycia by ze srebra, meble i sprzęt domowy z rozmaitych okolic Albanii i barwne ubiory Szkipetarów z północy i z południa, z gór i z dolin.

VI

Samolot przerzyna się przez chmury mlecznej mgły, podskakując na powietrznych wybojach. Pokochaliśmy Albanię. Po prostu — pokochaliśmy Albanię. Jej lud, jej piękną, jej młodzież, jej krajobraz.

— Że Albania jest dzielna, że jej wspaniałych ludzi, o tym napisz — mówiła Milka na lotnisku. Ale nie zapomnij napisać, że Albania jest także p i ę k n a.

— Albania nie jest mała — powiedział na pożegnanie Baszkim. Albania nie jest mała, bo istnieje Związek Radziecki. Albania nie jest mała, bo obóz wolności i pokoju to miliard ludzi. Spytaj kogo chcesz, ilu nas jest, a odpowiedzą: milion i tysiąc milionów.

Krzysztof Gruszczyński

HENRYK GAWORSKI

PRZY BUDOWIE

Winda skowyczy,
jak złe psisko —
słońcu w twarz
strumieniem kurzu
rzyga,

na zwałach gruzu
kopaczka kły zaciska,
w żelaznym pysku
dwie
tony
ziemi
dźwiga.

Wśród stosów stali,
drzewa,
piasku,
traktor z budulcem
pcha się z trudem.
Żarzą się w słońcu cegły rude
żar
w płomień domów się rozrasta.

To my
rządzimy rytmem dziarskim
wind,
transporterów,
kopaczek,
my — traktorzyści,
my — windziarki,
nasz mózg
i ręce nasze.

Jeszcze na palcach odciski bolą,
gdyśmy na gruzy —
z gołymi szli dłońmi,
nim dźwignęliśmy
pracą
i wolą
potężne cielska
maszyn stukonnych.

Maszynie
dłoni mróz nie odmrozi,
maszynie
w słońcu
nie osłabną mięśnie,
maszyna
naszą pracę pomnoży:
skończymy prędzej,
zrobimy więcej.

Warczą maszyny.
W żelaznej złości
sapią,
plują,
dymią
i gryzą.
Naszymi dłońmi trzymane w ryzach
dźwigają tonny
naszej przyszłości.

DROGA

Droga —
brunatna kreska
przez pole szaro-niebieskie.

Przez pole — oblicze starca,
gdzie bruzdy i skiby jak zmarszczki.

Przez pole, gdzie gruda zmarzła,
jak ślad zimowego jarzma.

Las stoi na horyzoncie,
nad lasem
zimne słońce.

Droga —
kreska brunatna
rozdziera lasu atłas.

Na drodze ślad traktora
w twardą glebę się worał.

Przez las
i za las drogą
ślady traktora wiodą.

Przez las i za las
dalej
po grudzie zmarzłych alej,

przez pole, po ściętej glebie,
pod zimnym słońcem i niebem

ślady traktora biegną
w wiosnę,
co przyjdzie na pewno.

WĘDROWIEC

Z jakiegoś kraju
przybyłem kiedyś
przez erę węgla
i erę kredy,
przez ból nie jeden
i grom nie jeden.

Przez śmierć gatunków
jak piorun iskry,
przez oceany,
co dawno wyschły
szedłem tu mroczny,
nieznany, przyszły.

A droga moja
ciągle bezkresna.
Jeszcze w niej umrę
i jeszcze wskrzesnę
na wiecznej walki
chwile doczesne.

Odchodzą ery
w czas niepowrotny —
z mgławic już nowy
rodzi się okres —
przez gwiezdne burze
do niego dotrę.
Nic, że u granic
zwycięskiej ery
w groźbie zagłady
w potężny szereg
moce ginące
spiętrzą się nieraz.

Od iskry serca
ziemia się zatli —
przyjdzie epoka
żaru i światła,
której nie zmoże
żaden kataklizm.

Z Wysokich Tatr

(Dokończenie ze str. 5)

na mięso, mleko, masło, drób i jaja, odkąd koleje dochodzą aż do stóp gór. Dlatego gorliwie uprawia się gospodarkę pastwiskową, a rolnictwo i hodowla bydła wymagają więcej sił roboczych niż przedtem.

Prócz tego — przemysł letniskowy! Wynajmowanie mieszkań na lato i furmaństwo przynosi pieniądze, a więc półdziki juhas zamienia się w grzecznego gospodarza lub jeździ z „szanownym państwem" jako woźnica. Działa to jak zaraza na mieszkańców wniosek, które awansowały do roli „letnisk" i „uzdrowisk". Tereny, na których buduje się wille, pensjonaty i hotele, bajecznie wzrosły w cenie. Góral zaczyna wściekle spekulować na placach i budowie. Ten i ów stał się z dnia na dzień człowiekiem bogatym. Jednakże potrzeby kulturalne jeszcze się w góralach nie obudziły. Żyją nadal starym obyczajem chłopów i pasterzy, zgarniając do siebie pieniądze lub też je przepijając. Nigdzie nie widziałem, żeby piło się tyle co tu. Ludzie mają jak gdyby „smołowane gardła", bo dla wielu jest dziecinną igraszką wychylić jednym haustem kufel wódki. Możemy sobie wyobrazić, jak straszliwe ofiary pociąga za sobą ta epidemia alkoholu. Drugim podarunkiem, który „kultura" przyniosła góralom, jest syfilis. Jak wszędzie, gdzie trafi na zdrowy element ludzki zaraza ta występuje tutaj ze szczególną złośliwością i dokona niewątpliwie potwornych spustoszeń wśród tego wspaniałego plemienia ludzkiego.

Na szczęście przemysł letniskowy przypadł w udziale niewielu wsiom. Na inne wsie ułatwienie komunikacji wywarło wpływ zupełnie odmienny: nie przybywają tutaj ludzie z obcych stron, lecz chłopi ruszają w obce strony. Po części wędrują do miast, gdzie cieszą się uznaniem jako zręczni cieśle i murarze, po części szukają skąpego zarobku idąc „na Saksy", po części jadą do Ameryki. W tym ostatnim jednak wypadku chodzi o emigrację z wyraźnym celem zaoszczędzenia pieniędzy i powrotu do domu. Miłość górala do ojczyzny może tu odgrywać rolę jednego z czynników, głównym jednak powodem jest głód ziemi. Góral popracuje kilka lat po drugiej stronie oceanu, zaoszczędzi kilka tysięcy koron, wraca i kupuje ziemię. Jest to jednak prawdziwą pracą syzyfową, ponieważ ceny ziemi bajecznie skaczą w górę: podczas gdy żona i dzieci cierpiały w domu głód, mąż harował jak koń w kopalni, w hucie żelaznej lub w porcie jako tragarz, a jeżeli wszystko dobrze poszło — zakupił kilka morgów kamienistej łąki w górach. Jeżeli wszystko dobrze poszło! Bo tysiące tych wędrownych ptaków ginie w służbie chciwego na zysk kapitału.

Wyrywanie się w świat ma tylko jedną jedyną dobrą stronę: góral powraca do domu jako nowy człowiek, który nauczył się innymi oczyma patrzeć na świat, oczyma nowoczesnego proletariusza. Tą drogą przenika nowy duch w odosobniony do niedawna świat gór, tą drogą porywa juhasa proces rewolucyjny, który toruje ludzkości nowe drogi.

Julian Marchlewski

ANNA WYSZNACKA

Ilustrował KAJETAN SOSNOWSKI

DWIE DROGI

TUŻ przed końcem urzędowania do biura przyszedł majster Kwaśniewski i nie mruknąwszy nawet słowa powitania, zwrócił się do sekretarki z pretensjami, że nitów starczy jeszcze najwyżej na tydzień — „a później stanę chyba z robotą"... Panna Izabela rozzłościła się o te nity: — nachodzą ją, jakby była dyrektorem. Zameldowała przecież Lenartowi, już on się postara, przecież to jego interes!

Kwaśniewski patrzył na nią zaczepnym wzrokiem: ze skórą też jest kiepsko, od tygodnia szyją pasy z samego partu, nawet paski do zapinania są skąpe, a co dopiero marzyć o podszywaniu!

— No i co mam zrobić, panie Kwaśniewski, przecież pan sam wie, w jakich cholernych czasach żyjemy — nie dają przydziału skóry. Więc będą mieli pasy z partu i niech się sami martwią dalej... Tak samo z tymi nitami. Na pokrywanie dachów Krakowskiego to mają miedź, a dla nas brakuje.

Wymowne spojrzenie sekretarki zmieszało magazyniera.

— Więc będziemy nitowali żelazem?... — spytał.

— A może wy coś wymyślicie, przecież teraz moda na wynalazców.

Panna Izabela pogardliwie spojrzała na Kwaśniewskiego i usiadła do maszyny.

Stary przeraził się nie na żarty: — co to za głupstwa znowu. Mają przecież wyraźnie określone warunki techniczne, pasy muszą im odpowiadać, a co do miedzi, czy mosiądzu ,to trzeba się starać, nikt im tu przecież oferty pod nos nie przyniesie...

Mówił podniesionym głosem, którego bano się panicznie w fabryce, a nawet w biurze. Kwaśniewski pracował u Lenartów od wczesnej młodości i był z nimi zaprzyjaźniony prawie. W chwilach dobrego humoru wspominał czasem okres świetności firmy „Arcona" — jak się też rozbudowywali, jak rośli w znaczenie i potęgę, nawet Niemcy musieli się liczyć.

Tę świetność Lenartów pamiętał nie on jeden — fabryka dawała przecież nędzne utrzymanie całej niemal dzielnicy. Dziś rozbudowana i powiększona zatrudnia robotników całego miasta. Tylko kilku „najwierniejszych" nie wróciło do blizkich i znanych murów — młody Lenart zwerbował ich do swej nowej małej fabryczki urządzeń przeciwpożarowych, którą założył w innej części miasta. Produkowane w niej płachty brezentowe, ubrania ognioodporne, pasy strażackie bojowe i zwykłe, dostarczał do wielu zakładów państwowych. W tym czasie wytwórni państwowych prawie nie było — zaczęły powstawać znacznie później.

Zaciekawiona Helena Mazur, maszynistka, na końcu języka miała pytanie, o jakie to nity chodzi... Pracowała tu od niedawna — zaprotegował ją właśnie Kwaśniewski — i nie bardzo orientowała się w sprawach firmy. Ale nieprzyjazna twarz majstra nie zachęcała do pytań.

Głośna rozmowa panny Izabeli z Kwaśniewskiego — mimo wybitych wojłokiem drzwi — wywabiła z gabinetu młodego Lenarta. W jego ogromnych brunatno - zielonych jakby przesłoniętych mgłą oczach odbiło się wyraźne niezadowolenie: nie znosił wokół siebie hałasów. Wysoki, szczupły, starannie ubrany, doskonale reprezentował zanikający typ złotego młodzieńca, który jeszcze do niedawna śmiał się z fotografów filmowych do sentymentalnych fotoklepiczareczek i pensjonarek z tzw. dobrych domów. Wycedził spokojnie: przecież Kwaśniewski słyszał już, że będą nitować żelazem i po co ten cały rwetes. Majster zbiedniał nagle i spokorniał:

— Panie inżynierze, umowa mówi wyraźnie, że ma być miedź albo mosiądz. Przecież odpowiadamy!

Ale nawet ta skwapliwość do poniesienia wspólnej odpowiedzialności nie wzruszyła Lenarta. Wyjął ręce z kieszeni i warknął — co się pan martwi i pcha nos w nie swoje sprawy, będzie pan tych pasów używał?

Gdy znikł za wybitymi wojłokiem drzwiami, panna Izabela pełna zrozumienia, którego nie umiała odkryć w towarzystwie młodych mężczyzn, spojrzała na Kwaśniewskiego z satysfakcją — no i co, potrzebne to było? Helena spojrzała na nią ukradkiem — okazuje się, że potrafi być nieprzyjemna... a jak słodko zapraszała mnie dziś do siebie do domu.

Helena odmówiła oczywiście powodowana jakąś instynktowną niechęcią do tej zarozumiałej i pewnej się panny. — Indagacje na temat pracy ojca w ministerstwie napełniały ją nieufnością.

Z ulgą zatrzasnęła wreszcie biuro. Zegar na wieży kościelnej wybił trzecią. Na ulicy panna Izabela przejrzała się jeszcze raz w gładkiej tafli szyby i żegnając Helenę grymasem, który miał imitować serdeczność, podeszła do samochodu. Wysiadł właśnie z niego jakiś wysoki, szczupły mężczyzna. Przechodząc obok dziewcząt uchylił uprzejmie kapelusza, a Izabela szepnęła: — to brat starego Lenarta.

Szofer Mietek, którego nazywali wszyscy z rosyjska „Mitią", zapuścił motor i pokazał zęby w uśmiechu.

Helena z przyjemnością wracała do domu. Matka wyzdrowiała wreszcie i zajęła się energicznie gospodarstwem, co z miejsca poprawiło rodzinny nastrój. Matka była główną sprężyną tego nieskomplikowanego mechanizmu rodzinnego, jak to się często zresztą zdarza w środowisku proletariackim. Wypytywała teraz córkę o młodego Lenarta i jego siostrę, „taką grubą, czarną dziewczynę": — czy pamiętasz jak przed wojną jeździli na spacery bryczką albo wierzchem koło naszej kamienicy? Ale Helena nie pamiętała tych historycznych chwil i pokpiwała z matczynej ciekawości. Ta mówiła wtedy z zadumą: — ho ho, Lenartowie, czy ty wiesz, kto to był przed wojną?

A gdy kiedyś młody Lenart odwiózł Helenę do domu samochodem, matkę ogarnęło niebywałe podniecenie.

— Nic, tylko się zakochał w naszej Helce, rychtuj czym prędzej wesele — dogadywał ojciec. Ale ona nie dawała się speszyć: — a mało to bogatych kawalerów żeni się z ubogimi dziewczynami. I wyliczała wszystkie znane jej tego rodzaju wypadki, pełna głębokiego przekonania, że w najbliższej przyszłości i własna córka znajdzie się w tym zaszczytnym spisie.

Mazurowa była osobą, którą zwykło się określać krótko: człowiek starej daty. I zostawiało się w spokoju tego „człowieka starej daty", jak sprzęt zabytkowy, który jak najprędzej winien być odesłany do muzeum. Żyła w swoim własnym świecie garnków, sąsiadek, plotek i niezrozumiałych dla dzieci ambicji. I chociaż wszystko wokoło uległo uderzającym zmianom, ona wciąż jeszcze, jak mieszczka z końca ubiegłego wieku marzyła o dobrej „partii" dla córki jako o najbardziej imponującej karierze dla dziewczyny z robotniczego środowiska. Ojciec Heleny, Franciszek Mazur, pierwszy spostrzegł, że zainteresowania żony odbiegają znacznie od tego, czym żyła rodzina. Zaczął ją wciągać do rozmów, przynosić książki. Ale Mazurowa, „Mazurka" jak ją nazywały sąsiadki, wszystkie usiłowania męża zbywała krótko: „dajcie mi spokój z polityką, z polityki jeszcze nigdy nic dobrego nie wyszło"... To ostatnie zdanie, jak i wymowne spojrzenie odnosiło się do sławnego w całej rodzinie uwięzienia Mazura za udział w strajku. Helena kończyła wtedy dwa lata, a syn Tadzik miał właśnie przyjść na świat. Strach przed redukcją i strajkiem pozostał u Mazurowej do dziś niemal. Nieufnie słuchała wszelkich wywodów męża na temat zmian w kraju, z trudem pojmowała, dlaczego nie ma strajków, dlaczego robotnicy nie obawiają się bezrobocia... Że się jednak wiele zmieniło, zrozumiała dopiero wtedy, gdy z brudnej ciasnej nory przeniesiono ich do nowego mieszkania.

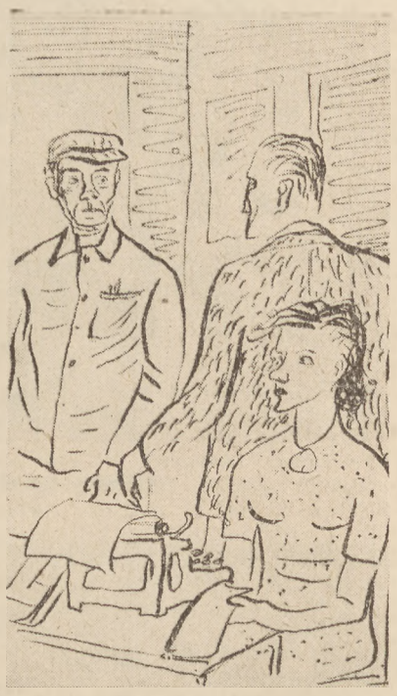

Ale przyzwyczajona od młodości do narzekań nie umiała się nawet wtedy szczerze radować. Dostrzegała wyłącznie ujemne strony nowego mieszkania: okna wychodziły na wschód, a nie na zachód, na rogu nie było sklepu, do którego przywykła, brakowało sąsiadek i nowin z radia, mleczarka nie chciała tak daleko nosić mleka, a ekspedientka w sklepie spółdzielczym miała krosty na twarzy, co ją „obrzydzało"...

Była jak stare drzewo, które po przesadzeniu — mimo sprzyjających warunków, powietrza, słońca, przestrzeni — z trudem przyjmuje się na nowym gruncie.

Ale pewnego dnia do nowego domu przyjechał po raz pierwszy Tadeusz, który odbywał w tym czasie służbę wojskową. Wpadł jak burza do mieszkania, przejrzał każdy kąt, przejechał żelaznym grzebieniem po grzejniku, w łazience puścił sobie na głowę rzęsisty tusz, wybiegł na balkon i znowu wrócił do wnętrza, by chwycić matkę w swoje mocne ramiona — no co, cud nie mieszkanie...

I Mazurka po raz pierwszy roześmiała się z całego serca — cud... a chodźże zobacz kuchenkę gazową, śpiżarnię w ścianie...

Gdy siedli przy stole Tadzik wyjął z szafki tom poezji Majakowskiego i zaczął szukać jakiegoś wiersza. Twierdził, że właśnie nadaje się na dzisiejszą okazję.

— No, jest. — Zerknął jeszcze raz na matkę, uśmiechnął się i zaczął czytać:

Jestem proletariusz.
Powiedziane jasno.
Mieszkałem,
jak matka raczyła powić.
I oto
mieszkanie daje mi na własność robotniczy
blok mieszkaniowy...

Helena słuchała z uśmiechem. Ileż to razy czytała ten wiersz rodzicom, deklamowała na zetempowskich akademiach. Nadawał się jakoś szczególnie dla całej dzielnicy — niemal połowa dawnych mieszkańców zmieniła sutereny i poddasza na nowe mieszkania, właśnie takie w blokach robotniczych z łazienkami, w których

to była —
wanna.
Puść z kurka wodę —
zetnie cię chłodem.
Z drugiego
kapie
nie strzymasz w łapie.

I później:

koszulę
czystą
nasadzaj.
Nasadzam i myślę:
— Słuszną ma linię
ta
nasza
Radziecka Władza.

Od chwili odwiedzin Tadzika matka w całej pełni doceniała wspaniałość nowego mieszkania. Okazało się, że to nawet przyjemnie jak słońce budzi człowieka rano, znalazła się mleczarka, która nie chrzciła mleka i ekspedientka bez krost. Nawet sąsiadki były zbyteczne, bo w mieszkaniu pojawiła się nowa Tesla i można było słuchać radia dowoli. Szczęście rodziny Mazurów było w tym czasie pełne i trwałoby długo, gdyby nie nowe wydarzenie, które zmobilizowało ludzkie języki i naruszyło spokój całego domu.

Wprowadzono właśnie ustawę o zabezpieczeniu tajemnicy służbowej. Mazurka wpadła w wielką rozterkę: — jak państwo może wymagać, żeby człowiek, z którym żyje szczęśliwie od dwudziestu pięciu lat, któremu urodziła dwoje udanych dzieci, żeby ten człowiek zamknął przed nią nagle swe usta i serce. „Żona przecież jestem, mam prawo" — denerwowała się pełna najgorszych przeczuć i niechęci do tej inwazji paragrafów na swoje życie osobiste. Jej biadania miały charakter jak najbardziej posępny: — „ludzie mówili prawdę, że komuniści rozbijają małżeństwa, właściwie po wprowadzeniu tych ślubów cywilnych trudno się już czemukolwiek dziwić"... I w swych pesymistycznych przewidywaniach widziała się już w roli porzuconej, starej kobiety, którą mąż zostawił dla młodej dzierlatki.

— Co też te kobiety nie wymyślą — zdumiewał się Mazur, patrząc na żonę wybałuszonymi krótkowzrocznymi oczyma — posądzać starego człowieka o takie wybryki?

I nagle ogarniał wszystkich niepohamowany śmiech. Najgłośniej śmiała się Helena. Pomawianie ojca — który był rzadkim okazem pantoflarza — o to, że sobie poszuka dzierlatki, było tak nieodparcie komiczne, że długo nie mogła się uspokoić.

Mazur wziął sobie jednak gadanie żony do serca i czatował na okazję — już on się odpłaci.

Nie musiał nawet długo czekać. Pewnego dnia żona powitała go sensacją, która zelektryzowała całą ulicę: — do dyrektora „Arcony", ich sąsiada Lubeckiego, przyjechało kilku funkcjonariuszy UB, których interesował przyległy do zakładu klasztor. Ukrywał się tam rzekomo jakiś niebezpieczny przestępca. Prosili o pewne informacje. Lekkomyślny Lubecki podzielił się nowiną z żoną, ta nie wytrzymała i pochwaliła się siostrze, a siostra pobiegła z językiem do klasztoru. I spłoszony przez uczynną dewotkę ptaszek wyfrunął.

— Jak myślisz, chyba ją zamkną — pytała Mazurka z nadzieją w głosie — nie znosiła Lubeckiej za jej zarozumiałość i pańskie ambicje, które nabyła jak tylko mąż zasiadł na fotelu dyrektorskim. Gryzło ją także to, że jej własny mąż jest zaledwie skromnym awansowanym referentem — a tamten już się „dyrektora dochrapał". — I nawet tak się „nie narażał"... Helena spojrzała na ojca: rozparł się na krześle zadowolony i z dobrze udanym zdziwieniem powiedział: — a ty chcesz, żeby mężowie mówili żonom o swych sprawach, proszę — sama widzisz co to dobrego przynosi,... a moja praca w dodatku wymaga specjalnej ostrożności.

Mazurka speszona, że tak głupio wpadła we własne sidła, wnet odzyskała tupet: — ech ty, twoja praca, te motopompy...

— Żebyś wiedziała, co to za odpowiedzialność teraz motopompy...

— Franuś — chwytała się za głowę — błagam cię daj mi już spokój z tymi motopompami...

*

Na rogu ulicy Helena wpadła prawie na pannę Klarę. Była to ciotka młodego Lenarta, trzymana w rodzinie na łaskawym chlebie. Pozdrowiła ją uprzejmie, dodając, że przyjechał brat.

— Mój brat? — zdziwiła się panna Klarcia.

— Tak, taki szczupły, wysoki. Panna Izabela powiedziała, że to brat starego pana Lenarta.

Stara panna mruknęła coś pod nosem, dygnęła uprzejmie... i podreptała w swoją stronę. Helena lubiła ją. Staruszka nie miała w sobie nic z owej właściwej wszystkim Lenartem pychy. Przychodziła czasem do biura i jak spłoszona kurka zaglądała przez drzwi, żeby wybadać nastrój. Nie lubiła przeszkadzać — nieoceniona zaleta starych ciotek.

Z ogródka przedszkolnego wysypała się gromadka dzieci. Miały wesołe, różowe mordki i cienkie głosiki. Helena zerknęła przez okno — wnętrze przedszkola wyglądało jak tajemniczy pałac z bajki. Mieszkał tu dawniej Francuz, dyrektor elektrowni. Teraz willę objęły w posiadanie dzieci miejscowych robotników, pozostawiając jezdnię i rynsztok wrzeszczącym wróblom.

Już od progu powitało ją gderanie matki: — żeby przynajmniej raz w tygodniu przyszli wszyscy razem na obiad, a to każdy o innej godzinie. Nawet Tadzik wpadł na dwa dni i goni gdzieś jak opętany...

— Odnawia stare znajomości — powiedziała Helena na pół złośliwie, mydląc starannie dłonie, upstrzone plamami atramentu.

Mazurka sapnęła z irytacją, ale nic nie powiedziała. Tadzik był największą miłością jej życia. Wypieszczony, ukochany jedynak, którego o chłodzie i głodzie nosiła pod sercem władał jej uczuciami prawie niepodzielnie. Myśl, że kiedyś przyjdzie obca dziewczyna i zabierze tego drogiego syna, nie dając żadnej gwarancji, że się będzie troszczyć o niego jak matka, pielęgnować i hołubić, otulać w zimne noce i karmić do syta, że będzie zmuszać do noszenia ciepłej bielizny i wełnianych skarpet — myśl ta odbierała jej spokój. Z ukrytą wrogością patrzyła na dziewczęta, z którymi przyjaźnił się w ZMP. Próbowała odgadnąć, która z tych jasnych, młodych twarzy odbierze jej na zawsze serce jedynaka, która przywłaszczy sobie prawo patrzenia w jego żywe, szare oczy... I chociaż bolała, gdy powołano go do wojska, to jednak w głębi duszy czuła ulgę: — jeszcze na jakiś czas zażegnane niebezpieczeństwo.

Matka przyglądając się swoim spracowanym dłoniom, o krótkich zdartych paznokciach — zaczęła monolog, który Helena znała już nie od dziś: — bo wiadomo, czas leci i niejedno się może zdarzyć. Od kilku kilogramów kaszy czy cukru jeszcze nikogo głowa nie zabolała, wszyscy kupują, tylko my czekamy nie wiadomo na co, później będziemy żałować...

— „Jakbyś była dobrym dzieckiem, to zamiast kupować te szmaty dałabyś matce, żeby śpiżarnia nie była pusta..."

Słowa te doprowadzają Helenę jak zwykle do zniecierpliwienia: — o jakim „później" mama znowu mówi? Pieniądze niepotrzebnie wyrzucać... panikę robić...

Taki upór nie może nie zdenerwować człowieka. Mazurka odchodzi obrażona i zaczyna hałasować garnkami. Po chwili przy drzwiach odzywa się dzwonek.

— Wiesz Zochno — woła od progu ojciec — tego ptaszka co to się ukrywał w klasztorze wreszcie przyskrzynili...

Opowiadając nie spuszczał z żony swych wypukłych oczu krótkowidza i badał wrażenie jakie wywołała nowina. Ale twarz jej była nieprzenikniona i pełna nieufności. Zaterkotał znowu dzwonek i Mazurka z żywością młodej panienki pobiegła otworzyć: — teraz to nie może być nikt inny, tylko Tadzik!

„Żołnierzyk" rozebrał się, usiadł powoli na krześle i pociągając dziecinnie nosem słuchał opowiadania matki o owym aresztowaniu: — już mu tam ktoś powiedział, że to był właśnie ten sam, co go chowały zakonnice... Helena uśmiechnęła się: w tym zwięzłym komentarzu była cała matka! W głębi duszy Mazurka uważała męża za fantastę, który widzi naokoło samych szpiegów i wrogów.

Ale syn zawiódł oczekiwania matki. Nie tylko nie podzielał jej sceptycyzmu ,ale wręcz oświadczył, że przecież wróg nie śpi i nie rezygnuje i ojciec ma rację: trzeba czuwać na każdym kroku. Matka, jak zwykle, nie mogła zrozumieć „dlaczego przed wojną nie było tych sabotażystów i szpiegów, a teraz tyle ich się narobiło". Tadzik z anielską cierpliwością tłumaczył jej po raz setny, że przed wojną władza należała do burżuazji, a teraz do robotników — „chcą nas zniszczyć, oddać znowu na łup zagranicznym kapitalistom — że też tego nie możesz zrozumieć?"

— A wiecie co wam powiem — odezwała się Helena, gdy Tadzik skończył — do Lenarta przychodzą czasem Anglicy.... Lenart twierdzi. że to są przedstawiciele tej angielskiej firmy, która dostarcza nam niektóre artykuły pożarnicze.

Ojciec zastrzygł spiczastymi uszami i wlepił w nią swe wypukłe oczy: — Anglicy do niego przychodzą?...

Matka mruknęła: — nic, tylko spiskują, jakby ci ukraść twoje motopompy...

Poważny jak generał na paradzie Tadzik znowu ją upomniał, żeby tak nie lekceważyła tych motopomp... Urządzenia przeciwpożarowe zaznaczane są na planach fabryk, a gdyby takie plany wpadły w ręce wroga?

— A skąd ty wiesz, że to był ten sam, co się ukrywał w klasztorze?— wróciła Mazurka do poprzedniego tematu.

— Jak to skąd wiem, przecież byłem przy jego aresztowaniu — jeden z funkcjonariuszy UB zaraz go spytał, jak się udały wczasy w klasztorze...

Matka załamała ręce: — znów się pcha w nie swoje sprawy, znowu te konszachty z „ubezpieczeniem"... Helena ubawiona przerażeniem matki chichotała po cichu...

— Uważaj, żeby cię nie ubezpieczyli — odezwał się Tadeusz.

— A co to ja mam nieczyste sumienie, żebym się miała bać... Patrzyła na niego niezdecydowana. Po chwili dodała: — Czy ja wiem, tak nimi straszą...

— Straszą wrogowie, agenci i spekulanci i oni właśnie rozpuszczają przeróżne plotki...

— A moi strażacy przyskrzynili niedawno tajną radiostację... — wtrącił Mazur.

— Nie wytrzymał jednak ze swoimi strażakami — roześmiała się matka.

— No, tylko ty nie bagatelizuj moich chłopaków — dostaną teraz nowe mundury, a ja będę miał mundur szyty na miarę, dwie pary butów, nawet rękawiczki.

— A co dają na żony? — zapytała złośliwie matka, z wesołymi ognikami w oczach.

— Siekierki — odparł z poważną miną ojciec, rozweselając na nowo rodzinę.

Gdy wyciągnął rękę po talerz, Mazurka zażartowała: — Tobie nie dam, masz przecież swoje motopompy...

— Ach Zochno, żebyś wiedziała, jakie motopompy dostaliśmy znowu, istny cud...

Mazurowa podniosła oczy do góry i splotła dłonie modlitewnym gestem. Helenę uderzyło zadziwiające podobieństwo matki i brata: ten sam zgrabny, szczupły nos, pulchne wargi, zielonkawe oczy i faliste włosy.

— Motopompy — powiedziała wreszcie z politowaniem — a rodzina bez węgla na zimę... Naturalnie jak się ma motopompy w głowie, to trudno myśleć o zaopatrzeniu rodziny...

Dawną politykę kłótliwego zrzędzenia zastąpiła obecnie sarkazmem. Nie wyrzucała już z siebie pobożnych życzeń w rodzaju: żeby się te motopompy w ziemię zapadły. Teraz cedziła złośliwie: — mój mąż ma motopompy w głowie... A Mazur tymczasem wpadł wyraźnie w natchnienie...

Przysunął się do żony i tkliwie wziął ją za rękę: —

— Ach Zochno, żebyś wiedziała, co to za motopompy, cuda, wpadłabyś sama w zachwyt na ich widok...

Słowa ojca podsyciły na nowo humor Heleny. Przypuszczenie, że matka mogłaby wpaść w zachwyt na widok motopompy, było równie niedorzeczne, jak na przykład to, że mogłaby tańczyć w Zaduszki na cmentarzu.

Matce zaszkliły się oczy ze śmiechu, Tadzik rżał i bił się po udach z radości... Przypominał teraz dokładnie wyrostka sprzed kilku lat. Miał wtedy odstające uszy i krzywe nogi, wpadał w złość, gdy przedrzeźniano jego chód. Jednak z angielki, którą przeszedł w dzieciństwie, nie pozostało nawet śladu — chłop był prosty jak świeca.

Ojciec nachmurzył się: — Trzeba te motopompy najpierw widzieć a później się śmiać... Ponowny dźwięk tego słowa podniecił wszystkich do jeszcze głośniejszych wybuchów.

Mo — to — pompy — sylabizowała matka, krztusząc się niemal... Mazur siedział osowiały i nie brał udziału w ogólnej wesołości. Gdy wyrzucili z siebie wreszcie cały zapas humoru i nie mieli już sił do śmiechu, rozpoczął swój poemat o motopompach: właściwie były to nowoczesne wozy gaśnicze — samochód, a na nim cysterna z wodą — rozumiecie? Na wsi na przykład, nim wyszuka się źródło wody i rozciągnie linię, trzeba przecie gasić... Zaczerwieniony ze śmiechu Tadek dał się zaraz wciągnąć w techniczne szczegóły: — a jak się wodę wydobywa z tej cysterny?

Okazało się, że przy pomocy motoru samochodowego: motopompa ssie wodę i wyrzuca ją w górę..

...Ale prawdziwy cud to dopiero drabina mechaniczna. Motor wyrzuca w górę przęsło po przęśle wraz ze strażakiem, który ma nawet słuchawki na uszach. Linia telefoniczna rozwinięta automatycznie — strażak kieruje gaszeniem...

Ojciec pocierał swój długi nos, gestykulował i z ręki do ręki przekładał papierosa, który mu hamował swobodę ruchów... — A oprócz telefonu jest apteczka, zwijadła, na które automatycznie nawija się wąż...

Wizja tej motopompy pochłonęła Tadka całkowicie. Wypytywał z zainteresowaniem o różne detale, nie bacząc na rozczarowaną twarz matki.

— Właśnie taką motopompę należałoby zobaczyć — zachęcał rozpromieniony ojciec, któremu pochlebiło zainteresowanie syna — jeśli chcecie, mogę was kiedyś zabrać na ćwiczenia.

Tylko Mazurka była nieprzejednana. Naciągnęła na dłoń podarte skarpetki Tadzika i w milczeniu zaczęła je cerować.

*

Pewnego dnia Helena spostrzegła, że lato się skończyło. Nastąpiło to tak nagle, że matka nie zdążyła nawet ogórków zakwasić. Narzekała obłudnie, że z dzieci nie ma żadnej pociechy: zajmą się swoimi sprawami i nawet nie spojrzą na starych rodziców. Kto to słyszał na przykład, żeby do szatkowania kapusty najmować obcych ludzi — przecież to obraza honoru rodzinnego. Okazało się później, że to nie ostatnia plama na tym honorze: Helena ku rozgoryczeniu matki z góry uprzedziła, że na święta jedzie na wycieczkę narciarską, a Tadzik odmówił uczestniczenia w wigilii. Do Świąt brakowało jeszcze kilka tygodni, ale po sklepach mówiło się o nich coraz częściej. Kiedyś na takie serdeczne wspominki przyszła do biura panna Klara. Zajrzała najpierw jak ostrożna kurka do pokoju, a zlustrowawszy jego wnętrze swoimi maleńkimi, kurzymi ślepkami, przycupnęła obok Heleny na brzeżku krzesła. Panny Izabeli nie było — korzystała solidnie z nieobecności Lenarta, który siedział gdzieś na Ziemiach Zachodnich i rzadkimi telefonami przekazywał dyspozycje matce. Ta z kolei dyrygowała biurem. Pewnego dnia zapytała Helenę, w jakich godzinach najłatwiej zastać można jej ojca w biurze — Helenę zdziwiło to pytanie, nie przypuszczała by mógł ich łączyć jakiś interes, to też odpowiedziała wymijająco, jak zwykle zresztą gdy chodziło o sprawy rodzinne. Pani Lenart zachodziła teraz rzadko do biura, przysyłała jedynie Klarcię, niby prywatnego żandarma zobowiązanego do strzeżenia pańskiego dobra. Ale panna Klarcia zamiast wykonywać polecenia i pracować dla ich przyszłości, robiła coś wręcz odwrotnego: obrabiała przeszłość. Helena pojęła wtedy, że rodzina Lenartów świadcząc starej pannie „wielką łaską" hodowała sobie cichego, ale tym bardziej nieprzejednanego wroga.

Dzięki temu poznała tajemnice rodziny, o której matka jej mówiła: Lenartowie, ho, ho... Kto to był przed wojną...

W owych czasach ideał życia Mazurki nie wzorował się. broń Boże, na Lenartach. Skądże by znowu — trzeba mieć przecież umiar... Przykłady godne zazdrości miała bliżej: urzędnika, sklepikarkę, nawet nauczyciela, u którego się przecież też nie przelewało — a jednak żyli jak ludzie. I jeśli powstawała w jej sercu nienawiść, to nie do Lenartów, którzy byli na szczycie tej konfiguracji, ale do urzędnika z pośrednictwa pracy, który nie umiał dać roboty staremu, do sklepikarki, która znowu podniosła ceny na nabiał, do nauczyciela, który wymagał, by dzieci miały książki, zeszyty, kolorowe ołówki. A skąd na to wszystko brać?

Czasem w wielkiej złości nie oszczędziła i tego drańskiego „rządu"— co to rządzi na zgubę biednemu człowiekowi. Ale rząd, to przecież coś mglistego, odległego, matka nigdy nie zetknęła się z nim oko w oko — był dla niej pojęciem oderwanym. A ludzie, o ileż skuteczniej wywołują nienawiść, niż pojęcia oderwane.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

NA PROGU EPOKOWYCH PRZEMIAN*)

Powieść Gołubowa pt. „Narodziny epoki" przypomina — i w koncepcji i w technice autorskiej— „Drogę przez mękę" Aleksego Tołstoja, z tą wszakże różnicą chronologiczną, że „Narodziny" dotyczą okresu, poprzedzającego bezpośrednio pierwszą wojnę światową i data jej wybuchu zamyka akcję powieściową, podczas gdy Tołstoj zawarł w „Drodze przez mękę" historię znacznie rozleglejszą — aż do zwycięskiego zakończenia rewolucyjnych porachunków z reakcją wewnętrzną i interwencją zagraniczną. Założenia i punkty wyjściowe obu pisarzy były jednak zbieżne: chodziło o odsłonięcie i ukazanie społecznego układu sił w Rosji przedrewolucyjnej, wszystkich nurtów, czynników i zjawisk polityczno - socjalnych, które działając antagonistycznie — doprowadziły pod ciśnieniem wojny zewnętrznej do rewolucji lutowej, a później do Wielkiego Października.

Tołstoj rozwinął to zamierzenie autorskie w perypetiach trzytomowej powieści, obejmujących nie tylko „narodziny" nowej epoki, lecz również proces jej wzrastania i krzepnięcia w toku walki z przeciwnościami. Gołubow ograniczył się do odtworzenia historycznej rozgrywki rewolucyjnej w stadium wstępnym, kiedy to przeciwstawne i przeciwdziałające sobie siły społeczne nie uruchomiły jeszcze wszystkich zasobów i rezerw wskutek czego proces przemian znajdował się dopiero in statu nascendi.

Promień kręgu, w którym toczy się wielopłaszczyznowa akcja powieści Gołubowa jest ogromny: robotnicy i chłopi, przemysłowcy i obszarnicy, wojsko i urzędnicy, inteligencja i sfery „towarzyskie", stolica i prowincja, dwór, car i — Rasputin, słowem omal wszystko co stanowiło realną i nieodłączną część ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej znajduje wyraz i odbicie w powieści Gołubowa. Przed oczyma czytelnika tłoczy się wielkie mnóstwo postaci powieściowych — ludzi wszystkich klas i warstw, reprezentantów najrozmaitszych poglądów, teoryj i dążeń, posiadaczy różnorodnych recept przeciwko bólom i chorobom, które nękały Rosję i naród rosyjski w warunkach carskiego samodzierżawia. Trzeba jednak powiedzieć, że w sposobie traktowania przez autora poszczególnych środowisk i związanych z nimi zagadnień są poważne nierównomierności pod względem rozmiarów, żywości i precyzji obrazu, że niektóre partie powieści nabierają niemal proporcyj odrębnego, autonomicznego utworu (np. pobyt pułk. Tułubiewa w Trubieżsku na stanowisku dowódcy pułku), podczas gdy inne — z natury rzeczy całkiem istotne — charakteryzuje epizodyczność i kalejdoskopowość (o inteligencji ówczesnej, o światku kapitalistycznych przedsiębiorców i fabrykantów petersburskich).

Tam jednak, gdzie pióro Gołubowa dotyka spraw i rzeczy najbardziej zasadniczych, gdzie odsłania proces budzenia się i narastania świadomości rewolucyjnych mas robotniczych i chłopskich, otrzymujemy relację na ogół pełną, żywą i trafną. Ten pozytywny rezultat osiąga autor przede wszystkim dzięki zastosowaniu analizy marksistowskiej.

Gołubow różniczkuje wieś zgodnie z obiektywną prawdą gospodarczą i społeczną, rozwarstwia chłopów i przy pomocy bardzo konkretnych, życiowych przykładów demonstruje przepaściste różnice — bytowe i światopoglądowe — pomiędzy takimi biedniakami, jak Łuczinkin i Kurłykin, a kułakami, jak Chachow i jemu podobni. Pierwsi — staną się sojusznikami rewolucji, a po Październiku — oparciem władzy radzieckiej, drudzy — będą popierać i czepiać się wszelkich Denikinów, aż wespół z nimi znikną z powierzchni rosyjskiej ziemi. Taki musiał być nieuchronny los tych wiejskich pasożytów, których próbowali zjednać sobie fałszywymi, pseudo - rewolucyjnymi hasełkami „eserowscy" obłudnicy w rodzaju występującego w powieści — ex-seminarzysty, pisarza gminnego, Likurgowa.

W Rosji przedrewolucyjnej ucisk chłopów był potrójny: po pierwsze — carska administracja, naczelnicy ziemscy, „isprawnicy", itp., po drugie — obszarnictwo, a po trzecie — kułacy wiejscy. Wszyscy ci wrogowie pracującego chłopa szli zawsze przeciwko niemu ręka w rękę. W powieści Gołubowa znajdziemy na ten temat wiele pouczającego materiału.

Jedna z głównych postaci powieści — pułk. Tułubiew, obszarniczy syn, zdobywszy w czasie swej służby wojskowej nieco wiedzy o chłopach, tak o nich myśli: „Chłop — to stworzenie wytrwałe, odważne a przy tym zdolne, bogate z natury... Rosja zbudowała swą potęgę wytrwałością i krwią chłopa i żołnierza". Ale Tułubiew, mimo że człowiek inteligentny i osobiście na wskroś uczciwy, zbyt głęboko tkwi jednak w pojęciach i przesądach klasowych i kastowych, by z takich rozważań mógł wyciągnąć wnioski praktyczne. Może dopiero kiedyś w przyszłości, nauczony wymową losów swego narodu i własnymi, trudnymi doświadczeniami, odnajdzie — podobnie jak kpt. Roszczin z powieści Al. Tołstoja — drogę prawdy i sprawiedliwości, stając w szeregach tych, którzy walczą przeciwko wyzyskiwaczom i gnębicielom.

Swoisty program rozwiązania kwestii chłopskiej ma von Lippe, administrator Tułubiewski i — szpieg niemiecki w jednej osobie. „Dopiero wówczas można będzie gospodarować w Rosji — mówi ten potomek bałtyckiego rodu — kiedy bogaci chłopi wykupią ziemię od biednych, a biedni będą bezrolnymi parobkami"... Natomiast zbankrutowany obszarnik — Wieljaszew widzi ratunek przed ewentualnością rewolucji w jak najszybszym wprowadzeniu ustroju burżuazyjno-demokratycznego. Bo taki ustrój — dowodzi Wieljaszew — „wcale nie musi być liberalny. Tak zwana demokracja, pozostając sobą, może stosować wszystkie formy ucisku— politycznego, religijnego, społecznego. Tęsknoty Wieljaszewa pokrewne są rojeniom młodego Wikułowa, który — jako syn bogatego przemysłowca i wielbiciel zachodnio - europejskiej demokracji burżuazyjnej, pragnąłby wyprzeć szlachtę ze stanowisk kierowniczych w Rosji i oddać władzę w ręce mieszczańskich kapitalistów.

„Liberalizm" wiejskich i miejskich posiadaczy charakteryzuje — w przystępie pijackiej szczerości— pewien literat petersburski, mówiąc: „Nasi liberałowie — to dranie!... Wziąć trochę z Konfucjusza, trochę z Tołstoja, trochę socjalizmu i homeopatii, zmieszać razem, wstrząsnąć, dodać prymitywnej głupoty i otrzymamy liberalizm rosyjski..."

Znachorskie pomysły ratowania zmurszałego gmachu caratu, ucisk i wyzysk mas ludowych, bezhołowie, korupcja, intrygi i zdrada wśród rządzących — to jedna tylko strona życia Rosji sprzed r. 1914. Wśród robotników petersburskich, w warsztatach, fabrykach i stoczniach, rodziły się i umacniały nowe idee, nowe poglądy, te właśnie, którym po latach niewielu sądzone było „wstrząsnąć światem", zburzyć bez reszty ohydne mury więzienne caratu, wyprowadzić Rosję na drogę historycznych przemian ustrojowych i zajaśnieć całej ludzkości zwycięskim przykładem. Z leninowskiej „Iskry" powstają płomienie rewolucyjnego zapału, nielegalne czy półlegalne grupy bolszewickie, realizując wskazania genialnego wodza, kierują walką przeciwko władzy carskiej i kapitalistycznym ciemiężcom, wydają marksistowską, bezkompromisową „Prawdę", organizują strajki, demonstracje i inne wystąpienia masowe. Z szeregów robotniczych wychodzą świadomi, nieugięci bojownicy sprawy wyzwolenia ludu pracującego, tacy jak Piotr Markycz, Aleksy Katasonow, Fiodor Nogotkow i wielu, wielu innych. Od przedmieść i dzielnic robotniczych zrywa się ostry, rześki wiatr, oczyszczający zgniłą atmosferę petersburskiego „świata", któremu ton nadawał głupawy car, rozpijaczeni „gwardyjscy" oficerkowie, sprzedajne „damy z towarzystwa", chciwi fabrykanci i sprytni leaderzy stronnictw burżuazyjnych. Mało jest takich, którzy by nie odczuli tego mocnego, świeżego powiewu.

Proletariat petersburski pokazany w powieści Gołubowa zgodnie z prawdą obiektywną nie jest bynajmniej monolitem. W jego szeregach znajdziemy również oportunistów, tchórzów, nawet zdrajców i wykolejeńców. Najniebezpieczniejsi mąciciele i rozbijacze jedności robotniczej — to mieńszewiccy ugodowcy i „likwidatorzy", tacy jak Chudiakow, którzy potrafią i z władzą żyć w zgodzie i swą pseudorewolucyjną „cnotę" zachować. Perfidne i obłudne są ich myśli, słowa, czyny — zaś rola odgrywana w ruchu robotniczym polega na wysługiwaniu się burżuazji i strzeżeniu jej interesów. Toteż nie Chudiakowowie, lecz tacy, jak Aliosza Katasonow, zostają nowymi bohaterami historii. Zmobilizowany przymusowo do armii carskiej Aliosza żegnając się przed odjazdem z najbliższymi, mówi: „Dopóki żyję, odwagi mi nie zabraknie. A wojna... Rachunek za nią płaci się na końcu... Jeszcze zobaczymy!..." Aliosza miał rację — rachunek za wojnę zapłacono, jak należało, „na końcu", w r. 1917. A Katasonow był zapewne jednym z tych, którzy na rozkaz leninowskiego sztabu atakowali — w historyczną noc październikową — Pałac Zimowy.

Jak już wspomniałem, powieść Gołubowa ma charakter wielopłaszczyznowy, akcja toczy się jednocześnie na różnych planach, wątki fabularne zbiegają się, to znów rozchodzą, obok protagonistów tłoczą się komparsi — słowem jest tu dużo ruchliwej, żywej zmienności, nie zawsze jednak harmonijnie skoordynowanej i podporządkowanej rygorom artystycznym. Pewne chwyty autorskie ocierają się o manierę. Gołubow ma wyraźną skłonność do przerywania akcji poszczególnych scen i epizodów w jej kulminacyjnym, najbardziej dramatycznym punkcie. I dopiero po iluś tam stronicach dowiadujemy się, już w sposób pośredni, o dalszym przebiegu i rozwiązaniu. Gołubow goni czasem przesadnie za niezwykłością porównań, zwłaszcza gdy chodzi o zewnętrzny obraz postaci ludzkich: żona fabrykanta Wiułowa „podobna była do otwartej skrzyni z mąką", inna znowu kobieta miała twarz „podobną do kawałka szarego mydła", ktoś tam „przypominał z wyglądu podsmażonego sandacza".

Gołubow w swej powieści stara się o zachowanie dystansu epickiego. Nie tylko unika — co godne jest pochwały — wszelkiej efektacji, pozy, patosu, ale nawet — co już nie wydaje mi się konieczne— nigdzie nie manifestuje żywiej i goręcej postawy autorskiej wobec opisywanych wydarzeń. Sprawia to niekiedy wrażenie pewnej oschłości i obojętności, budząc odruchowy sprzeciw czytelnika, połączony z pragnieniem, by autor wyszedł nieco z tej emocjonalnej rezerwy i jakoś ściślej związał się z losem swych bohaterów. „Narodziny epoki" nie są książką bez wad i błędów (o ważniejszych wspomniałem wyżej), niezależnie jednak od tego trzeba stwierdzić, że powieść jest nieprzeciętnym i wartościowym dziełem literackim, już choćby dlatego, że zbliża czytelnika do społecznych i politycznych źródeł Wielkiej Rewolucji Październikowej i daje mu w pewnej mierze możność zapoznania się i oceny tego, należącego już dziś do historii, układu stosunków, który uwarunkował narodziny nowej epoki.

Z poważnych trudności przekładowych tłumaczka wyszła na ogół obronną ręką, co — zważywszy na objętość książki — godne jest podkreślenia i uznania. Nie wydaje mi się jednak słuszne „zdemokratyzowanie" w przekładzie polskim tytułów oficerskich, obowiązujących w armii carskiej. Oczywiście, tłumaczenie tych „błagorodii" i „przewoschoditielstw" na język polski może sprawiać pewne trudności — gdy jednak, z woli tłumaczki, zwykli szeregowcy rozmawiają z pułkownikami i generałami po prostu per „pan", odbiera to wielce charakterystycznym nie raz scenom barwę. Poza tym w powieści Gołubowa jest wiele przysłowi i powiedzeń potocznych, ludowych, które w przekładzie polskim wypadły niekiedy co najmniej dziwnie. Tak np. na str. 548 czytamy: „W jednym smyczku trzy grzmoty — przemknęło przez myśl kapitana" — itd. Długo rozmyślałem nad zagadkowym sensem tego powiedzenia — i przyznaję, że nic nie wymyśliłem... Plączą się też gdzieniegdzie jakieś „ogony ogierów w barszczu" itp. niezwykłości treściowe, których źródłem jest albo zbytnia dosłowność przekładu, albo niedostateczne zorientowanie w subtelnych nie raz osobliwościach i właściwościach mowy rosyjskiej. Wszystko to zresztą należy do grzechów powszednich dużej większości naszych tłumaczeń (nie tylko z języka rosyjskiego), a obiektywnie sądząc, przekład „Narodzin epoki" jest pod niejednym względem lepszy od wielu innych.

Bolesław Dudziński

*) **Sergiusz Gołubow. Narodziny epoki.** Powieść Tytuł oryginału: „Sotworienije wieka" Tłumaczyła z rosyjskiego Zofia Kaczorowska Okładkę projektował Henryk Tomaszewski. Warszawa, „Czytelnik" — 1950: str. 612 i 4 nl.

STANISŁAW SZENIC

NOWE NIEMCY

Żywy oddźwięk wywołują w Polsce przeobrażenia u naszego zachodniego sąsiada, wielki rozwój i podziwu godne osiągnięcia gospodarcze, kulturalne i polityczne Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jej nieustające wysiłki zmierzające do zjednoczenia Niemiec oraz nieubłagana walka, podjęta przeciwko wskrzeszeniu niemieckiego militaryzmu i propagandzie rewizjonizmu w Niemczech Zachodnich. Publicystyka polska, nie może jednak poszczycić się poważniejszą ilością książek poświęconych omówieniu zagadnień niemieckich czy choćby nawet prostemu opisowi zachodzących w Niemczech wydarzeń, to też każda nowa książka, traktująca o Niemczech, ma zapewnioną z góry poczytność.

Nowa książka Mariana Podkowińskiego*) już w tytule streszcza swój temat. Podkowiński daje w trzydziestu krótkich, żywo i ciekawie napisanych rozdziałach, przegląd i zarazem ocenę wydarzeń, które doprowadziły do powstania nowych, demokratycznych Niemiec. Zaczyna od omówienia anty-hitlerowskiego ruchu oporu, przeciwstawiając frondującej grupie generalskich puczystów z 20 lipca 1944 roku, usiłujących ratować pozycje imperializmu niemieckiego, rzeczywisty ruch oporu tych wszystkich kół lewicowych i antyfaszystowskich, które po rozgromieniu hitleryzmu stanęły wspólnie do budowy Niemiec Demokratycznych.

Podkowiński omawia szerzej posunięcia, dzięki którym we Wschodnich Niemczech obszarnicy i kapitaliści niemieccy zostali pozbawieni władzy, co umożliwiło zbudowanie demokratycznego ustroju i doprowadziło do utworzenia Niemieckiej Rupubliki Demokratycznej. Szerzej omawia również autor osiągnięcia gospodarcze, przeciwstawiając polityce kolonialnego wyzysku uprawianej przez anglo - amerykańskich monopolistów w zachodnio - niemieckim państwie Adenauera, zdobycze planu dwuletniego w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Podobnie młodzież Niemieckiej Republiki Demokratycznej konsekwentnie walczącą z obozem podżeczy wojennych przeciwstawił autor stosunkom panującym w Niemczech Zachodnich, gdzie młodzież pozbawiona możności pracy, zasila miliony nowe kadry bezrobotnych, karmionych propagandą wojenną i neohitlerowskim hasłami agresji i rewizjonizmu. Stosunkom polsko-niemieckim autor poświęcił również sporo uwagi.

Urozmaicenie wnosi do książki barwny opis wrażeń z podróży samochodowej poprzez pojunkierską przeobrażoną przez reformę rolną Meklemburgię nad Bałtyk, a następnie przez uprzemysłowioną Saksonię do Turyngii, gdzie w Weimarze odbywały się jubileuszowe uroczystości goethowskie.

Natomiast mało stosunkowo miejsca znalazły osiągnięcia Niemiec Demokratycznych w dziedzinie kultury.

W szczególności należy żałować, że autor nie poświęcił osobnych rozdziałów omówieniu niemieckiej literatury, który to temat poruszał przecież niejednokrotnie w swych korespondencjach. W sumie nowa książka Podkowińskiego daje wnikliwy przekrój osiągnięć Niemieckiej Republiki Demokratycznej w polu gospodarczym i politycznym, wykazując, że Niemiecka Republika Demokratyczna stanęła w wspólnym froncie walki o pokój, walki skierowanej przeciwko nowej agresji, przygotowywanej przez angloamerykańskich i zachodnio-niemieckich imperialistów według zleceń podżegaczy wojennych z Wall Street.

Stanisław Szenic

*) Marian Podkowiński, Nowe Niemcy. Książka i Wiedza, 1950.

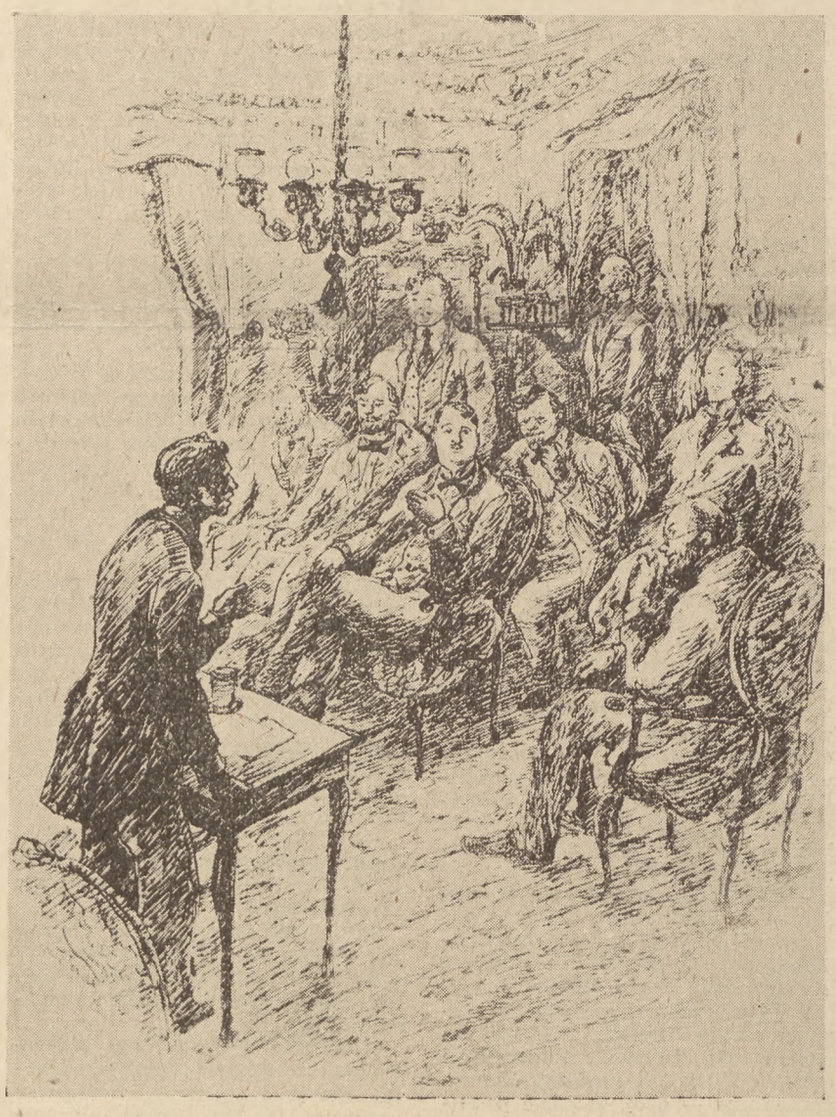

Judym wśród lekarzy warszawskich („Ludzie bezdomni")

Górnicy („Ludzie bezdomni")

ILUSTRACJE KRZYSZTOFA HENISZA DO UTWORÓW ST. ŻEROMSKIEGO

Wystawa jubileuszowa ku czci Stefana Żeromskiego w Kielcach, o której pisaliśmy szerzej w n-rze 1 „Nowej Kultury" z dnia 7 stycznia b.r. objęła m. in. pokaz ilustracji utworów Żeromskiego, wykonanych przez kilku grafików współczesnych. Ze zbioru tego reprodukujemy ilustracje Krzysztofa Henisza do „Ludzi bezdomnych" i „Doktora Piotra"

Wypłata robotnikom cegielni („Doktór Piotr")

GŁOSY W SPRAWIE TEATRU DLA WSI*)

Moja wioska czeka na teatr

Było to w zimowy wieczór, dnia stycznia 1951 r. Siedziałem w ciepłej izbie. Ogarniały mnie — jak na wsi — nudy. Zacząłem czytać „Nową Kulturę" nr 1 (41). Ujrzałem artykuł H. Rospendowskiego pt. „Trzeba chcieć". Przeczytany artykuł wywarł na mnie ogromne wrażenie. Postanowiłem przeczytać już kiedyś czytany artykuł St. Siekierki pt. „Wieś czeka na teatr".

Po przeczytaniu obydwu artykułów pomyślałem: czy nie lepiej byłoby iść na sztukę teatralną Teatru Objazdowego, a nie nudzić się w tej ruchej izbie?

Wreszcie nadeszła mi myśl napisania swoich uwag na temat teatru dla wsi do redakcji „Nowej Kultury". Wyszło mi to dość niefortunnie, bardzo trudno.

Nie ma żadnych wątpliwości, że wieś czeka na teatr. I że teatr dla wsi odegrałby bardzo wielką rolę w przebudowie drobnej gospodarki chłopskiej na spółdzielczą, w podnoszeniu poziomu kulturalnego i umysłowego wsi.

Zdziwiły mnie jednak słowa p. Siekierki, który starał się przekonać czytelników „Nowej Kultury" (w tym i mnie), że jeśli dotychczas teatr wodowy nie dociera do wsi, to dzieje się to przede wszystkim z powodu braku środków wyposażenia technicznego itp. — jednym słowem z powodu braku elementarnych warunków technicznych, bez których przedstawienie teatralne na wsi nie może dojść do skutku.

Czy prawdą jest, że na wsiach polskich nie ma w ogóle sal widowiskowych i scen? Czyżby naprawdę był brak sztuk teatralnych dla wsi? Czyżby może głównym i ostatecznym powodem był brak środków transportowych? — Przypuszczam, nie!..

A tak widocznie jest według artykułu p. Siekierki, bo w planach Generalnej Dyrekcji Teatrów na 1951-1955 rok, zagadnienie teatru dla wsi nie zostało uwzględnione.

Wsie łowickie posiadają już od dawna trzy sale widowiskowe ze scenami, nie mówiąc ile jest sal widowiskowych bez scen. Nie będzie ubolewał p. Rospendowski na brak krzeseł czy ław, na kilkucentymetrowy brud na podłodze, na brak pieców, a woda na pewno przez dziurawy sufit nie będzie kapała „wprost na głowy grających aktorów". Czy myślicie, że przez minione 6 lat w tych salach była przedstawiana jakaś sztuka teatralna, był jakiś teatr? Nie! Śmiem nawet twierdzić, że Dyrekcja Teatrów w Łodzi nie zainteresowała się zagadnieniem sal teatralnych na wsi łowickiej. Zaledwie w m. Łowiczu, przy idealnej jak na takie miasteczko sali teatralnej, dopiero ostatnio Dyrekcja Teatrów w Łodzi postanowiła co miesiąc pokazywać jakąś sztukę teatralną.

Przy tym muszę dodać, że od listopadowych „Przyjaciół" nikt więcej w Łowiczu się nie zjawił. Chociażby z tego prostego przykładu wynika, że nie ma racji p. Siekierko.

Mnie, jako młodemu synowi chłopskiemu ze wsi łowickiej, wydaje się, że najsłuszniejszym rozwiązaniem sprawy teatru dla wsi byłoby powołanie do tego specjalnej placówki, jak pisze p. Siekierko. Bo jeśli nadal pozostanie tak jak dotychczas, to wieś polska (z wyjątkiem Opola) teatru się nie doczeka. Zastrzegam sobie jednak, że placówek takich musiałoby być więcej, bo w polskich warunkach nie wystarczy jedna, centralna placówka w Warszawie. Według mnie nie do pomyślenia jest wyjazd ze sztuką teatralną z Warszawy do najdalszych krańców Polski.

Nie jestem specem w zagadnieniach teatru. Nie znam dobrze trudności w przygotowywaniu sztuki teatralnej. Zaledwie kilka razy byłem w teatrze — i to skromnym. Znam w ogóle bardzo mało sztuk teatralnych. Wydaje mi się jednak, że tysiące chłopów w Polsce mogłoby oglądać sztukę „Przyjaciele". Bez obawy można by ją wystawić w Łyszkowicach, Zdunach i Nieborowie (pow. Łowicz). Przecież z wystawieniem tej sztuki nie ma żadnych trudności z wyjątkiem środków transportu, nad którymi tak biadoli p. Siekierko i p. Rospendowski.

Dla mnie jest jasne, dlaczego niektóre władze terenowe „nie rozumieją jeszcze w pełni, co to jest dzisiejszy teatr i po co on przyjeżdża do wsi czy osady?..." Nawet nie jest to dla mnie dziwne. Ilu przecież chłopów w Polsce nie było jeszcze na sztuce teatralnej? Ilu chłopów nie czyta „Nowej Kultury" i nie wie co daje teatr? Gdyby wiedziało, brakłoby miejsca w „Nowej Kulturze" na drukowanie wypowiedzi. Wielu chłopów przychodzi na sztukę wystawioną przez Teatr Objazdowy po to, aby się pośmiać. Gdy zabawnych momentów w sztuce nie będzie, chłop często powie, że jest nic nie warta. A jednak potem, za pługiem i przy kuchni, powtarza niektóre zwroty usłyszane w teatrze lub kinie, często słyszy się słowa: „Nie rób tak (w znaczeniu ujemnym) jak ten... w teatrze, lub kinie".

Na marginesie muszę zaznaczyć, że popularne stało się na wsi kino. Odgrywa ono doniosłą rolę polityczną i wychowawczą. A czy nie mógłby robić tego teatr?... Z pewnością tak.

Niech aktorzy nie wstydzą się wyjeżdżać na wieś. Niech nie słuchają słów, że grający w terenie aktorzy zaliczani są do gorszej kategorii.

Aktorze!... Wyjeżdżaj śmiało na wieś. To nie powinno być dla Ciebie poniżeniem, ale zaszczytem. Spełnisz tam ważną misję dziejową.

Znakomicie rozwiązał trudności p. Siekierko i bolączki p. Rospendowski.

Pozostaje jedno:

Nad zagadnieniem teatru dla wsi niech pomyśli — i niech tę sprawę pozytywnie załatwi — Generalna Dyrekcja Teatrów.

Czekamy na „teatr na kółkach". Czeka go moja wioska, Patoki. Tylko żeby czekanie to nie trwało do nieskończoności.

Stanisław Zwoliński
wieś Patoki
gm. Kompina, pow. Łowicz

Na jaki teatr czeka wieś

W numerze 38 „Nowej Kultury" Stanisław Siekierko w artykule dyskusyjnym p.t. „Wieś czeka na teatr" poruszył kapitalne pod każdym względem zagadnienie. Wyszedł mianowicie z niepodlegającego dyskusji założenia, że szczególnie dziś, w okresie zaostrzającej się walki klasowej na wsi, w okresie decydującej rozgrywki nowego ze starym i w przededniu zasadniczych przeobrażeń gospodarczych społecznych i kulturalnych na odcinku wiejskim, odpowiednio pokierowany teatr ludowy ma tam do spełnienia specjalnie ważną rolę polityczną i kulturalną.

Teatr na wsi to nadto wyższa, doskonalsza i bardziej przekonywająca forma wszechstronnego kształcenia mas ludowych, które na słowo padające ze sceny czy scenki reagują zupełnie inaczej niż mniej lub więcej wyrafinowana t.zw. publiczność miejska. Fakt ten mógł stwierdzić każdy, kto choć raz znalazł sposobność przyjrzeć się z bliska teatralnej widowni robotniczo-chłopskiej, która obserwując tok wydarzeń na scenie na przemian płacze ze wzruszenia lub wybucha serdecznym śmiechem, grzmiącymi oklaskami nagradza sympatyczne dla niej sytuacje i wykonawców, głośnymi pomrukami niezadowolenia wyraża swoją dezaprobatę dla niepomyślnego jej zdaniem rozwoju wypadków na scenie...

Dzięki pełnemu zapału oddawaniu się widzów robotniczo-chłopskich wrażeniom odbieranym ze sceny, w teatrze ludowym panuje prawie zawsze serdeczny nastrój, który powoduje, że widownia i scena tworzą tam jedną harmonijną całość.

Zdając sobie sprawę z wychowawczej roli udramatyzowanego słowa w walce klasowej na wsi, musimy równocześnie nieco szerzej niż to uczynił St. Siekierko przeanalizować problem kadr i odpowiedniego repertuaru dla wiejskich zespołów teatralnych, t.j. zarówno dla nawiedzających wieś w święta objazdowych teatrów zawodowych, jak i stale tam działających teatrów amatorskich (zespoły świetlicowe).

Zacznę od najważniejszych moim zdaniem zagadnień repertuarowych, wychodząc z założenia, że repertuar teatrów ludowych, jak dotąd, bardzo dużo pozostawia do życzenia.

Uważając lud za „niemowlę kulturalne", które w ostrożny sposób należy odpowiednio wychowywać, od czasu uwłaszczenia zaczęto przygotowywać dla niego różne „sztuczki", komedyjki i „obrazki" z życia wsi, podlane sosem oświatowo - sielankowym, w rodzaju anczycowskich „Błażków Opętanych", „Chłopów arystokratów", „Łobzowian" itp. Na Anczycu wzorowali się inni i tak szło wszystko po staremu aż do naszych czasów. Fakt ten podlegał zawsze ostrej krytyce zainteresowanych prawdziwym postępem wsi pisarzy i publicystów.

Dziś nowe życie wsi, jej codzienne konflikty, marzenia, tęsknoty i niepokoje domagają się nowej wypowiedzi w teatrze. I to nie tylko w teatrze zawodowym, ale również na amatorskiej scenie, która w swej formie była dotychczas przeważnie nieudolnym naśladownictwem teatru zawodowego.

W związku z tym St. Siekierko w swoim artykule słusznie podkreśla, że „funkcja polityczna, jaką ma do spełnienia teatr dla wsi, wymaga szczególnego uwzględnienia w jego repertuarze sztuk współczesnych o tematyce wiejskiej..." Mówiąc dalej o niskim poziomie nielicznych współczesnych sztuk teatralnych o tematyce wiejskiej, ma zupełną rację doszukując się przyczyn tego stanu rzeczy w niedostatecznej znajomości środowiska chłopskiego u większości naszych dawnych i współczesnych pisarzy.

W spuściznie po smutnej pamięci okresie zaborów i sanacji pozostało u niektórych ludzi pióra przekonanie, że twórczość dramatyczna dla ludu nie wymaga specjalnych wysiłków i poważniejszych przygotowań. Nieprzygotowany teatralnie chłop czy robotnik przyjmie ich zdaniem na scenie wszystko bezkrytycznie i z zadowoleniem. Zgodnie z takim założeniem różne „Błażki opętane" i inne w podobnym guście utrzymane „obrazki dramatyczne" przez całe dziesięciolecia znajdowały na ludowych scenkach gościnne przyjęcie. Tą drogą jeszcze i dziś na afisz teatrów ludowych usiłują często z powodzeniem wedrzeć się fałszywie postawione lub zgoła ze wsią nie mające nic wspólnego „dramaty", sztuczydła, czy wodewile „ludowe".

Nim wykształci się u nas zastęp prawdziwych twórców dramatu ludowego, można i należy już dziś forsować w teatrze ludowym, zarówno zawodowym (zespoły objazdowe), jak amatorskim (zespoły świetlicowe) repertuar złożony ze sztuk klasyków polskich i obcych oraz współczesnych autorów radzieckich. Można i należy pokazać izolowanym do niedawna przed „niepożądanymi" wpływami masom chłopskim postępowe nurty w naszej historii i literaturze (inscenizacje, żywe obrazy) oraz dzisiejsze przeobrażenia związane z dziełem budownictwa socjalistycznego.

Propozycja St. Siekierki, aby reprezentacyjny objazdowy zespół teatralny dla wsi stworzyć bez staranniejszego wyboru spośród rezerwowych aktorów warszawskich, wydaje mi się niedostatecznie przemyślana. Moim zdaniem w pierwszej fazie działalności objazdowego teatru ludowego, nim jeszcze nasze szkoły aktorskie wykształcą wykwalifikowane w tym kierunku kadry, powołane do szerzenia kultury teatralnej, zespoły objazdowe należałoby oprzeć przede wszystkim na kwalifikowanej kadrze ochotniczej, w ten czy inny sposób ze wsią związanej, zdolnej odtworzyć postacie chłopskie czy robotnicze bez zasadniczych błędów i niedociągnięć.

Nie ulega przy tym wątpliwości, że w pracy teatralnego zespołu ludowego musimy dziś walczyć o inaczej — niż dawniej — pojętą „ludowość". Musimy artystów teatru ludowego nauczyć w jaki sposób mają pokazywać wdzięcznym odbiorcom robotniczo - chłopskim nowego człowieka pracy w jego codziennej walce i trudzie, w jego ludzkich wzlotach i upadkach, w jego twórczych radościach i uniesieniach.

Postulatom tym potrafi odpowiedzieć przede wszystkim aktor o wyrobionym pionie ideologicznym i moralnym. Tym bardziej musi im odpowiadać aktor - członek objazdowego teatru zawodowego, który to teatr będzie szkołą i wzorem dla tysięcy rozrzuconych po całym kraju amatorskich zespołów świetlicowych.

Proponowany przez St. Siekierkę jeden centralny, wyposażony we wszystkie potrzebne urządzenia i rekwizyty ludowy teatr objazdowy w stolicy byłby kroplą w morzu zapotrzebowania na prawdziwy teatr dla wsi. Planowana na rok 1955 ilość 7.749 przedstawień teatrów objazdowych na ludowych scenach, to stanowczo za mało na najskromniejsze choćby zaspokojenie zapotrzebowania terenu.

Toteż, chcąc jak najszybciej włączyć masy pracujące na wsi w żywy nurt pełnouprawnionych odbiorców wartości kulturalnych musimy jak najszybciej w k a ż d y m mieście wojewódzkim powołać do życia odpowiednio wykwalifikowany i ożywiony najlepszymi intencjami zawodowy zespół teatralny dla obsługi danego województwa.

Zespół taki, choćby chwilowo rozporządzał skromnymi środkami technicznymi, docierając coraz częściej do w s z y s t k i c h miejscowości (miasteczek i wsi) danego województwa spełni tam swoją rolę kulturalną.

Przy dobrej woli i odpowiednim kierownictwie w niedługim stosunkowo czasie sam znajdzie właściwe dla siebie miejsce i podciągnie działające w terenie amatorskie zespoły świetlicowe do rangi teatru, na jaki czeka wieś...

Władysław Błachut
Kraków

*) Patrz art. St. Siekierki w nu-rze 38/1950 i wypowiedź H. Rospendowskiego w n-rze 1(41) 1951.

STEFAN ORDĘGA-RÓŻYCKI

Objazdowe teatry w Olsztynie i Opolu

Państw. Teatr im. St. Jaracza w Olsztynie. Godzina przedpołudniowa. Ruch w budynku jak w ulu. Kier. art. dyr. Surzyński jest zajęty na konferencji. Korzystam z uprzejmości dyr. Żułkwy, starego „wyjadacza" teatralnego z Wilna.

Przystępuję z miejsca do rzeczy:

— Proszę o trochę informacji o waszej pracy?

— Trudno to zamknąć w kilku słowach. Postaram się — mówi dyr. Żułkwa — udzielić w miarę możności jak najściślejszych danych:

— Zanim nastąpiło definitywne upaństwowienie teatru musieliśmy pokonać niejedną trudność. Od tego czasu odpadły nam liczne kłopoty materialne. Ale brak nam taboru samochodowego. Bez posiadania takowego nie do pomyślenia jest należyte funkcjonowanie teatru objazdowego. Pomimo tych trudności obsługujemy jednak większe i mniejsze miasteczka a także wsie j. np. Gietrzwald, Butrymy, Ruciany, a co najważniejsze stale dajemy przedstawienia w miastach woj. gdańskiego jak Elbląg, Malbork, Kwidzyń, Sztum, Tczew, Nowy Dwór. Stwierdzić muszę z dumą, że przedstawienia nasze odbywają się prawie wszędzie przy pełnej widowni. Widz przyzwyczaił się do teatru. Teatr jest mu potrzebny. Trudno mu się bez niego obejść. I to jest jedno z naszych wielkich osiągnięć. Gdzie tylko przybywamy wszędzie jesteśmy serdecznie witani. W Kwidzyniu młodzież szkolna stale wita naszych aktorów serdecznym słowem i kwiatami. Po przedstawieniu „Odwetów" we wsi Butrymy dyr. Surzyński przemówił do licznie zebranej publiczności, po czym leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, w serdecznych słowach podziękował aktorom za przybycie, a licznie zgromadzona publiczność gorąco oklaskując aktorów wołała „przyjeżdżajcie częściej". — We wsi Gietrzwald wójt gminy, autochton, gdy po 3-cim akcie „Odwetów" kurtyna poszła w górę, wyszedł na scenę i dziękując zespołowi za przyjazd zaofiarował w imieniu mieszkańców wsi Gietrzwald dyr. Surzyńskiemu obrazek, wykonany przez miejscowego malarza.

To są na pozór małoznaczne sukcesy, ale mają swoją głęboką wymowę.

— Czy nie zechciałby mi dyrektor udzielić trochę danych o ilości przedstawień i widzów obecnych na nich?

— Wiele trudu i wysiłku musieliśmy podjąć zanim mogliśmy ruszyć pełną parą, tj. utworzyć 3 zespoły mając do dyspozycji 43 osoby zespołu aktorskigo wraz z suflerami i inspicjentami. W rezultacie daliśmy poza różnymi akademiami — 11 premier, 3 prapremiery, 1 wznowienie: *„Pan Jowialski"* z gościnnym występem mistrza L. Solskiego, *„Wasia Żeleznowa,* M. Gorkiego, *„Błękitny Ton"* Łysakowskiej, *„Przyjaciele"* Uspieńskiego, *„Braterstwo Ducha"*, na które złożyły się „Kamienny Gość" Puszkina, „Demon" Lermontowa — (pierwsza próba inscenizacji dramatycznej tego poematu) i żart sceniczny Czechowa „Oświadczyny", zaś w ramach uroczystości jubileuszowych *„Trzej Geniusze"* jako tryptyk: — „Kamienny Gość" Puszkina, fragmenty „Dziadów" Mickiewicza, „Marii Stuart" i „Anhellego" Słowackiego, dalej *„Odwety"* (nowa wersja) Kruczkowskiego, *„Grzegorz Dyndała"* Moliera, *„Maszeńka"* Afinoginowa, *„Sprawa Anny Kosterskiej"* Lubeckiego, *„Okno w lesie"* Ryssa i Raimanowa, *„Klub Kawalerów"* (jako komedia muzyczna) Bałuckiego, *„Za siedmioma górami"* bajka E. Szelburg-Zarembiny, *„Żabusia"* Zapolskiej, *„Wczoraj i Przedwczoraj"* Maliszewskiego.

O popularności naszego teatru świadczy fakt — tu dyr. Żułkwa wertuje kartki notatnika — że w miesiącach lutym i marcu 1949 r. daliśmy w Olsztynie i w terenie 158 spektakli, które oglądało około — 65.520 widzów. Ogólna ilość przedstawień — za okres od września 49 po koniec maja 1950 r. — wyraża się cyfrą około 600, przy 200.000 widzów. Biorąc przeciętną dawaliśmy codziennie 2 przedstawienia, oglądane przez około 1000 osób.

— A jak przedstawiają się wasze osiągnięcia artystyczne?

— Na to pytanie nie łatwo odpowiedzieć. Najlepiej zaświadczy o poziomie naszego teatru ten fakt, że komisja kwalifikacyjna z 5 sztuk przygotowanych przez nasz teatr na Festiwal Sztuk Radzieckich wytypowała „Kamiennego Gościa" Puszkina i „Oświadczyny" Czechowa, które dzięki grze aktorów (E. Śnieżko-Schafnaglowa, A. Sewruk, B. Płotnicki) i reżyserii St. Milskiego zostały przez krytykę stołeczną i jury festiwalowe uznane jako imprezy artystycznie dojrzałe, w konsekwencji czego reż. St. Milski i aktor A. Sewruk zostali wyróżnieni.

Że osiągnięcia nasze są takie a nie inne — zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie nestorowi sceny dyr. *H. Barwińskiemu, L. Barwińskiej, H. Starskiej, M. Wiland, E. Śnieżko - Schafnaglowej, M. Sokólskiej, H. Radwan-Łodzińskiej, J. Zakrzyńskiej, St. Milskiemu, K. Korowicz - Kołczence, M. Ursynowi, Wł. Surzyńskiemu, J. Marrowi i Zb. Łobodzińskiemu.*

W teatrze tym panuje prawdziwy entuzjazm dla pracy, nie tylko w zespole artystycznym, ale i technicznym. Oto dowód: w czasie otwarcia pierwszego Domu Kultury P. G. R. w Nowym Dworze, brygada Antoniego Iszory zmontowała scenę w ciągu 45 minut zamiast w ciągu 2 godzin, wliczając w to wyładowanie dekoracji z samochodu.

*

Państw. Teatry w Jeleniej Górze, oraz w Bielsku i Cieszynie też wchodzą w orbitę teatrów objazdowych. Opierając się na artykule Marii Gabrieli Plaskoty (Nowa Kultura nr 34 z dnia 19.12.1950 r.) pt. „Życie Teatralne w Jeleniej Górze", teatr ten daje przedstawienia w około 20 miejscowościach, zaś Państw. Teatr Bielsko-Cieszyn jak wynika z artykułu Jerzego Korczaka, pt. „W Teatrze Bielsko-Cieszyn" (Dziennik Literacki nr 49 z dnia 3. 12. 1950 r.) obsługuje 24 miejscowości plus kilka miejscowości przygranicznych w Czechosłowacji, o czym pisał Jerzy Zagórski w nr 38 Nowej Kultury.

Mając przed oczyma zasięg przedstawień choćby tylko tych dwóch teatrów objazdowych, bez trudu przyjdzie nam stwierdzić, że teatr Opolski w rodzinie teatrów objazdowych zajmuje miejsce niepoślednie.

720 przedstawień w 124 miejscowościach (w ciągu niespełna 12 miesięcy) oglądanych przez 228.890 widzów, — przebyta trasa autobusów i aut ciężarowych 122.792 km — oto bilet wizytowy Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej, który złożył meldunek przedterminowego wykonania Planu Rocznego.

Państw. Teatr Ziemi Opolskiej, to typowy teatr objazdowy obsługujący nie tylko miasta, miasteczka, ale i wieś. St. Siekierko w artykule „Wieś czeka na teatr" (Nowa Kultura nr 38 z dn. 17 grudnia 1950 r.) nazwał to „zupełnie sporadycznymi próbami". To już nie sporadyczne próby skoro P. T. Z. O. obsługuje około 50 wsi.

By choć w przybliżeniu odtworzyć sobie obraz działalności P. T. Z. O. — dowiedzmy się, że w jednym dniu teatr opolski obsługuje równocześnie trzy miejscowości, położone w różnych stronach np. Kluczbork — Rybnik — Lewin Brzeski, albo Wirek — Prudnik — Kłodzko. Te odległości mówią same za siebie, skoro się zważy, że cały zespół artystyczny wraz z Teatrem Kukiełek i orkiestrą liczy zaledwie pięćdziesiąt kilka osób.

Że P. T. Z. O. wykonał plan roczny — 720 przedstawień przed terminem, to zasługa nie tylko zespołu aktorskiego, personelu technicznego, dyrekcji, ale w głównej mierze kierownictwa organizacji widowisk, które spoczywa w rękach *Ob. Diakowa Bogdana.*

A że P. T. Z. O. zdobył widza oto mały obrazek:

Z dziedzińca teatralnego wyruszają w 3-ch różnych kierunkach autobusy. Jadą z zespołem, który udaje się do Sławęcic.

Deszcz grubymi kroplami osiada na szybach. Ziąb w autobusie dokucza. Szybko mkniemy po asfaltowej szosie. Po półtorej godzinie wjeżdżamy do Sławęcic. Na chodnikach sporo ludzi. Jakby na coś czekali. Nieliczne lampy elektryczne rzucają jasny snop światła na autobus teatralny, na którym widnieje duży napis „Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej". Nagle jestem zaskoczony — padają liczne oklaski. To publiczność oczekująca przyjazdu teatru wita aktorów. Autobus zatrzymuje się. Jeden z profesorów „Zespołu szkół Chemicznych w Sławęcicach" zaprasza zespół do stołówki.

Olbrzymia schludna sala, mogąca pomieścić kilkaset osób. Długi szereg stołów i ławek. Młodzież szkolną zastajemy przy kolacji. Na widok przybyłych aktorów, dziewczęta i chłopcy zrywają się z miejsc. Rzęsistymi oklaskami dają wyraz swej radości z przyjazdu teatru. O godzinie 19 piękna sala teatralna szczelnie wypełniona publicznością. Przeważa młodzież. Teatr wystawia sztukę słowackiego pisarza Kralika „Podhalańskie Buki". Widownia reaguje żywo. Znać, że rozumie dobrze problem, zawarty w sztuce. Po przedstawieniu dyskusja, w której poza młodzieżą i członkami grona nauczycielskiego, biorą udział różne osoby z publiczności. Nie mniej serdeczne przyjęcie spotyka P. T. Z. O., gdy w kilka dni potem daje we wsi Sidzinie przedstawienie „Podhalańskich Buków" dla PGR.

W zespole aktorskim przeważa element bardzo młody, nad którym Dyrekcja Teatru roztoczyła realną opiekę, urządzając stale doszkalanie, prowadzone przez reż. Stanisławę Zbyszewską i aktorkę Zofię Piotrowską.

P. T. Z. O. doceniając znaczenie kadr aktorskich szeroko otworzył podwoje członkom zespołów amatorskich. I tu sprawdza się hipoteza, że dobry teatr amatorski (w tym wypadku w Ząbkowicach) jest dobrą szkołą przygotowawczą dla adeptów sztuki aktorskiej, o czym przekonał nas Zbigniew Klucznik, który musi się jednak wyrzec nieznacznych skłonności do szarży. Jak zdolne jednostki napływają z szeregów klasy robotniczej przykładem— Paweł Baldy.

W zespole aktorskim znalazł się też były pracownik fizyczny Edmund Nowak, który mając za sobą dwuletnią praktykę w Brzegu, okazał się dobrym nabytkiem.

Będąc na kilku przedstawieniach, mogłem stwierdzić, że w gronie młodego pokolenia zdobyli już ostrogi aktorskie *W. Bajerówna, B. Borzymska, M. Chodecka, W. Lisowska, K. Łodzińska, H. Zboromirska, St. Igar, J. Kozłowski, B. Płotnicki, J. Przybylski i A. Sewruk.* Reszta młodych to element zdolny, ale jeszcze surowy.

Nie mało też przyczynili się do wykonania planu starsi aktorzy jak: *Szpaczyńska, Jurdzińska, Kownacka, Skalska - Hudecowa, Bay - Rydzewski, Kacerz-Czerski, Dubrawski, Machlejd - Bielecki, Smolka, Marecki, Hubczenko,* zaś z młodego pokolenia, które po wojnie weszło w rodzinę aktorską — Z. Bregułowa, Czuprynówna, M. Murawska, A. Kleynowa, Żyborska, St. Barski, E. Petting, J. Herkoperec, K. Rogalski.

Praca rutynowanej reżyserki *Stanisławy Zbyszewskiej* i młodego reżysera *Witolda Koweszki* zapowiada stałe podnoszenie się poziomu artystycznego przedstawień.

Odrębną kartę w historii teatru opolskiego zajmuje Teatr Kukiełek, który pod kierunkiem Alojzego Smolki kilku setkami przedstawień przyczynił się również do zrealizowania planu rocznego. Zaś orkiestra P. T. Z. O., której duszą jest prof. Rożynek, dała się poznać publiczności tak w Opolu jak i w terenie z jak najlepszej strony.

Stefan Ordęga-Różnicki
Brzeg n. Odrą
ul. Świerczewskiego 25

Wieś czeka na prawdziwy teatr

Podczas gdy do niedawna jeszcze wystarczało, że ludzie na wsi mieli co zjeść, w co się ubrać i gdzie się położyć na spoczynek, dzisiaj nowością przestają być takie zdobycze techniki, jak elektryfikacja, motoryzacja, czy radiofonizacja. Wszystko to staje się czymś swoim, nieodzownym. Obok tego coraz silniejszym staje się pragnienie — poza lekturą, radiem, kinem — jeszcze innej rozrywki kulturalnej — teatru; prawdziwego teatru, tj teatru na poziomie, przemawiającego do serc i rozumów. Co prawda wieś ma od czasu do czasu teatr. We wszystkich niemal wsiach istnieją bowiem dzisiaj zespoły świetlicowe, kółka dramatyczne, amatorskie zespoły teatralne, które przynajmniej raz, a nawet dwa i trzy razy w ciągu roku wystawiają sztuki teatralne. Poza tym — w ramach łączności wsi z miastem — na wieś docierają zespoły robotnicze z pobliskich miast.

Bywa jednak często, że występy tak jednych jak i drugich nie dają widzowi wiejskiemu zasłużonej rozrywki kulturalnej, nie oddziaływują wychowawczo na psychikę ludu: nie pogłębiają jego świadomości obywatelskiej, klasowej; nie podnoszą jego poziomu kulturalnego. Nie wychowują nowego człowieka. Oczywiście na stan taki wpływają różne powody. Nie tylko dobór sztuki, ale i słaba organizacja, lub słabe wykonanie obranej sztuki. I tak np. przedstawienie zaczyna się z godzinnym, a nawet większym opóźnieniem. Zmusza to zebraną publiczność do długiego, nudnego wyczekiwania, w dodatku często w nie ogrzanej sali, przy słabym oświetleniu. Przy samym zaś wykonywaniu sztuki często lekceważy się i pomija wyjaśnienia, przeznaczone dla publiczności — kto tę sztukę napisał kiedy, jaki jest zasadniczy sens jej fabuły. Innym razem niewłaściwie skraca się tekst, co ujemnie wpływa na całą treść sztuki.

Często też występujący amatorzy nie panują dostatecznie nad tekstem. Ujemnie też wpływają na poziom wykonania niewłaściwe, często skrępowane starym pojęciem o tych sprawach, ruchy.

Wieś naprawdę, prawdziwie czeka, woła, potrzebuje prawdziwego teatru. Toteż propozycję utworzenia Wiejskiego Teatru Objazdowego, wysuniętą przez ob. St. Siekierko na łamach „Nowej Kultury" w artykule pt. „Wieś czeka na teatr" należy z radością i uznaniem powitać, rozważyć, uzupełnić i — zrealizować.

Wnioskodawca przewiduje utworzenie w pierwszym etapie do 5-ciu, a w późniejszym do 10-ciu zespołów objazdowych dla wsi. Tymczasem zapotrzebowanie na teatr — właśnie taki na poziomie, czyli prawdziwy — jest bezwątpienia powszechne i występuje równocześnie w całym kraju, we wszystkich wsiach. Wszędzie bowiem ludzie pragną takiej rozrywki kulturalnej. Wszędzie też poziom pracy artystycznej zespołów świetlicowych, teatralnych jest jeszcze niedostateczny, jeżeli nie wręcz katastrofalny i zachodzi konieczność pokazania im zespołów na odpowiednim poziomie, jako wzór godny naśladowania. I wszędzie też trzeba naśladowania.

A. Kowol-Marcinek
Bukowiec Górny
Powiat Leszno

Z TYGODNIA

Życie literackie

Ukazał się pierwszy numer „Życia Literackiego", nowego pisma wydawanego w Krakowie. „Życie Literackie" — czytamy w glossie wstępnej od Redakcji — obejmując zasięgiem tematycznym sprawy całego kraju, szczególnie blisko pragnie się związać ze sprawami Polski południowej". To też w inauguracyjnym numerze, obejmującym 16 stronic druku znać troskę o zaprezentowanie czytelnikowi jak najszerszego wachlarza bądź nazwisk pisarzy związanych z rejestrem Krakowa i Śląska, bądź też tematów związanych z tą częścią Polski.

I tak w pierwszym numerze „Życia" Marian Brandys drukuje początek powieści o Nowej Hucie pt. „Dwie Drogi", a Władysław Machejek opowiadanie z życia dzisiejszej wsi „Studnia". Interesująca gawęda literacka Adama Polewki poświęcona jest tradycjom Krakowa, które zdaniem autora „trzeba przewietrzyć". Spoza kręgu autorów i spraw Polski południowej znajdujemy fragment powieści St. Wygodzkiego z historii polskiego ruchu robotniczego pt. „Nocne rozmyślania". Z utworów poetyckich spotykamy w numerze — większy fragment „Poematu Górniczego" Wilhelma Szewczyka, nowe wiersze Wisławy Szymborskiej, Jalu Kurka i Włodzimierza Słobodnika. Satyrę reprezentują wiersze Mariana Załuckiego i Bogdana Brzezińskiego. Dział krytyki daje przegląd sił młodej krytyki krakowskiej, Ludwik Flaszen drukuje pierwszą część większej rozprawy o zagadnieniach najnowszej literatury radzieckiej, Andrzej Kijowski pisze o „Trzech spotkaniach" Jerzego Korczaka, Zygmunt Greń — o „Księżycu nad Nidą" Kornela Filipowicza, a Henryk Vogler daje bogatą kronikę teatralną w postaci interesującej podróży teatralnej po Polsce pt. „W gościnie u klasyków". Film reprezentuje recenzja Jerzego Płażewskiego ze „Złodziei rowerów". Szczególnie interesujący jest dział krótkich informacji kulturalnych.

Pismo jest dwutygodnikiem i następny jego numer ukaże się 18 lutego br.

Zespół redakcyjny „Nowej Kultury" wita z radością ukazanie się nowego czasopisma, widząc w nim poważny przejaw ożywienia naszego życia literackiego. „Życiu Literackiemu" życzymy z całego serca powodzenia w jego pracy.

* * *

Z radością witamy również ukazanie się nowego dodatku kulturalnego wrocławskiej „Gazety Robotniczej", organu KW PZPR, który wychodzi pod nazwą „Sprawy i ludzie". Do jego współpracowników m. in. należą Jan Kott, Tadeusz Mikulski, Lucjan Socha, Zofia Łosakiewicz, Irena Bołtuć-Staszewska, inż. Michał Jasen, dr Sinko, Jerzy Ziomek. Redaktorem jest Tadeusz Lutogniewski.

* * *

Rozpoczynają się w Polsce obchody, mające na celu uczczenie czołowych przedstawicieli myśli postępowej w wieku reform i oświecenia w Polsce, jak Hugo Kołłątaj (200-setna rocznica urodzin), Stanisław Konarski (250-rocznica urodzin), Ignacy Krasicki (150 rocznica śmierci) i Stanisław Staszic (125 rocznica śmierci).

Zadaniem obchodów będzie upowszechnienie wśród najszerszych mas postępowych tradycji Polskiego Oświecenia i wyjaśnienie przyczynowego związku zachodzącego między dążeniami reformatorskimi XVIII w., a przemianami życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego, dokonywującymi się w Polsce Ludowej.

Opierając się na tych wytycznych przewiduje się: wydanie w najbliższym czasie antologii pism czołowych pisarzy tego okresu, poprzedzonych wstępem krytycznym. Projektuje się też wydanie materiałów źródłowych, dotyczących kołłątajowskiej reformy Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na wiosnę br. planuje się zorganizowanie specjalnej sesji naukowej, poświęconej Polskiemu Oświeceniu. W stadium przygotowania są prace nad wielką wystawą Polskiego Oświecenia.

Uroczystości zainaugurowała akademia ku czci Hugona Kołłątaja, która odbyła się w Państwowym Teatrze Polskim w Warszawie.

* * *

Przybył do Polski na zaproszenie Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki znakomity radziecki historyk sztuki A. A. Fiedorow-Dawydow, profesor historii sztuki rosyjskiej Uniwersytetu Moskiewskiego oraz profesor teorii historii sztuki Akademii Nauk Społecznych w Moskwie. Prof. Fiedorow-Dawydow zakończył na Uniwersytecie Warszawskim cykl wykładów, które wzbudziły wielkie zainteresowanie w kołach naukowych i artystycznych. Przedstawił w nich historię sztuki rosyjskiej XVIII i XIX wieku oraz początki realizmu socjalistycznego.

Na zakończenie wykładów odbyło się w sali Matejkowskiej Muzeum Narodowego spotkanie prof. Fiedorowa-Dawydowa z polskimi historykami sztuki i profesorami Akademii Sztuk Plastycznych. Uczony radziecki zapoznał zebranych z organizacją badań naukowych nad historią sztuki w ZSRR oraz odpowiadał na liczne stawiane mu pytania.

Z Warszawy prof. Fiedorow-Dawydow udał się do Krakowa, gdzie powtórzył swe wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim.

* * *

W uznaniu wielkich zasług dla rozwoju nauki, Wydział Matematyczno - Przyrodniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie nadał prof. Irenie Joliot-Curie dyplom doktora honoris causa.

Akt nadania honorowego doktoratu Irenie Joliot-Curie przez Uniwersytet Jagielloński jest wyrazem hołdu, jaki nauka polska składa uczonym za ich twórczy wkład w dzieło budowy pokoju, uczonym prześladowanym przez zaprzedany interesom imperialistów amerykańskich rząd Plevenów i Mochów.

Haniebna decyzja rządu francuskiego, wykluczająca prof. Irenę Joliot-Curie z Komitetu Energii Atomowej — w 8 miesięcy po usunięciu jej męża, prof. Fryderyka Joliot-Curie ze stanowiska Wysokiego Komisarza do Spraw Energii Atomowej — zmobilizowała cały świat miłujący pokój do wzmożonej walki w obronie wolności nauki.

* * *

Powstała z połączenia Akademii Sztuk Pięknych z Państw. Szkołą Sztuk Plastycznych — Akademia Sztuk Plastycznych w Warszawie przeżywa obecnie okres głębokich przeobrażeń. Wpłynął na to zarówno nowy skład socjalny studiującej młodzieży, wśród której na ogólną liczbę 650 studentów — 68 proc. stanowi młodzież pochodzenia robotniczo - chłopskiego, wpłynął fakt pozyskania przez Akademię własnej siedziby w Pałacu Raczyńskich oraz wprowadzenie nowych wydziałów jak wydział tkactwa i studio ceramiki. Przede wszystkim jednak na zmianę oblicza Akademii wywarł wpływ nowy program nauki, nowe metodyczno-ideologiczne zasady pedagogiki artystycznej oparte w dużym stopniu na wzorach radzieckich.

Akademia zrywa ostatecznie z pozostałościami formalizmu, pokutującymi dotychczas zarówno wśród uczniów jak i profesorów i kładzie ogromny nacisk na naukę rysunku, będącego elementarną podstawą pracy plastyka zdążającego do opanowania realistycznego warsztatu.

Wyrazem nowego stylu pracy ASP i jej nowych metod pedagogicznych jest otwarta w tych dniach w murach uczelni wystawa dyskusyjna prac studentów Akademii. Wystawa ta otwiera zainicjowaną przez aktyw młodzieżowy Akademii w porozumieniu z gronem profesorskim akcję stałych wystaw dyskusyjnych urządzanych co kilka miesięcy, a mających na celu wywołanie dyskusji na temat wykonania planu szkoleniowego. W każdej z tych wystaw, każdy ze studentów winien przedstawić jedną, nową pracę.

* * *

Na półkach księgarskich Moskwy ukazało się wiele utworów pisarzy i poetów polskich w przekładzie na język rosyjski. Wśród utworów tych znajduje się m. in. nowela Henryka Sienkiewicza „Za chlebem" oraz tom wierszy Juliana Tuwima.

* * *

Gmach przyszłego Teatru Wielkiego Opery i Baletu w Warszawie zajmie obszar o powierzchni 11.500 m kw. czyli przestrzeń większą od tej, jaką zajmuje Opera Paryska. Będzie on posiadać cztery fronty: od pl. Teatralnego, ul. Focha, pl. Zwycięstwa i ul. Wierzbowej.

Gmach utrzymany będzie w stylu neoklasycznym. Odbudowa gmachu, przy zachowaniu jego dawnego wyglądu, rozwiązana będzie w sposób nowoczesny. Widownia teatru pomieści ok. 2.000 osób. Obszerna scena o szerokości 30 i głębokości 25 m będzie wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia techniczne. W skrzydle gmachu, biegnącym od pl. Teatralnego do ul. Focha, będzie urządzone muzeum teatralne. Do chwili jego uruchomienia z lokalu korzystać będzie 12-letnia szkoła baletowa, która zostanie otwarta już jesienią rb. W gmachu teatru znajdą się liczne sale prób dla orkiestry, baletu, chóru, solistów, pracownie techniczne, warsztaty teatralne, pracownie dekoracji i kostiumów, magazyny na dekoracje itp.

Otwarcie Teatru Wielkiego przewidziane jest w sezonie teatralnym 1955/56.

Towarzystwo Wiedzy Powszechnej zorganizowało w Nowej Hucie występ satyryków Janusza Minkiewicza, Stefana Wiecheckiego (Wiech), Jana Brzechwy, Jerzego Jurandota, Wiesława Brudzińskiego i Antoniego Marianowicza. Pierwszy występ tego rodzaju, na którego program złożyły się wiersze, fraszki, humoreski oraz felietony odbył się na terenie przodującej 52 brygady ZMP. Satyrycy warszawscy wystąpili powtórnie w hotelu robotniczym w Czyżynach, gdzie obecnych było blisko 2 tysiące robotników i pracowników Nowej Huty.

* * *

W woj. łódzkim udostępniono ostatnio dla ludności wiejskiej ośrodki muzealne w Oporowie pow. kutnowskiego i w Walewicach pow. łowickiego. Siedzibą muzeum w Oporowie jest zameczek obronny z XV w., jeden z niewielu w Polsce obiektów zamkowych w stylu gotyckim. W 14 salach zameczku zgromadzono meble, cenną porcelanę i obrazy. W styczniu br. wzbogacił te zbiory brązowy odlew fragmentu znanej rzeźby Wacława Szymanowskiego „Pochód na Wawel", jak też cenny obraz jednego z malarzy włoskich szkoły weneckiej, znaleziony na poddaszu szkoły podstawowej w Krośniewicach. Muzeum w Oporowie cieszy się dużą popularnością na terenie sąsiednich powiatów.

Na ośrodek muzealny w Walewicach wybrano dawny pałac z r. 1784. Ośrodek wyposażony jest w piękne meble, pochodzące z epoki stanisławowskiej i zawiera szereg obrazów pędzla Lampiego, Smuglewicza, Pilattiego, i in. oraz liczne pamiątki, odnoszące się do epoki stanisławowskiej i Księstwa Warszawskiego. Niedawno muzeum walewickie otrzymało nowe eksponaty w postaci brązów i waz serwskich z pierwszych lat XIX stulecia.

* * *

Zespół teatralny klubu fabrycznego przy Domu Kultury huty „Zygmunt" wystawił sztukę robotnika-ślusarza Teodora Gajdy pt. „Obrotnica". Teodor Gajda jest racjonalizatorem w hucie „Zygmunt" i obecnie awansował na stanowisko referenta do usprawnień zakładu.

Tematem sztuki, która cieszy się dużym powodzeniem, są dzieje młodego robotnika racjonalizatora, zagadnienia dyscypliny pracy oraz walka o nową świadomość robotniczą.

* * *

Zmarł w Lublinie przeżywszy lat 68 prof. dr Henryk Raabe. Zmarły, w okresie 1945 — 46, był ambasadorem RP w Moskwie, posłem do Krajowej Rady Narodowej, a następnie do Sejmu Ustawodawczego RP. Prof. Henryk Raabe wykładał ostatnio proto - zoologię na Uniwersytecie Warszawskim.

* * *

W Czechosłowacji ukazały się liczne utwory poetyckie, mówiące o rozmachu socjalistycznej odbudowy powojennej Polski. W latach 1946 — 1950 powstało ich około 200. Z początkiem 1951 roku opublikowano np. na łamach prasy oraz w różnych broszurach okolicznościowych 9 nowych wierszy z tego cyklu. Są to: „Trasa W — Z" (Pavel Bojar), „Warszawa 1950" (Jan Pilarz), „Miasto kwiatów", „Prąd", „Warszawa — gwiazda żywa" (Frantisek Nechvatal), „Gościem w Warszawie" (Jan Kostra), „Śmierć Juliusza Słowackiego" (Vojtech Mihalik) oraz wiersz Arno Krausa pt. „Słyszałem pieśń polską".

* * *

Na scenie Teatru Polskiego im. Mickiewicza w Cieszynie wystawiona została komedia Jana Drdy pt. „Igraszki z diabłem", w wykonaniu zespołu „Divavdlo Tesinskeho Slezska".

* * *

Na łamach czasopisma radzieckiego „Woprosy Fiłosofii" ukazał się artykuł rewolucjonisty i myśliciela polskiego — Edwarda Dembowskiego pt. „Kilka myśli o eklektyźmie". Artykuł ten napisany przez Dembowskiego w roku 1843, wydrukowany został w poznańskim czasopiśmie „Rok" bez podpisu autora. Artykuł poprzedzony został przez redakcję czasopisma „Woprosy Fiłosofii" słowem wstępnym I. Narskiego.

* * *

W Domu Wojska Polskiego w Warszawie otwarta została wystawa prac, uczestników kursu dekoratorów klubów i świetlic. Uczestnikami kursu byli wyróżniający się zdolnościami podoficerowie i szeregowcy. Wśród eksponatów przeważają dekoracje, związane z okolicznościowymi rocznicami, hasła, plakaty, afisze, nie brak także płaskorzeźb a nawet i rzeźb. Zebrane na wystawie prace są dowodem nie tylko rzetelnej i owocnej pracy, ale ilustrują także szeroki wachlarz zainteresowań żołnierzy.

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

„Casanova" Różyckiego w Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu

W bieżącym roku odbywają się uroczystości jubileuszowe z okazji pięćdziesięciolecia pracy twórczej jednego z największych polskich kompozytorów współczesnych — **Ludomira Różyckiego.** Zbyteczne byłoby na tym miejscu przypominać osiągnięcia i zasługi artystyczne ostatniego żyjącego przedstawiciela „Wielkiej Trójki" muzyki polskiej początków obecnego stulecia: Karłowicz—Szymanowski—Różycki. Zbyteczne — gdyż pozycja tego świetnego symfonisty, tego przede wszystkim — najwybitniejszego od czasów Moniuszki polskiego twórcy operowego jest dostatecznie znana i ustalona. Twórczość Różyckiego w dwudziestoleciu międzywojennym trochę niedoceniana, często bardziej uznawana za granicą niż w kraju — obecnie, w dobie wyraźnego renesansu opery w Polsce znajduje coraz większe zrozumienie wśród szerokich rzesz nowych odbiorców kultury.

Uroczystości jubileuszowe, które odbędą się kolejno we wszystkich ważniejszych ośrodkach kulturalnych (w Warszawie nastąpią one w lutym w połączeniu z premierą baletu „Pan Twardowski"), rozpoczął Śląsk. Katowice — miasto, gdzie kompozytor przebywa od czasu wyzwolenia i gdzie znalazł sprzyjające warunki twórczej pracy, zorganizowało uroczysty koncert jubileuszowy, poświęcony wyłącznie dziełom Różyckiego. Znalazło się wśród nich także i najnowsze dzieło mistrza: poemat symfoniczny „Warszawa Wyzwolona". Niemal jednocześnie Państwowa Opera Śląska w Bytomiu wystąpiła z premierą opery komicznej Różyckiego: „Casanova".

Czy słuszne było wybranie na tak uroczystą okazję tego właśnie dzieła jubilata?

Fakt, że dzieło to leży niejako na marginesie wielkiej twórczości operowej Różyckiego w żadnym stopniu nie zmniejsza jego wartości. Założeniem kompozytora było stworzenie opery komicznej, powiedziałbym więcej: stworzenie widowiska lekkiego, prostego, całkowicie przystępnego, a jednocześnie dysponującego wysokimi walorami artystycznymi. Jeśli spojrzymy na „Casanovę" z tego punktu widzenia, stwierdzimy, że założenie to zostało zrealizowane znakomicie i że zastrzeżenia niektórych przedwojennych krytyków wynikały przede wszystkim z przykładania niewłaściwej miary: tej samej do „Casanovy" co powiedzmy, do „Erosa i Psyche".

Podstawą tak pojętej koncepcji musiała być oczywiście jak najdalej idąca prostota. Prosta jest więc akcja sceniczna libretta (napisanego obecnie na nowo przez **Zbigniewa Lipczyńskiego** według dawnego libretta **Juliana Krzewińskiego**), prosto — z pominięciem koloraturowej ornamentacji — podany jest w śpiewie tekst słowny, w ten sposób mianowicie, że każda sylaba przypada na oddzielny dźwięk (notabene, dzięki tym cechom jest to jedna z nielicznych oper, których tekst i przebieg akcji można z łatwością zrozumieć nie sięgając do drukowanego streszczenia libretta). Prosta jest wreszcie sama muzyka „Casanovy". Śpiewna, płynna, szczera, łatwo wpadająca w ucho melodyka nie pozwala się nawet domyślać dużych niekiedy trudności technicznych, jakie zawierają partie wokalne. Można się krzywić lekceważąco na operetkowość popularnego „walca Caton", jak to czynili snobistyczni melomani przedwojenni, ale trzeba przyznać tej melodii wyjątkową wprost siłę i komunikatywność, której pozazdrościć by mogli nasi aktualni twórcy pieśni masowych. Można zarzucać muzyce „Casanovy" pewną eklektyczność, ale nie sposób jej odmówić ogromnego wdzięku, świeżości i lekkości. Do tak charakterystycznej dla Różyckiego plastyki w szkicowaniu dźwiękami sytuacji i obrazów dołączył się tu cały szereg kapitalnych pomysłów pełnych muzycznego dowcipu (np. „fałszywy" marsz przy ceremonialnej zmianie warty w pałacu weneckiego prefekta policji). Dodajmy do tego niezwykłe mistrzostwo samej „roboty", mistrzostwo w wykorzystaniu wszelkich efektów brzmieniowych orkiestry, a dojdziemy do wniosku, że „Casanova" wypełnia dużą lukę w naszym repertuarze i jest widowiskiem, które ma zapewnione powodzenie na długie lata.

Reżyseria **Bolesława Fotygo-Folańskiego**, i inscenizacja **Zdzisława Hierowskiego** (przy współudziale **K. Białka** i **R. Śniadego**) poszła po linii wiernego wydobycia stylu epoki i podkreślenia tego, co w widowisku jest barwne i ruchliwe. Inscenizatorzy wprowadzili wiele słusznych i dobrze pomyślanych zmian, reżyser — kilka trafnych pomysłów. Dzięki temu przedstawienie ma tempo i werwę, a nieskomplikowana akcja interesuje i bawi.

foto Br. Stapiński

Opera L. Różyckiego „Casanova" w Państwowej Operze Śląs[illegible] Akt II Binetti — Jadwiga Lachetówna, Casanova — Zbigniew [illegible]

Stronę wizualną widowiska p[illegible] szą dekoracje i kostiumy **K[illegible] Gajewskiego** oraz wstawki b[illegible] we układu **Jerzego Kapliński[illegible]** (zwłaszcza tańce solowe **Olgi [illegible]wickiej, Urszuli Tkoczówny,** [illegible] balet w III akcie).

Stronę muzyczną przygo[illegible] nadzwyczaj starannie kapel[illegible] **Jerzy Sillich.** Potrafił on utrz[illegible] właściwą równowagę brzm[illegible] wą pomiędzy orkiestrą a śp[illegible] kami. Chóry przygotował [illegible] **Zbigniew Lipczyński.**

Jeśli chodzi o wykonanie [illegible] czególnych postaci scenicznych [illegible] żemy tu śmiało złożyć wyraz[illegible] nania całemu zespołowi, a re[illegible] rowi Folańskiemu za rezultaty [illegible] cy nad postawieniem gry [illegible] skiej. Okazuje się przy tym, ż[illegible] śpiewaków operowych pożyt[illegible] jest zejść od czasu do czasu [illegible] turnów i rozruszać się troch[illegible] przedstawieniu lżejszego typu. [illegible] się w takiej okazji lekkości [illegible] wości gry, której na ogół śp[illegible] kom brak. Na przykład [illegible] obdarzony pięknym głosem [illegible] nawca roli tytułowej **Zbi[illegible] Platt** zdumiewa postępami, [illegible] poczynił ostatnio. Jego Cas[illegible] jest ciepły, lekki, dowcipny, [illegible] skuje sympatię publiczności, [illegible] swych „bezeceństw". Bardzo [illegible] bry aktorsko i głosowo jest A[illegible] **Majak,** jako prefekt weneckie[illegible] licji. Doskonały epizod st[illegible] **Stefan Witenberg** w roli kam[illegible] nera. Z kobiet wyróżnić [illegible] **Natalię Stokowacką** (Caton), [illegible] śpiewaczkę o prześlicznym [illegible] i dobrych warunkach scenic[illegible] Dobra w roli śpiewaczki B[illegible] była **Jadwiga Lachetówna.** [illegible] **Kunińska** miała tym razem n[illegible] wielkie pole do popisu, jed[illegible] z trudnej i trochę niewdzię[illegible] roli Zelmy wywiązała się n[illegible] cie. Inni wykonawcy — ja[illegible] wspomnieliśmy — również n[illegible] brym poziomie.

Wawrzyniec Żuław[illegible]

O wychowaniu komunistycznym

(Dokończenie ze str. 2)

munizm? Oznacza to: produkuj jak najwięcej i o ile możności jak najlepiej".

U nas w Polsce konkretne zadania wychowawcze muszą być najmocniej powiązane z walką o budowę podstaw socjalizmu w naszym kraju. To są przecież zadania moralne, wyznaczające treść socjalistycznego wychowania i właśnie myśl Kalinina wyraża prezydent Bierut, gdy w orędziu noworocznym mówi: „...musimy jeszcze mocniej zjednoczyć swą wolę, rozwinąć inicjatywę twórczą, wzmóc i pogłębić współzawodnictwo socjalistyczne, budzić zapał i ofiarność wśród współtowarzyszy pracy. Walczmy z wszelkimi przejawami marnotrawstwa i nieposzanowania naszego społecznego majątku narodowego, którego powinniśmy wspólnie strzec i pomnażać. Gospodarujmy oszczędnie, przestrzegając tych zasad jako najwyższego nakazu moralnego i obowiązku wobec ojczyzny".

KALININ A MŁODZIEŻ

Szczególną uwagę poświęca Kalinin młodzieży. Młodzież to największe bogactwo kraju. Jej wrażliwość, ideowość, szczerość i prostota — to właśnie najodpowiedniejsza gleba dla wyhodowania nowego człowieka. Nie wolno tłumić tych pięknych cech młodzieży, należy je natomiast rozwijać. Młodzież winna wyrastać wszechstronnie rozwinięta fizycznie i umysłowo. Najważniejszą rzeczą w wychowaniu — przypomina Kalinin — jest zaszczepienie młodzieży takich cech, jak patriotyzm i miłość do mas pracujących, uczciwość, odwaga, solidarność koleżeńska i umiłowanie pracy. Chociaż słowa te dźwięczą podobnie jak w podręcznikach liberalnej pedagogiki burżuazyjnej, znaczą one u Kalinina zupełnie co innego, ich treść — to treść socjalistyczna. Np. solidarność koleżeńska jest dla Kalinina pojęciem klasowym, jest to „jedna z najbardziej socjalistycznych cech: jest ona niezbędna wszędzie, zwłaszcza w walce klasowej", jest ona „wspaniałym uzupełnieniem socjalistycznego współzawodnictwa". Solidarność koleżeńska w kodeksach pedagogiki burżuazyjnej to weksel bez pokrycia, to faryzeuszowski frazes. Dopiero wychowanie komunistyczne przywraca pojęciu solidarność jej istotny klasowy sens, bo tylko ono wprowadza je w czyn.

Młodzież radziecka widzi w Kalininie swego wielkiego przyjaciela i nauczyciela. Zaufanie i miłość zdobył sobie właśnie wiarą w młodzież i w jej twórcze możliwości, ale stawia przed nią wielkie zadania. „Co może bardziej porywać młodzież — mówi Kalinin — niż bezgraniczna i ofiarna walka w imię ostatecznego zwycięstwa komunizmu na całym świecie, pod przewodem towarzysza Stalina".

Przemawiając do uczniów wyższych klas szkół średnich leninowskiej dzielnicy miasta Moskwy Kalinin nawoływał słuchaczy do wielkiej, ideowej walki o tryumf komunizmu. „Cóż z was za ludzie radzieccy — pyta — jeśli nie snujecie rojeń o wielkim życiu, jeśli każdy z was nie zamyśla poruszyć gór czy też odwrócić kuli ziemskiej przy pomocy dźwigni Archimedesa?"

W słowach: „Wielkie Życie" nie rozumie tylko jakichś nadzwyczajnych, niezwykłych osiągnięć. Uczy młodzież widzieć „wielkie [illegible] w skrupulatnym wywiązywani[illegible] z obowiązków, pokazuje jej [illegible] terstwo codziennej, na pozór [illegible] hej pracy. Uczciwy stosunek [illegible] pracy jest służbą dziełu Leni[illegible] Stalina, dziełu honoru, m[illegible] i chwały".

Doniosłą rolę w wychowaniu [illegible] munistycznym odgrywa przys[illegible] nie sobie teorii i metody mar[illegible] mu - leninizmu. Kalinin wyp[illegible] da na ten temat wiele godnych [illegible] głębszej uwagi myśli: „Żeby [illegible] marksistą, — stwierdza Kalin[illegible] należy teorię przepoić [illegible] związać powszednią pracę z [illegible] być marksitą — to znaczy [illegible] twórcą". Uwypuklając twórczy [illegible] krywczy charakter marksizmu, [illegible] linin wyśmiewa szkolarskie, [illegible] matyczne wykuwanie marks[illegible] na pamięć. Wykłady marks[illegible] leninizmu winny „zakwitać" [illegible] piękniejszymi kwiatami, [illegible] tylko człowiek może je przy[illegible] Nie zapominajcie, że młodzież [illegible] piękno. A... cóż może być ba[illegible] pięknego niż idee marksizmu-[illegible] nizmu, idee bezgranicznej two[illegible] ści?"

Bo Kalinin na zawsze pozos[illegible] źródłem twórczych natchnień [illegible] wychowawców i przywódców [illegible] dzieżowych. Jego mądre [illegible] wcielą się w piękne, harmo[illegible] twórcze życie ludzi epoki kom[illegible] mu.

W przekładzie książki Kal[illegible] rażą liczne usterki stylistyczne, [illegible] wet błędy gramatyczne. „[illegible] Księgarnia" powinna była [illegible] się na lepiej wykwalifikowa[illegible] adiustatorów i poświęcić wi[illegible] uwagę tekstowi.

Marek Fritzh[illegible]

KORESPONDENCJA

BIBLIOTEKARZ OŚWIATOWY PROSI O GŁOS

Od roku prawie pełnię obowiązki bibliotekarza oświatowego z ramienia poważnej instytucji na fabrycznym przedmieściu Poznania, gdzie czytelnikami są w 80 proc. robotnicy. To stanowisko legitymuje mnie do przedstawienia szerokiemu ogółowi i czynnikom interesującym się sprawę propagandy czytelnictwa, naszych bolączek i braków. Bo braki są duże, a dotyczą głównie książek. Cierpimy dotkliwie na brak odpowiedniej lektury. Może się to wydać śmieszne! Dziś, wobec tak szybko wzmagającej się akcji wydawniczej, wobec lawiny książek wypadających spod maszyn drukarskich — mówić jeszcze o brakach! A jednak, ciągle chodzę zatroskana wśród półek bibliotecznych i przemyśliwam, co by tu odpowiedniego znalazło się dla czytelnika cierpliwie czekającego za ladą, ale mającego swoje zdecydowane gusta i pragnienia i nie znajduję, albo znajduję za mało, aby każdego zaspokoić.

A obowiązkiem naszym jest czytelników werbować, czytelnictwo szerzyć. Wiadomym zaś jest (zgodzi się ze mną każdy bibliotekarz oświatowy), że najlepszą propagandą czytelnictwa jest s a m a k s i ą ż k a: dobra książka, właściwa w danej chwili książka. Jeśli kolega powie koledze: „Te, Felek, słuchaj, przeczytaj to, fajne, mówię ci!" to Felek do biblioteki sypie i książki żąda. Jeśli ją mam i podać mogę — już zwerbowałam nowego czytelnika. Wiadomo także, że żadne wpychanie książki do ręki, namawianie z góry, akcje plakatowe i odczytowe nie odniosą tego skutku, co samorzutnie rodząca się potrzeba i zasmakowanie w pierwszych lekturach.

Zanim przejdę do omówienia konkretnych faktów, chcę podzielić się jeszcze z czytelnikami „Nowej Kultury" pewnymi ogólnymi obserwacjami o psychice czytelnika-robotnika, zebranymi w ciągu roku pracy. Może są one tylko lokalne, może nie są dogłębne, ale do pewnego stopnia rzucić mogą światło na ważne zagadnienie i pobudzić do dalszego jego badania. Otóż zgodzimy się chyba wszyscy, że masa robotnicza jako całość daje typ czytelnika młodego, początkującego. (O wybijających się nad poziom oczytaniem zdumiewającym i wyrobieniem jednostkach — z którymi spotykam się także — mówić nie będę). Regułą zaś psychologiczną jest, że młodość jest epoką romantyzmu, silnego działania wyobraźni i uczucia, kultu bohaterów, a także epoką liryki, tęsknoty za miłością lub jej apoteozowania. Taką epokę właśnie przeżywa nasz robotnik — młody czytelnik. Potrzebuje książki, która zaspakajałaby głód wyobraźni, a więc historię wielkiej przygody i głód serca, a więc książki ciepłej, tętniącej prawdziwie ludzkim uczuciem, a choćby się nawet przy niej popłakał. I naiwność go nie razi. Jest świeży, bezpośredni. Z drugiej strony jako pracownik fizyczny, obracający się jak najbardziej wśród realiów życiowych, przekuwający co dzień namacalną materię i znający twardy byt — jest realistą. Nie lubi więc książek zbyt fantastycznych, które tracą zupełnie kontakt z życiem. Przygoda, awantura, niesamowitość, groza — wszystko — tak, ale wszystko musi mieć posmak prawdopodobieństwa. Musi bodaj jakimiś nićmi wiązać się z realną, ziemską możliwością. Zrozumiałym jest więc również, że dla czytelnika-robotnika w obecnym stadium rozwoju zupełnie marną dziedziną są książki satyryczne w rodzaju Gargantua i Pantagruel, Don Kichot, Klub Pickwicka itp. i o przewadze czystego intelektu w rodzaju dzieł Anatola France. Po co to u mnie na półkach!

Drugą, bardzo znamienną cechą psychiki czytelnika - robotnika, resztą tym razem ogólną wszystkim, ale występującą u niego żywiołowo i niezwichniętą żadnymi względami mody, opinii, wychowania lub wykształcenia, a cechą, z którą liczyć się musi każdy tekto do robotnika chce trafić — jest tęsknota od codzienności, tęsknota za czymś rzadkim. Nie wszystko rzadkie jest piękne, ale piękno odczuwane indywidualnie — musi być rzadkie. Choćby praca robotnika sama w sobie była najpiękniejsza, i piękna może być tylko wtedy, gdy daje pole do rozwinięcia jakiejś inicjatywy twórczej i choćby to nie wiem jak zadawalała na co dzień i pochłaniała, tym bardziej potrzebuje od niej oderwać się od czasu do czasu, wychylić głowę poza jej krąg i zaczerpnąć powietrza innej płaszczyźnie. Szuka wówczas, dla odprężenia, dla rozrywki, dla nacieszenia się rzadkim pięknem, czegoś najbardziej oddalonego od własnego życia i pracy. Stąd niesłychana popularność egzotyki i to egzotyki w ogólnym słowa znaczeniu: podróże i kraje dalekie, a także egzotyki pojętej indywidualnie (tzn. co dla każdego egzotykę stanowi) więc i egzotyki środowiska. W danym wypadku może to być nawet środowisko dawnych burżujów-bogaczy, szlacheckiego domu, pałacu, salonu, lub królewskiego dworu z pompą i ceremoniałem (patrz poczytność książek w rodzaju „Trędowatej" Mniszkówny).

Oczywiście uprościłam całe zagadnienie streściwszy je w kilku słowach, jest ono bardzo złożone i ciekawe, a po dogłębnym zbadaniu mogłoby przynieść wiele pozytywnych korzyści socrealistycznym postulatom sztuki. Moim zadaniem jest sygnalizowanie tylko pewnych piekących potrzeb ze swojej bardzo skromnej placówki w dołach, w najdalszej komórce sieci czytelniczej.

Przechodzę więc do konkretnych przykładów, na podstawie których zebrałem tych kilka wyżej wypowiedzianych uwag. A więc co czytają robotnicy z polskiej beletrystyki? — Przeważnie pisarzy dawnych. Łatwy tok opowieści, język gładki i żywy nurt akcji — oto zasadnicze i konieczne cechy autorów popularnych. Górą więc wielcy narratorzy z Sienkiewiczem na czele! Kraszewski przeżywa wspaniały okres renesansu, trafił w porę, w pełną epokę naszej młodości, jego „Stara Baśń", „Chata za wsią", „Ostap Bondarczuk", „Jaryna", „Królewscy synowie" mają duże powodzenie, potem wśród mężczyzn cieszą się dobrą sławą Sieroszewski, Gąsiorowski, Łoziński (Oko proroka), wśród kobiet Orzeszkowa, na trzecim miejscu dopiero idzie Prus, Reymont, Żeromski (najpopularniejsze „Dzieje Grzechu"). Tych ostatnich czytają już bardziej wyrobieni czytelnicy. Jeż małe ma powodzenie, trudno go spopularyzować, nie wiem po co go tak wznawiają. Może oddalona tematyka bałkańska nie pociąga.

Współcześni pisarze — nie gniewajcie się na mnie, że Wam powiem bez ogródek — nie biorą. Albo forma skrótów, metafor, przerzucania niechronologicznie akcji — jest niezrozumiała i trudna, albo tematyka nie pociąga, albo temperatura jest za chłodna. Czuć sztuczność, wymuszenie. Żaden z odznaczonych w roku zeszłym pisarzy nie znalazł drogi do serca robotników. Tylko jeden może Lucjan Rudnicki w „Starym i Nowym" umie soczyście i gorąco przemówić do swoich dawnych towarzyszy. Opowiadania o partyzantce i wojenne mają swoich amatorów — tylko takich pozycji polskich mamy bardzo mało.

Z obcych autorów niepodzielny prymat trzyma Dumas: „Trzej Muszkieterowie" i „Hrabia Monte Christo" są nieśmiertelni! Biją wszystkie rekordy. Staszek Rudnicki, gimnazjalista ma do mnie pretensje: „Czemu inni nie piszą jak Dumas?" Co ja na to poradzę! Może Dumas wtedy przestałby cieszyć. Narazie Dumasowi nikt nie dorówna, ale mamy jeszcze innych ulubieńców publiczności, więc: London, Curwood (przygoda, podróż), Gallet („Kapitan Czart"), Yokay, Walter Scott, Stendhal („Pustelnia Parmeńska", spopularyzowana filmem), V. Hugo. Historia, bohaterstwo. Kobiety przepadają za Knittel, Mazo de la Roche („Rodzina Whiteoaków"), Pearl Buck („Spowiedź Chinki"). W rosyjskiej literaturze powodzenie ma przede wszystkim bohaterstwo wojenne i powieści lotnicze: Kawerina „Dwaj kapitanowie", Polewoja. „Opowieść o prawdziwym człowieku", Iwicza „Nad Czarnym Morzem", A. Tołstoja „Chleb", Bubiennowa, Niekrasowa a także piękne klasyczne powieści dawnych autorów np.: Puszkina: „Opowiadania", Turgeniewa: „Szlacheckie gniazdo", Lermontowa: „Bohater naszych czasów". Żadnej większej pozycji. Lwa Tołstoja dotychczas nie było jeszcze w naszej bibliotece.

To są ci autorowie, którzy idą najbardziej. Inni wymagają poparcia z naszej strony, a w końcu są i tacy, którzy jeszcze nie ruszyli się z półek od czasu otwarcia biblioteki. Chodzi więc o to: książek mamy dużo, półki są zapełnione, ale książek odpowiednich dla naszego czytelnika w obecnym stadium jego rozwoju i potrzebnych dla propagandy samego czytelnictwa (przez które potem dopiero ideowe ugruntowanie i uświadamianie sączyć się będzie) za mało, o wiele za mało. Podaję to do wiadomości i wołam wraz z naszymi czytelnikami, którzy wciąż niespełniane dezyderaty wpisują mi do księgi życzeń: Prosimy o wznawianie pozycji dawnych, **interesujących**, w myśl wyżej wymienionych potrzeb, **prosimy** autorów o pisanie książek takich, które by się nam podobały, **żywych, barwnych i z sercem.**

Poza beletrystyką mamy jeszcze drugi dział lektury popularnonaukowej. I z tym jeszcze więcej kłopotu. Jesteśmy tą lekturą zawaleni. Stanowi ona w księgozbiorze 55 procent! Mamy obowiązek rozpowszechniać ją jak najbardziej. Zrozumiałe. Chodzi o wyrobienie świadomości polityczno - społecznej i wiedzy fachowej. Robimy w tym kierunku co możemy, ale znowu nasze władze nadrzędne — Ministerstwo Oświaty — nie liczy się z potrzebami i wymogami terenu. Otrzymujemy w podwójnych i potrójnych egzemplarzach książki, które na naszych placówkach nie mogą mieć czytelników. Piękna książeczka: „Krowa pyskiem doi" o tak zachęcającym tytule może być bardzo interesująca dla terenu wiejskiego, ale na przedmieściu fabrycznym, gdzie najwyżej spotkać można kozę — jest zbyteczną, tak samo wiadomości o traktorach, uprawie buraka cukrowego, o leśnictwie, miernictwie itp. Zabiera to tylko miejsce, a kosztami oprawy wypełnia budżet, który lepiej by było zużytkować na oprawę innych książek.

Z wdzięcznością przyjmujemy wszystkie popularne książeczki z dziedziny techniki, mechaniki i praktycznego rzemiosła, mamy ich sporo i są one w wielkim ruchu. Natomiast braki mamy w dziedzinie popularyzacji sztuki, kultury, sportu, a także w dziedzinie zainteresowań kobiecych, więc z zagadnień: pedagogicznych, hygienicznych, fizjologicznych (zwłaszcza kobiecych), podstawowych medycznych, kroju, robót ręcznych itp.

W lekturę marksistowsko - leninowską jesteśmy dobrze zaopatrzeni, nawet na wyrost, do poważnych bowiem dzieł zbiorowych jeszcze nie dorośliśmy. Jest ona stopniowo coraz bardziej czytana. Robotnik chce się dokształcać w tej dziedzinie, chce być świadomym obywatelem, ale i tu potrzebuje książki przystępnej, zwięzłej, jasnej, albo wprowadzającej go w świat pojęć socjalistycznych drogą przykładową.

Najwięcej brakuje nam książki **pośredniej** między powieścią a literaturą naukową, którą to książką można na obecnym etapie rozwoju werbować czytelnika do poważniejszej lektury — uczyć — bawiąc. Myślę tu o powieści biograficznej, o tym najłatwiejszym popularyzowaniu wielkich ludzi, ich dzieł i życia. Mamy z tego zakresu: życiorysy Lenina, Stalina, Pawłowa, Curie - Skłodowskiej, ale to jeszcze za mało, o wiele za mało.

A cóż dopiero powiedzieć o podróży! Przecie my nie mamy żadnych książek podróżniczych! Z Fiedlera i Centkiewicza, rozrywanych między czytelnikami, niedługo tylko strzępy zbierać będę. A gdzież są wszyscy nasi wielcy podróżnicy przedwojenni? Czy żaden z nich nie zasługuje na wskrzeszenie? A rosyjskich nie ma? A innych, obcych? Wyprawy na biegun, zdobywanie Mont Ewerestu i szczytów alpejskich, podróże Magellana, Cooka, historie o Murzynach, Zulusach, polowania na słonie, tygrysy, przygody w dżunglach, gdzież to się wszystko podziało? Czy nic z tego wznowić już nie można ku radości i pożytkowi nowego, młodego czytelnika, o którego walczymy? Potrzebujemy książek żywych, barwnych jako lektury przejściowej między czystą powieścią a popularno - naukową, która poda wiedzę w formie rozrywkowej, aby przejść potem do dalszego etapu rozwoju, mianowicie z upodobań o przewadze romantyzmu w dojrzały i pełny realizm socjalistyczny. Bo jeszcze na końcu tych krótkich uwag podkreślić trzeba, że na nic nie zda się wpychać w rękę czytelnikowi książkę, która mu się nie podoba i której czytać nie chce. Odda ją po pewnym czasie nieprzeczytaną. Więc trafić do czytelnika teraz, gdy do nas się garnie, trafić odpowiednią lekturą i umieć go zatrzymać — to jest nasze pierwsze zadanie, jeśli chodzi o dziedzinę masowego czytelnictwa w wielkim okresie Planu 6-letniego.

Ostatnią bolączką, którą chcę w tym miejscu zasygnalizować jest brak zwięzłych recenzji, wystarczających na użytek szerokiej publiczności, a przede wszystkim nas, bibliotekarzy oświatowych Trzeba zrozumieć. Nowy czytelnik nie zawsze umie korzystać z katalogu, nie zna autorów, kieruje się tytułami, jakże zwodniczymi w wielu wypadkach! Doznaje raz po raz zawodu i po tym oczekuje już raczej pomocy od nas. Autorytet nasz wobec niego jest olbrzymi. Z pełnym zaufaniem oczekuje od nas książki dobrej, ładnej. Jeśli mu damy odpowiednią, jeśli trafimy celnie w chwilową jego potrzebę, czy stan psychiczny — będzie nam nadal wierzył. Jeśli się zawiedzie i na nas — straci zaufanie i trudno go będzie przekonać potem do czegoś, co by mu się chciało polecić. Ale bibliotekarz nie może znać wszystkich książek w bibliotece. Trzeba mu koniecznie pomocy w postaci stałych periodycznie wydawanych i docierających do niego recenzji z beletrystyki, bo o nią głównie chodzi. A takiego wydawnictwa nie ma. „Nowe książki" nie spełniają nawet w 10 części tego zadania. Recenzje w czasopismach literackich są rzadkie, są może wyczerpujące i cenne, ale za obszerne i fachowe na użytek masy bibliotekarzy oświatowych, z których przeważna część wykształceniem stoi jeszcze na niedostatecznym stopniu. Potrzeba nam recenzji ze **wszystkich** wydawanych pozycji beletrystycznych, dających jasny i krótki obraz: treści, poruszanego zagadnienia, wartości ideologicznej, formy, oraz wskazówki na jaki poziom czytelnika książka się nadaje: czy dla młodzieży, czy dorosłych, czy łatwa, czy trudna itp.

Pożądane także i bardzo mile widziane są bodaj najkrótsze notatki o autorze, poprzedzające jego dzieło, a to dla spopularyzowania autorów i zapoznania z nimi czytelników.

Aniela Łączyńska
Poznań

O WSTĘPY DO WYDAŃ KLASYKÓW

Przeczytałem niedawno Sałtykowa - Szczedrina „Kukły i ludzie" w wydaniu „Książki i Wiedzy" i przeczytawszy tę książkę, nie wiem: 1) kto to był Sałtykow-Szczedrin, 2) co oznacza szereg jego przenośni, 3) jaki cel mają niektóre jego opowiadania.

A te nikłe wiadomości jakie na ten temat posiadam pochodzą jedynie z domysłu. Nie wątpię, że nie jestem samotny w swym niezrozumieniu. Aby zrozumieć wiele utworów Sałtykowa - Szczedrina trzeba zaznajomić się z epoką, w której on tworzył, trzeba zorientować się choć trochę w ludowych źródłach jego twórczości (domyślam się, że tak należy traktować niektóre jego utwory). Innymi słowy potrzebny jest popularny wstęp Trzeba zaznaczyć, że książka ukazała się w dużym nakładzie — a więc wydawnictwo liczy na masowego czytelnika. Mam wrażenie, że tego rodzaju metody wydawania niewiele dobrego przyniosą.

J. Tomaszewski
W-wa 32, ul. Mickiewicza 34 m. 96

O KOLUMNIE LITERACKIEJ „SZTANDARU MŁODYCH"

W numerze 5(45) „Nowej Kultury" ukazał się obszerny, ciekawy i potrzebny artykuł K. Wojciechowskiego o wkładkach literackich i oświatowych do dzienników i tygodników ukazujących się w naszym kraju.

Od tego rodzaju pracy wymagać należy sumienności i dokładności, a nade wszystko skrupulatnego zapoznania się z faktycznym materiałem. Ob. Wojciechowski niestety nie uczynił tego w odniesieniu do organu Zarządu Głównego ZMP — dziennika „Sztandaru Młodych". W artykule pominięto zupełnie kolumnę literacką, która co tydzień ukazuje się w „Sztandarze Młodych", a co gorsza podano niezgodną z faktami wiadomość jakoby „Sztandar Młodych" nie publikował materiałów oświatowych i popularno-naukowych.

W rzeczywistości zaś dwukrotnie w miesiącu prawie cała kolumna poświęcona jest sprawom nauki. Rzeczą ob. Wojciechowskiego było zanotowanie tego faktu i słuszne ocenienie tego materiału, który zresztą dość często nie jest na dostatecznie dobrym poziomie.

Jeżeli chodzi o kolumnę literacką „Sztandaru Młodych", która co prawda nie posiada stałego tytułu, to pragnę tu zwrócić uwagę na autorów i prace na tej kolumnie publikowane.

Na kolumnie literackiej w „Sztandarze Młodych" drukowali swoje utwory poetyckie (po raz pierwszy): Władysław Broniewski — „Nasz maj", Leon Pasternak — „Skrzydła sztandarów", Wiktor Woroszylski — „Świt nad Nową Hutą", oraz Andrzej Braun, Arnold Słucki, Adam Włodek, Jerzy Miller, Roman Bratny, Tadeusz Urgacz. Ponadto swoje prace opublikowali tu młodzi, debiutujący poeci, których utwory później były publikowane w „Nowej Kulturze", Henryk Gaworski, Ryszard Kapuściński, Andrzej Mandalian, Kazimierz Koszutski, Andrzej Makutynowicz, Tadeusz Gisges, Edward Hołda i Leszek Witczak.

Ponadto w „Sztandarze Młodych" łącznie z wymienionymi uprzednio poetami zadebiutowało ogółem blisko 25 młodych, początkujących poetów. Wszystkie ich prace zostały opublikowane na kolumnie literackiej. Trzy kolumny zostały poświęcone specjalnie debiutom. Natych kolumnach znalazł się specjalnie napisany dla „Sztandaru Młodych" artykuł A. Surkowa o młodych kadrach w literaturze ZSRR oraz próby prozy Leona Kowalskiego, Z. Możdżenia, C. Herdegrena i innych.

Na kolumnie literackiej „Sztandaru Młodych" drukowano prozę Tadeusza Borowskiego, Jerzego Piórkowskiego i Tadeusza Konwickiego.

Na kolumnie literackiej publikowali swoje recenzje i prace publicystyczne: Wanda Leopoldowa, Andrzej Braun, Witold Zalewski, Hieronim Michalski, Tadeusz Drewnowski, Krzysztof Gruszczyński i inni.

Na kolumnie literackiej ogółem opublikowano kilkanaście przekładów (po raz pierwszy drukowanych) z poezji ZSRR w tłumaczeniach Anatola Sterna, Roberta Stillera, Jerzego Litwiniuka, Leopolda Lewina i innych.

Z braku miejsca nie będę wymieniał drobniejszych pozycji, ani omawiał dość obszernego materiału, dotyczącego kultury i literatury a publikowanego poza kolumną literacką. Wspomnę tylko o czterech akcjach organizowanych przez pismo, jak: wyjazd literatów na letnie obozy zetempowskie, akcję walki o młodzieżowe kina i teatry, akcję walki o pieśń masową i obecnie toczącą się dyskusję nad scenariuszem „Załoga" Rojewskiego, w której zabierali głos m. in.: Zbigniew Pitera, Jerzy Płażewski, Jerzy Piórkowski i K. T. Toeplitz.

Jeśli chodzi o materiał korespondencki, to zamieszczono przeszło 60 korespondencji od czytelników omawiających różne zagadnienia kulturalne, nie licząc kilkuset wypowiedzi nadesłanych na Konkurs Literacki pt.: „Czy powieść „Dobre miasto" kończy się szczęśliwie?" (powieść ta była drukowana w „Sztandarze Młodych" w odcinku)

Tyle fakty, fakty dotyczące tylko własnego materiału „Sztandaru Młodych", nieprzedrukowywanego. Ocena tych faktów i ocena pracy redakcji należała do autora artykułu wspomnianego na wstępie mojego listu. Niestety, oceny tej w artykule ani czytelnicy „Nowej Kultury", ani przeszło pół miliona czytelników „Sztandaru Młodych" — nie znaleźli.

Grzegorz Lasota

„ZWIERCIADŁO" NIE JEST „TAKIE NAJGORSZE"

W Nr 5 (45) „Nowej Kultury" z dnia 4 lutego br. na str. 3 znalazłam artykuł Kazimierza Wojciechowskiego pt. „Nauka, kultura i sztuka w dodatkach do gazet", gdzie autor opisuje dodatki do gazet, wychodzące w r. 1950.

Autor informuje, iż „Koszalin korzysta z regionalnej prasy szczecińskiej, Zielona Góra z poznańskiej, Opole z katowickiej". (Str. 3, druga szpalta, śródtytuł: „Sieć dodatków pokrywa Polskę").

Maleńkie sprostowanie. Opole korzysta też z prasy wrocławskiej, ze specjalnej, terenowej mutacji „Słowa Polskiego", która to mutacja wychodziła również i w roku 1950.

Na str. 4, pierwsza szpalta, autor pisze: „podobnie umieszcza informacje regionalne „Zwierciadło" wrocławskie, głównie w postaci reportaży". Dla czytelnika może być rzeczą niejasną, czy „Zwierciadło" jest gazetą czy dodatkiem. Dlatego pozwolę sobie dorzucić niniejszym garść wyczerpujących informacji o „Zwierciadle".

Jest ono dodatkiem niedzielnym do wychodzącej we Wrocławiu gazety „Słowo Polskie", która posiada pięć mutacji: wrocławską, jeleniogórską, wałbrzyską, legnicką i tzw. Zetkę (Zachód) obejmującą Opole, Zagań, Żary, Szprotawę, Oławę, Kłodzko, Bystrzycę, Nową Sól i inne.

Dodatek ten drukowany jest jednej niedzieli na dwóch kolumnach, zaś drugiej — na czterech, przy czym wcale nie składa się „głównie" z reportaży. I tak np. w ostatnim numerze (4 kolumny) były artykuły o nowych kadrach literackich na „wrocławskim podwórku", o Leninie jako o organizatorze korespondentów robotniczych, o Verdim i jego operach, dwa artykuliki popularno - naukowe „Bajka o zagładzie ziemi" i „Z dziejów ceramiki", cała strona poświęcona satyrze, wiersz T. Zelenaya o Puszkinie, fotografie z wrocławskiej sceny i wiele innych rzeczy.

„Zwierciadło" drukuje recenzje teatralne nie tylko ze scen wrocławskich ale i prowincjonalnych, recenzje muzyczne, artykuły o życiu świetlicowym, ma stały kącik „Na półce z książkami", gdzie krótko informuje się czytelników o najnowszych wydawnictwach, zamieszcza fragmenty powieści lub nowel tak znanych autorów jak i debiutantów, porusza wiele aktualnych problemów itp. itp. Przy tym wcale nie jest takie „najgorsze".

Dlatego, proszę „Nowej Kultury", przykro mi bardzo, a ze mną i innym, że ob. Wojciechowski wspomina o „Dzienniku Zachodnim", wychodzącym w Katowicach, i mającym jedynie dolnośląską mutację, a o dodatku „Słowa" które jest rzeczywiście pismem Ziem Zachodnich — bardzo nawiasowo i niejasno. A warto było szerzej.

Tomira Długopolska, Cieplice
ul. Św. Jadwigi 11

JESZCZE O DODATKACH DO GAZET

W numerze 5(45) Waszego pisma ukazał się ciekawy artykuł Kazimierza Wojciechowskiego „Nauka, kultura i sztuka w dodatkach do gazet". Na szczególną uwagę i... szybką realizację, zasługuje—w wyżej wspomnianym artykule — zwłaszcza cenny wniosek autora, proponującego rozbudowę popularno-naukowego serwisu prasowego i zorganizowanie centrali redakcyjnej, która miałaby za zadanie redagowanie artykułów o tematyce popularno-naukowej, dla większości tygodniowych dodatków dzienników prowincjonalnych.

O wadze wysuniętego we wspomnianym artykule projektu ob. Wojciechowskiego najlepiej mogliby powiedzieć walczący z chronicznym brakiem materiału redaktorzy wspomnianych tygodniowych dodatków w miastach nie będących ośrodkami życia kulturalnego (np. Kielce, Szczecin, czy Rzeszów).

Niestety jednak ob. Wojciechowski „popełnił" w swym artykule zasadnicze przeoczenie, stwierdzając m. in.: „jedynie więc Kielce i Rzeszów, wydając własne gazety, dodatków do nich nie drukują".

A przecież — sam byłem współredaktorem „Nowin Tygodnia", ukazującego się już od połowy czerwca ub. r. tygodniowego dodatku rzeszowskiego organu KW PZPR „Nowiny Rzeszowskie".

W tak szeroko ujmującym zagadnienie artykule można było łatwo uniknąć podobnego przeoczenia.

Ryszard Stachnik
Kraków,
ul. Sebastiana nr 29 m 4

„FILM POLSKI" O KONKURSIE FILMOWYM

W odpowiedzi na list otwarty ob. Celiny Żmihorskiej zamieszczony w „Nowej Kulturze" z dnia 21 stycznia 1951 r. Generalna Dyrekcja Filmu Polskiego przesyła następujące wyjaśnienie:

Ob. Żmihorska poruszyła w swym liście bardzo istotne i aktualne zagadnienie młodych kadr pisarskich. Zagadnienie to niezawodnie bardzo żywo interesuje Film Polski, czemu niejednokrotnie jego przedstawiciele dawali wyraz na publicznych wystąpieniach.

Nasz konkurs otwarty na pomysł — nowelę miał przede wszystkim na celu uzyskanie materiału dla dalszych prac scenariuszowych. Zdając sobie jednak sprawę, że konkurs może nadto przynieść pewien plon literacki, czy publicystyczny, Film Polski zaprosił do jury Konkursu przedstawicieli Związku Zawodowego Literatów i Związku Zawodowego Dziennikarzy. Nie wydaje się więc słuszny pogląd, że Film Polski nie starał się zwrócić uwagi opinii literackiej na Konkurs.

Wyniki Konkursu raczej skromne (nie przyznano ani I ani II nagrody) — zostały omówione na łamach czasopisma filmowego „Film" Nr 15 z 1950 r. z przytoczeniem krótkiej treści prac nagrodzonych. Nie wydaje się więc również słuszne twierdzenie, że Film Polski przemilczał wyniki Konkursu.

Staraniom Filmu Polskiego o publikację drukiem nagrodzonych prac — nie sprzyjały widocznie walory literackie. Pragniemy natomiast zapewnić ob. Żmihorską (tak jak i pozostałych laureatów Konkursu), że prace ich nie poszły w zapomnienie, lecz były i są jeszcze przedmiotem zainteresowania naszych scenarzystów. Jeżeli prace te okażą się w jakikolwiek sposób przydatne dla twórczości filmowej — bezzwłocznie skomunikujemy się z ich autorami.

Film Polski istotnie nie ujawnił opinii jury o pracach nagrodzonych, ponieważ przewodniczący jury, kierując się przyjętym zwyczajem, zastrzegł poufność obrad.

SPROSTOWANIE

W numerze 6 „Nowej Kultury" na str. 2 w artykule J. Siekierskiej „O zmiennym i trwałym w sztuce" — wskutek błędu korektorskiego w interpunkcji uległ zniekształceniu sens ostatniego zdania pierwszej szpalty, zaczynającego się od słów: „W innych ustrojach..." Zdanie to powinno brzmieć:

„W innych ustrojach, klasowych, stosunek sztuki jako nadbudowy do swej bazy występuje w sposób bardziej skomplikowany i zagmatwany".

Redakcja

mała kronika

Czasami się wydaje, że politycy amerykańscy nie umieją myśleć. Nie potrafią wyciągnąć najprostszych wniosków. Nie chcą się uczyć elementarnych historii. Jak ślepy muł w kieracie kręcą się wokół tych samych pojęć, nawyków, przyzwyczajeń. Jednym z takich nawyków jest poczucie, że Amerykanom wszystko wolno. Nie obchodzą ich granice państw, suwerenność narodów, prawa i konstytucje. W tej beztrosce Amerykanie podobni są do faszystów. Hitlerowi także się wydawało, że mu wszystko wolno. Ukuł nawet specjalną teorię o wyższości rasy nordyckiej nad innymi narodami i rasami. Z mierzenia czaszek i zaglądania w rozporek uczynił religię. Rozpasał samowolę rasy panów nad podbitymi narodami. Rabował, gwałcił, truł, gazował. Aż stracił poczucie rzeczywistości. Żałosny rezultat życia ułudami można jeszcze dziś oglądać w Berlinie. Truman kiedyś jeździł do Berlina, więc chyba widział ruiny kancelarii Hitlera. Może także widział napis na bunkrze: „Nie wieder Krieg!" Namalował go bezimienny Niemiec, pacyfista. Pod spodem dodano lapidarny komentarz: „Ano, poprobuj! Sierżant Kowalow". Jeżeli Truman widział ten napis, to na pewno nic nie zrozumiał. Napis był rosyjski.

Nie można faszystom odmówić pewnych uczuć ludzkich. Czasem zdradzali odrobinę poczucia wstydu. Wymyślili cały cudaczny słownik, który miał ukryć ich zbrodnie. Amerykanie są bezwstydniejsi. Wszystko im wolno, a więc niczego nie warto ukrywać. Podobno za czasów odrodzenia noszono kryzy, aby ukryć wrzody syfilityczne. Taką kryzą był dla faszystów ich oszukańczy słownik. Amerykanie się nie fatygują. Są szczerzy, jak pewni bezkarności zbrodniarze. Jeszcze zdarzają się idealiści, jak np. prezydent uniwersytetu Princeton, Harold W. Dodds, który ma własną teorię pokoju. Uważa on, że jedyną drogą do pokoju jest całkowite rozbrojenie. I dodaje: jedyną drogą do całkowitego rozbrojenia jest — uzbroić się po zęby. Ale to już wymierający gatunek. Gatunkiem zwycięskim jest rodzaj Tatumów. Niedawno tygodnik „Time", organ demokratycznej partii USA, ogłosił, że bohaterem Ameryki na rok 1950 proklamowano żołnierza z Korei. Ensign Tatum jest właśnie takim żołnierzem. Kiedyś rodzice wychowali go po chrześcijańsku w szacunku dla starszych, szkoła nauczyła go miłości ku ideałom amerykańskim. Młody Tatum pilnował sadu ojca, zabijając z floweru wróble. Nie sprawiało mu to przyjemności, czuł się winny wobec ptaków niebieskich. Tak dożył lat 18. Wtedy zapisał się do marynarki, został pilotem na lotniskowcu. Latał nad Koreą, zabijał kobiety, starców, dzieci. Nie sprawiało mu to bólu. Może dlatego, zwierzał się reporterowi, że Koreańczycy nie są wróblami. Nie można ich podnieść i popatrzeć na nich. Pewnego razu Tatum zastrzelił starą kobietę. Mówił reporterowi: „Nie lubię tego. Jeśli pan nigdy nie widział ludzkich rąk i nóg, lecących w powietrzu..." Czy trapią go jakieś sny, czy przeżycia wojenne odbijają się na jego duszy? Owszem, odpowiedział reporterowi, pewnego razu strasznie się bał. Lądował przymusowo na morzu, został wyratowany przez okręt. To śni mu się po nocach, ale nie zdarzyło się nigdy, aby go trapiły we śnie zabite kobiety w białym, lnianym odzieniu.

Człowiek umie pamiętać, ale umie i zapominać. Myślę czasem, że zbyt łatwo zapomnieliśmy o straszliwych gwałtach faszystów w Europie. Przyzwyczailiśmy się patrzeć na każdą ruinę, jakby nie miała historii. Widzimy w niej przeszkodę, którą trzeba usunąć, aby postawić osiedle, zbudować szkołę, założyć ogródek jordanowski. Jest w tym pogodne, pełne poczucia siły spojrzenie w przyszłość. Ale nasz czas nie jest tylko epoką niebywałego w dziejach ludzkich budownictwa. To także czas nieznanego w historii niszczenia dorobku ludzkiego. Nie tylko okres bujnego rozkwitu sił, uczuć, umiejętności człowieka, lecz także lata rozbestwienia zbrodniarzy. Dokumentem naszej epoki jest nie tylko dekret o eletrowniach wodnych, o kanale do Morza Czarnego, o Nowej Hucie, jest nim także pismo ministra spraw zagranicznych Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej do przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Pismo to winno wstrząsnąć opinią świata. Jest to najstraszniejsze oskarżenie, jakie w ostatnich latach złożył jakikolwiek naród na świecie. Bledną wobec niego szantaże, stosowane przez Amerykanów wobec sprzedajnych rządów Europy Zachodniej, niczym jest głód, który wycieńcza naród hinduski, nawet rzeki krwi, wytoczone w Grecji, wydają się nikłymi strumyczkami. Pismo koreańskie do ONZ przytacza przerażające przykłady zdziczenia faszystów amerykańskich. Poddawali oni swe ofiary najwymyślniejszym torturom, obcinali im uszy i nosy, wyłupywali oczy, łamali ręce i nogi, przypiekali ogniem, oblewali na mrozie zimną wodą, morzyli głodem, rozpinali na krzyżu, zakopywali żywcem w ziemi, zabijali kobiety, kłując je szydłem w narządy płciowe, gwałcili małe dziewczynki, skalpowali „na pamiątkę" mężczyzn; liczba ofiar sięga dziesiątków tysięcy.

Kiedyś delegacja radziecka zażądała w ONZ, aby wyświetlono film o okrucieństwach amerykańskich w Korei. „Większość" przeciwstawiła się temu. Bestialstwa amerykańskie na Korei nie interesują satelitów Waszyngtonu, w milczeniu przyglądają się oni eksterminacji narodu. Nie pojęli lekcji historii, jaką dał światu pogrom faszyzmu.

Ta lekcja jest prosta: żadne bestialstwa, okrucieństwa, cyniczne wysławianie zbrodni nie zastraszą milionów ludzi, którzy rozgromili faszyzm. I druga lekcja, równie prosta: w ostatecznym rachunku dziejów zbrodniarz zawsze znajdzie się na ławie oskarżonych.

Tadeusz Borowski

Z prasy: *W stanie Wirginia (USA) stracono na fotelu elektrycznym siedmiu Murzynów.*

— Czy przyszliście ich zlinczować? Idźcie spokojnie do domu. Mamy bardziej udoskonalone metody.

Komentarze

„Krytyka immanentna"

Najruchliwszy z krytyków obozu „Dziś i Jutro" Zygmunt Lichniak wszczął wielką kampanię, mającą zbudzić krytykę katolicką z marazmu. Wyłożywszy pokrótce („Dziś i Jutro" nr 6(272) swój program obrachunków ze współczesnością i naszkicowawszy szeroki plan działania, obejmujący wszystkie najważniejsze pozycje naszej literatury współczesnej — (wątły udział tzw. „pisarzy katolickich" wśród pozycji wymienionych przez Lichniaka bardzo jest przy tym wymowny i pozwala rozumieć dlaczego krytyk ów nawołuje swych przyjaciół do wyjścia poza kredowe koło „twórczości katolickiej") — Lichniak pisze o postulowanej działalności krytycznej katolików w sposób następujący:

Działanie to w sytuacji dzisiejszej przedstawia dla katolików jeszcze nie to oprzeć trzeba na zasadzie krytyki immanentnej. Zasada ta będzie oczywiście przyjmowana jedyjedną trudność. Oceniając utwór literacki z pozycji katolickiej mogą oni często formułować sądy nieczytelne dla marksistów. Nie wolno w takiej sytuacji zasłaniać się stwierdzeniem nieuniknionej odmienności diametralnie różnych stanowisk. Trzeba podjąć próbę oddziaływania i na ludzi przeciwstawnego światopoglądu. Oddziaływanie dla celów praktycznych, ale jej konsekwencje mogą mieć charakter znacznie głębszy. Realizacja tej zasady jako części programu działania w najgorszym razie da w wyniku lepsze zrozumienie produkcji literackiej, opartej na mało dotychczas przemyślanej przez nas metodzie artystycznej.

Rozumiemy myśl Lichniaka. Postulowana przez niego i jego przyjaciół „krytyka immanentna" ma marksistów przekonać do „Dziś i Jutro" a „dziśijutrowców" „w najgorszym razie" nauczyć „lepszego rozumienia" marksizmu. Bardzo to skomplikowane.

A jeśli „krytyka immanentna" nie tylko nikogo nie przekona do transcedentnych celów „Dziś i Jutro", ale stosowana w tak zawiłych celach da w najlepszym razie dość kiepskie rozumienie marksizmu. Mimo tych obaw stosowania krytyki immanentnej, rzecz jasna, wcale „Dziś i Jutru" nie odradzamy. Dobra to metoda zrozumieć przeciwnika. Należy tylko stosować ją konsekwentnie. Po pewnym czasie transcedentna reszta może okazać się niepotrzebna.

rm

Ignorancja czy metoda?

W n-rze 306 „Tygodnika Powszechnego" ukazała się recenzja J. P. Gawlika z książki Hansa Fallady „Każdy umiera w samotności", w której recenzent ów nazywa Falladę pisarzem „deklaratywnie bliskim metodzie marksistowskiej" i tymi słowy informuje o jego działalności: „Autor należy do starej generacji pisarzy niemieckich(...) Z poglądów demokrata, posiadający wyostrzone wyczucie ludzkiej nędzy, przeżył rozwój i upadek mitu tysiącletniej Rzeszy. Z zacisza gabinetu czujnie obserwował rzeczywistość, dał jej wierne świadectwo. Wyciągnął wnioski."

Informacje tygodnikowego recenzenta nie grzeszą ścisłością i należy je sprostować. Hans Fallada (pseudonim Rudolfa Ditzena) nigdy nie był pisarzem marksistowskim. Był po prostu pisarzem drobnomieszczańskim w weimarskich Niemczech. Po dojściu Hitlera do władzy, mówiąc delikatnie, „załamał się". W chwili objęcia rządów przez nazich kończył właśnie pisanie powieści piętnującej stosunki panujące w więzieniach Niemiec weimarskich. Powieści nie wydał, a hitlerowskie obozy koncentracyjne i terror antykomunistyczny uznał za „konieczność dziejową". W roku 1933 podpisuje adres hołdowniczy do Adolfa Hitlera zapewniając wodza o „wierności do ostatniej kropli krwi". W rok potem wydaje powieść „Wir hatten mal ein Kind" (Gdybyśmy mieli dziecko), gdzie wskazania Goebbelsa znajdują „twórcze" odbicie. Fallada był w tym okresie ostro piętnowany przez prasę emigrantów antyhitlerowskich. Niech sobie Gawlik przeczyta co pisał o jego działalności (wcale nie takiej gabinetowej!) emigracyjny krytyk Hans Koeser w praskich „Nede Deutsche Blätter" z lutego 1935 r.! Z czasem Fallada ochłódł w swych sympatiach, zrozumiał własną ślepotę, lecz mimo to w ruchu oporu udziału nie brał. „Każdy umiera w samotności" jest dokumentem tego przełomu, przerwanego śmiercią pisarza w 1945 roku. I ta jednak książka daje krytykę faszyzmu z punktu widzenia drobnomieszczanina. Tak więc trudno doprawdy zrozumieć jakim prawem Gawlik stawia Falladę w jednym rzędzie z Petersenem, Bredtem, Wolfem czy Bertoltem Brechtem.

gbl

Sport i poczucie humoru

Adolf Rudnicki ogłosił w „Przeglądzie Sportowym" (Nr 5 z 18.I. 1951) — „Kilka zupełnie luźnych notatek o piłce nożnej". Tytuł odpowiadał treści. Notatki, zadedykowane Wiechowi, cechował właściwy Rudnickiemu sposób spojrzenia na ważne społeczne zjawisko, jakim jest jeden z najpopularniejszych sportów masowych — nieco z boku, od strony drobnych, nie przez każdego dostrzeganych, a za to potraktowanych ze zdrowym humorem spostrzeżeń psychologicznych. Sposób podejścia Rudnickiego do zagadnień sportowych może się komuś podobać lub nie. Wydawałoby się wszakże, że sam fakt zajęcia jednego z czołowych naszych pr zaików problemem pozostawian na ogół przez pisarzy pomniejsz sprawozdawcom i felietonistom nien wzbudzić życzliwe zaintere wanie. Istotnie redakcja „Prze du Sportowego" zdaje się przyw zywać pewną wagę do wypowie pisarzy na temat sportu, druku kolejno głosy różnych literatów ten temat. Aliści wychodzące w towicach pismo „Sport" sądzi dać inaczej. Niejaki pan Wojci Lipniacki w sposób wykazujący wiele poczucia humoru, ale za bardzo dużą złośliwość gromi R nickiego za jego notatki w t świętego oburzenia. Wszystkie d cipy pisarza bierze na serio i na nuro.

Rudnicki np. obrazowo przed wia problem „wychodzenia z my sportowej" po trzydziestce. sze jak na „treningu grupy p rzy... z chłopaczkami pomi czternastym a siedemnastym kiem życia... naszego kolegę, b dzo wybitnego pisarza, bardzo bitnego dyplomatę, ojca dziec jeden taki piętnastolatek „ki jak chciał". Zrozpaczony pisarz kłada ręce i z rozpaczą woła: co ja zrobię? Jedno mogę mu bić, cegłą mu głowę rozbić. B mnie biegiem! Jest młodszy, m szy!" Rozbrajający ob. Lipni rozdziera szaty: Adolf Rudnicki bić cegłą po głowie młodych s towców? Oto postawa iedowa sarza! Klęska!

Cóż, smutno. Być może, iż p rze niesłusznie narażają się, w wając specjalistom monopol p nia o kopaniu piłki. Sądzić na że jeśli to czynią — to liczą na że kto jak kto, ale sportowcy winni odznaczać się odrobiną czucia humoru.

Dwa kilo papieru listowego

Sprzedaż papieru do pisania nowi, praktycznie rzecz biorąc, nopol „Domu Książki". Skojarz dość dziwne, bo, od rzemyczka koziczka, dojść można — pop spinacze (których brak) i plusk ki (których nie ma) — do h i gwoździ. Skojarzenie niezdr na którym źle wychodzą i ks i papier. Wynikiem jest chroni niemal „nieobecność" papieru szynowego. Ostatnia fala braku ka nawiedziła Warszawę, tr przez cały prawie styczeń. Ob grasuje po prowincji. Po mias większych — jak Kraków, a z szcza po mniejszych miejsco ciach. Uwagi niniejsze piszę na pierze listowym kupionym na gę. Sprawiłem sobie 2 kg., nie dzę jednak, by była to gospod racjonalna.

Żart na stronę. Papier masz wy jest artykułem najniezbęd szej potrzeby dla pisarzy, dzie karzy, w redakcjach, biurach m szych, nie zaopatrujących się townie, etc. I czas najwyższy, ktoś wglądnął w gospodarkę pierową, by papier przestał rzadką okazją, łowioną z tru w monopolizujących ten ar sklepach „Domu Książki". By się dostępny przede wszystkim tych, dla których jest koniecz narzędziem pracy.

SPROSTOWANIE

W artykule K. Wojciechows „Nauka, kultura i sztuka w d kach do gazet" drukowanym 5(45) wkradły się błędy kore skie. Na str. 3 w łamie d wiersz 7 od góry winno być stracji (a nie ilustracji). Na w łamie drugim wiersz 1 od winno być: rekonesans (a nie sans).

Redak

WYJAŚNIENIE

W recenzji mojej pt. „Mł Geniusza" ze sztuki „Ro w Teatrze im. Jaracza w („Nowa Kultura" nr. 5(45) jest nie, z którego wynikałoby, że ka ta była po raz pierwszy w wiona przez wymieniony Otóż gwoli prawdzie należy s dzić, że sztukę tę wystawił wcześniej Państwowy Teatr dowski we Wrocławiu.

Jeśli przypomnimy, że i „Sprawa Pawła Esteraga" szukał i po raz pierwszy wy u nas Państwowy Teatr Żyd słusznym będzie stwierdzeni teatr ten wykazuje wiele ini wy i wynalazczości w zdoby cennych pozycji z zagraniczne maturgii dla naszego repertua

Alfred D

ARCYPOETA DO ARCYKANCLERZA

„Niemasz nic nowego pod słońcem i nie może nikt mówić: „Oto jest nowe". „Już bowiem uprzedziło w wiekach, które były przed nami" — (tak powiada prorok, Ekkl. I, 10), a ja nie wierzę, bo mój rozum słońce co dzień świeci inaczej. Jednakże bywają sprawy, w których znana opinia proroka nabiera niewątpliwej aktualności i brzmi zgoła przekonywająco. Na przykład, gdy chodzi o pewne zmartwienia pewnych literatów. Gdyby wiedzieli, jak mało budujące tradycje kryją się za ich wielce budującymi postawami!

Zależność pisarzy od ustroju społecznego, w którym żyją, rozmaite formy zamówień społecznych i uspołecznionych, których pisarze — chcąc nie chcąc — hołdują, kłopoty wynikające stąd — jakież to wszystko stare sprawy! A zawodowe teorie pisarskie, wymyślane w tychże kłopotliwych sytuacji — jakież to sędziwe teorie!

Czasem aż wstyd się do nich przyznać. Trzeba mieć odwagę średniowiecznego waganta o nieznanym nazwisku i dumnym pseudonimie „Arcypoeta", aby się tak dokładnie zdekonspirować. Był on nadwornym wierszopisem Reinalda von Dassel, który z kolei piastował godność arcykanclerza na dworze cesarza Fryderyka Barbarossy. W latach 1160 — 1165 zarówno kanclerz jak i poeta wzięli udział w wyprawie do Włoch, a po niejakim czasie dostojny feudał zażądał od swego barda epopei gloryfikującej minioną wojnę. Zadanie nie było łatwe, szczególnie, że kanclerz przewidział — według słów Arcypoety — zaledwie tygodniowy termin na wykonanie zamówienia. I wtedy Arcypoeta w specjalnym wierszu wyłuszczył arcykanclerzowi szereg prawd. Były tam znakomite kpiny z poetów, „którzy stronią od społecznej drogi", najwidoczniej z ówczesnych zwolenników „czystej sztuki". A równocześnie było niemniej słuszne zdanie, że nad utworem trzeba pracować. Była — uprzejma zresztą — krytyka zamówień kanclerskich, cytowanie przykładu klasyków, na których — jak widać — zawsze dobrze się powołać, sążniste przechwałki i wreszcie sformułowanie najważniejsze: „pisać będę, ale muszę mieć na to dobre warunki".

A więc ostrożnie, obywatele pisarze! Tylko niektóre poglądy Arcypoety zasługują na to, by były waszymi poglądami. O reszcie... ech, szkoda mówić.

ARCYPOETA

USPRAWIEDLIWIENIE

Arcykanclerzu, mężu o statecznej duszy,
twojego serca żaden płochy wiatr nie ruszy.
Ty w rygorach mądrości trzymasz się przytomnie,
ale ja tym nie jestem, co ty sądzisz o mnie.

Panie, wysłuchaj prośby kornego biedaka,
który jęczy i gorzko nie przestaje płakać,
bo zleconej mu pracy wykonać nie może,
co dobrze udowodnię i jasno wyłożę.

Twój sługa, twój poeta, wierne twe narzędzie,
w morze pomknę, gdy pan mój rozkazywać będzie,
i cokolwiek poleci, z weselem ogromnym
napiszę, ale termin krępuje zbyt skromny.

Każesz mi w bardzo skąpo odmierzonym czasie
stworzyć pieśń o podniosłych rzeczach, których — zda się —
nawet wielki Wergiliusz, nawet Homer stary
i w pięć lat by nie spisał — któż odmówi wiary?

Z woli twej w ciągu siedmiu krótkich dni przypadnie
opisać mi bieg wojen zwięźle i dokładnie.
W pięć lat by nie spisało ich pióro geniusza
Lukana ani mistrza mistrzów, Wergiliusza.

Zmiłuj się nad poetą, znakomity panie,
który zawsze na twoje gotów zawołanie.
Gdy tak wielkiemu dziełu nie mogę podołać,
racz surowość rozkazu zmniejszyć lub odwołać.

Nie sam człowiek wybiera drogę, którą kroczy,
opuszczał i Eliasza święty duch proroczy.
Nie zawsze prorok boskie wygłaszał nauki,
nie zawsze dopisuje siła mojej sztuki.

Niekiedy płyną z ust mych poezje najczystsze,
wtedy mi nie sprostają żadni arcymistrze,
niewiele czasu minie, a natchnienie pryska,
śpi mózg, w niepamięć idzie zdolność poetycka.

Głos raz w świat wypuszczony nigdy nie powraca,
pisma najlepszych twórców doskonali praca.
Wiersz wymaga niejednej zmiany i poprawy,
by nie wyśmiał niedbalstwa słuchacz niełaskawy.

Są poeci, co stronią od społecznej drogi,
do kryjówek domowych mają tajne progi,
żarliwie tworzą, nie śpią, kładą trud niemały
i ledwie czasem spłodzą utwór zrozumiały.

Nie jedzą i nie piją mistrzów tych ordynki,
unikają walk ludzkich, omijają rynki
i przy pracy nad dziełem, co żyłoby wiecznie,
mrą wreszcie, tak się pracy oddają serdecznie.

Każdy ma od natury cechę nieodrodną:
ja nigdy nie umiałem pisywać na głodno.
Mnie, gdym głodny, pokonać może byle chłopię,
ja w głodzie, jak w pogrzebie, najgorsze zło tropię.

Każdy ma od natury swoiste podarki:
pisząc wiersze, ja piję wino dobrej marki,
a w głębi winnych beczek drzemiące fermenty
pobudzają mój język i wieszcze talenty.

Takie wiersze układam, jakie piję wino,
nic ułożyć nie umiem, gdy trunki nie płyną.
Źle śpiewam, kiedy krtań mą pragnienie wysusza,
po kielichu prześcignę w pieśniach Owidiusza.

Nigdy mnie nie nawiedza błysk twórczego wątku,
póki miłej sytości nie czuję w żołądku,
a gdy już Bakchus głową niby zamkiem włada,
Apollo we mnie wchodzi i cudownie gada.

Z łaciny na polski przełożył i przypisem opatrzył.

Jacek Bocheński

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Sp. Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik". Warszawa Marszałkowska 3/5.